

**Alan Gordon**

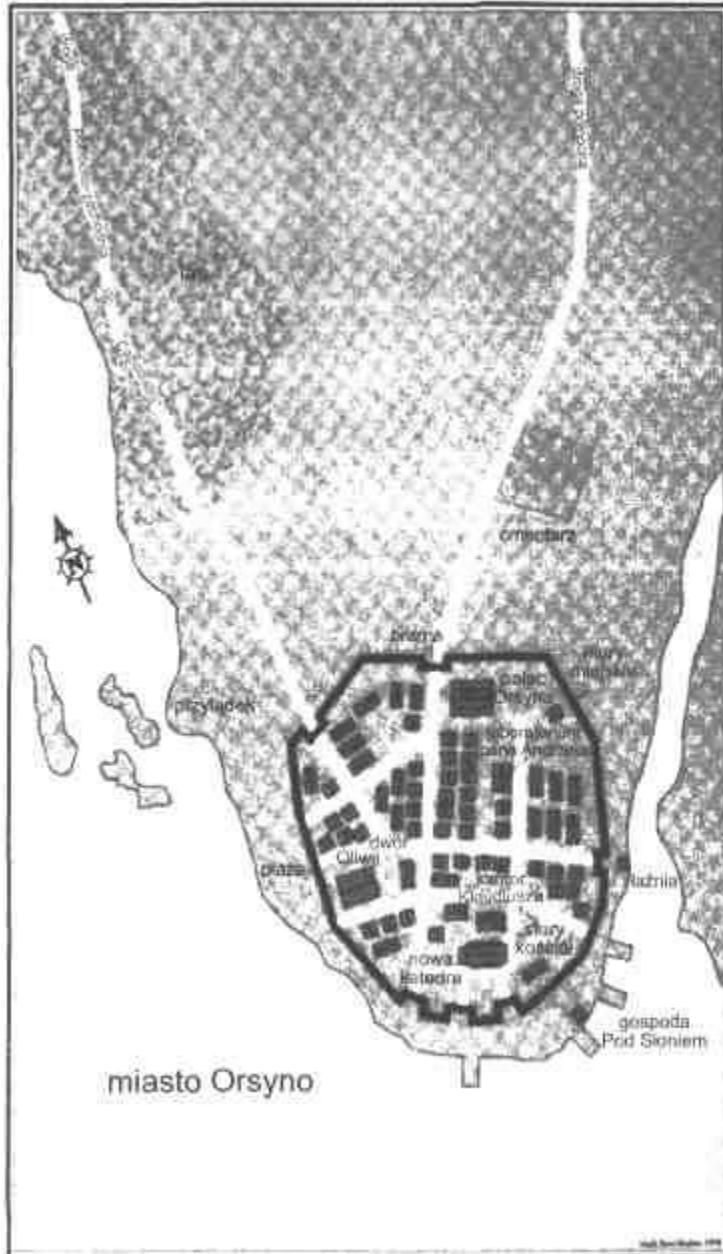
# **Trzynasta noc**

BŁAZEN: A tak, tocząc się, koło fortuny przytoczyło nam zemstę.

MALWOLIO: Potrafię jeszcze zemścić się na całej waszej bandzie.

*Wieczór Trzech Króli*, akt V, sc. 1.

William Szekspir przeł. Leon Ulrich



\* Obecnie Koper (Słowenia). Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.

# Rozdział I

(...) *my głupi\* dla Chrystusa* (...) I Kor 4,10

Zebraliśmy się w karczmie, aby osądzić smak młodego piwka. Właśnie zassałem głęboki, przyjemny łyk, gdy wkroczył nieznajomy człowiek, odrywając naszą uwagę od tego godnego zajęcia. Powiedzieć, że się wyróżniał, byłoby niedorzecznie, gdyż wyglądał jak najpospoliciej - znoszona szara opończa na przepoconych rajtuzach i znużone piwne oczy nad kasztanowej barwy sumiastymi wąsikami. Ale pospolicie wyglądający człek wyróżnia się, gdy wejdzie do izby pełnej rozbrykanych błaznów, podobnie jak zwykły wróbel w otoczeniu pawi i papug zda się wybrykiem natury. Jego przydzwiek zdradzał fach, postawa - żołnierza. Ale w tych niebezpiecznych czasach tylko krok dzielił kondotiera od kupca i na odwrót. Pośród piosenek, sprośnych żarcików, sztuczek dopiero co powstałych i z brodą moi kamraci i ja ocenialiśmy go, gdy szedł między nami, ciekawi, kogo też uszczęśliwi swoim towarzystwem. Wyobraźcie sobie, że usiadł koło mnie i poprosił o wybaczenie.

\* Fool(ang.) - „głupi”, znaczy również „błazen

- Wybaczenie? - powtórzyłem. - Opisz obelgę, zanim ocenię, czy można ją wybaczyć.

- Szukam kogoś - rzekł. Mówił niezgorszym toskańskim, jednak z wyraźnym słowiańskim akcentem. - Błazna.

- Spójrz za karczmarza - doradziłem mu. Uczynił, co mu zaleciłem, i ujrzał w szkłe swoje odbicie. - Znalazłeś go.

- Szukam wyjątkowego błazna - ciągnął uparcie dalej.

- Więc szukasz kogoś, kogo ziemia nie nosi. Taki ktoś nie istnieje. Jeśli to błazen, coś z niego za wyjątek. A jeśli to wyjątek, nie może być błaznem.

- To tylko marne żarciki - osądził mnie surowo. - Spodziewałbym się czegoś lepszego po kimś z cechu błaznów.

- Jestem między kontraktami - broniłem się. - Kiedy przyjdzie czas, sięgnę po krzemień mej inteligencji i moje dowcipy nabiorą ostrości rapiera. Lecz którego błazna szukasz? Może go znam.

- Opisano mi go jako drania, od stóp do głów w błazniej pstrokaciznie i który źródelko dowcipu musi co rusz ratować zawartością chmielowego dzbana.

Ryk śmiechu.

- Rozejrzyj się po tej gospodzie, a znajdziesz dwudziestu takich zuchów. I jeszcze pół setki schlanych na umór w domu cechowym.

Moi kamraci pozdrowili go, obsypując zadziwiającym bogactwem grubiańskich toastów i odgłosami jeszcze paskud-niejszej natury. Jak rzekłem, zażywaliśmy odpoczynku od pracy. Przedniej sze teksty trzeba oszczędzać dla klientów z kiesą. Nieznajomy skąpo się uśmiechnął i znów przemówił.

- Jego imię Feste.

Nie ucichł ani jeden głos, nikt też gestem czy spojrzeniem nie zareagował na dźwięk mego imienia. Lata ćwiczeń narzucają emocjom parawan.

- Obiło mi się o uszy - rzekłem - ale jego samego nie widziano tu od jakiegoś czasu. Czy ktoś wie, gdzie obecnie zarabiałby na utrzymanie? - Nikt nie wiedział. Odwróciłem się do nieznajomego. - Mogę tylko powiedzieć, że pojawia się i znika w nieregularnych odstępach czasu. Pozostawiona wiadomość kiedyś do niego dotrze.

Przybysz uważnie mi się przyjrzał.

- Przynoszę ją w ramach przysługi oddanej pewnej damie, ale interesy wzywają mnie do Mediolanu, nie mogę zwlekać. Wiadomość jest krótka.

- Tym łatwiejsza do zapamiętania. Wyduśże ją.

- Orsyno nie żyje.

„Żadnej reakcji, żadnej reakcji”, napomniałem siebie w duchu.

- Zmarł z przyczyn naturalnych?

- Nie.

- A więc...?

- Znalaziono go martwego u podnóża morskiego urwiska. Był znany z tego, że pogrążony w myślach lubił spacerować jego krawędzią. Panuje opinia, że noga się mu omsknęła i spadł. Wypadek.

- A księżna?

Ostro na mnie spojrział.

- Skąd wiesz o jej istnieniu?

- Zwykle gdzie księżę, tam i księżna. Jak się wie dzie damie?

- Opłakuje go. Przez siedem dni nie odstępowała trumny, łzami zwilżając kwietne okrycie zmarłego. Następnie udała się do pałacu i od tamtej pory nikt z zewnątrz jej nie widuje.

- Smutny stan spraw. A sprawy stanu, co w tej kwestii postanowiono?

- Kiedy wyjeżdżałem, były w zawieszeniu. Książątko liczy sobie ledwie jedenaście lat, a regenta jeszcze nie wybrano.

- Kiedy zginął Orsyno?

- Został znaleziony trzy tygodnie temu.

Popadłem w zamyślenie i pociągnąłem piwa, jakbym zapamiętywał zrelacjonowane fakty, szykując się je dalej przekazać.

- Hmm, jeśli to wszystko, co masz mi do powiedzenia, rozpuszczę wici. Jeśli ten Feste znów się pojawi i będzie dość trzeźwy, aby mnie wysłuchać, a ja dość trzeźwy, aby mu powiedzieć, wtedy on natęży uszu, a ja puszczę w ruch język. Nic więcej ponad to nie mogę obiecać.

Spojrzał na oberżystę i zapytał:

- Czy temu człowiekowi można zaufać?

- Ufam mu bezgranicznie, byle tylko zapłacił z góry - odparł tamten.

Uniosłem kufel (ciężki z tej racji, że jak wszystkie inne był z grubej cyny i z przykrywką), wznosząc zdrowie przybysza.

- Ach, panie... - zatrzymałem go jeszcze, gdy zbierał się do odejścia. Spojrzał na mnie i uczyniłem jakby znak krzyża. - Wybaczam ci. Idź i nie grzesz więcej.

W jego spojrzeniu nie było wiele satysfakcji ze spełnienia misji, ale się więcej nie odezwał i wyszedł. Wesole odgłosy zabawy towarzyszyły mu do drzwi i dalej, aż jego słuch już nie obejmował zasięgiem tego, co się działo i mówiło w oberży.

- Niccoló! - zawołałem i przy kontuarze w mig stawił się młody błazen. - Idź za nim, dobra?

Popędził, jakby go własne grzechy goniły. Położyłem srebrnika na kontuarze.

- Wystarczy? - spytałem.

- Póki znów nie napełnisz kufla - uspokoił mnie karczmarz, wkładając monetę do naczynia i stawiając je na półce obok innych, należących do wysłanych z misją towarzyszy. - Będzie na ciebie czekał.

Szybko się pożegnałem i równie pośpiesznie ruszyłem do domu cechowego, pogrążony w myślach. Był nietypowo zimny grudzień tego pierwszego roku trzynastego stulecia. Jakoś udało się nam przeżyć dwunaste i ku wielkiemu zawodowi tych, którzy liczyli na lepszy porządek, świat się nie skończył. Była taka jedna przesadnie nabożna sekta, która sobie wykalkulowała, że będzie trwał tyle wieków, ilu było uczniów Pana. Teraz dokonywała przeliczeń. Z tego, co ostatnio słyszałem, wyszło jej, że przez wzgląd na apostoła Pawła zostało nam jeszcze jedno stulecie. Sekta topniała w oczach, jako że nikt się nie spodziewał, iż przyjdzie mu się tak długo pałętać po tym padole. Ja w każdym razie - całkiem pewien, że przyjdzie mi zaskwierczeć w ogniu piekielnym, gdy nastąpi mój czas - radowałem się bieżącym stanem rzeczy. Zwłaszcza gdy pod naporem świeżutkiego chmielowego nektaru

strzelał szpunt.

Jednak ile tylko by się piwa wychleptało, chłodek potrafi szybko przejaśnić w głowie i w myślach cofnąłem się piętnaście lat. Dobry był pan ten Orsyno, gdy tylko przetrzeźwiał z szaleństwa. A co do niej... Cyt, serce. Nie czas na wspominki.

Sama wieś wcale nie była tak bardzo na uboczu. Prowadziła do niej dobra droga z południa, przez ukrywający naszą siedzibę las. Znaleźliśmy przytulisko w kotlinie u podnóża Dolomitów i podróżny musiałby dobrze się natrudzić, chcąc nas znaleźć.

Cech przez stulecia po cichu wykupywał ziemię na tych terenach, korzystając z nieregularnych wpłat członków i łaskawych darów wdzięcznych dobroczyńców. Mieliśmy dość uprawnej ziemi i górskich pastwisk, aby nie musieć się nadmiernie wysilać w ramach fachu. W wiosce była krzyżówka, przy której stały tylko dwa warsztaty - kołodzieja i stolarza. Swoje domy mieli tam też aptekarz i osoba prowadząca najważniejszą działalność w każdym szanującym się ludzkim skupisku - karczmarz. Po stronie północnej, tam, gdzie skierowałem swe kroki, był sam dom cechowy, duża, nieregularna budowla osadzona w zachodnim stoku niewysokiej góry. Wzniesiona przed kilkoma wiekami fajczyła się razy kilka i dźwigając z pogorzelska, każdorazowo bogaciła to o taki fragment, to o inny, tak że nawet nasi kronikarze nie potrafili wskazać pierwotnych zrębów. Wielką izbę, wysoką na dobre pięćdziesiąt stóp, zwykle wykorzystywano do nauki i występów. Dormitorium ulokowano na tyłach, stajnie po prawej, chociaż niejeden z nas po dniu hulanki mylił te pomieszczenia i kończył go, zapadłszy w sen obok bydlątek.

Kiedy wkroczyłem do wielkiej izby, brat Tymoteusz prowadził zajęcia z zonglerki. Nowicjusze siedzieli w niemym zachwycie, gdy podrzucał cztery maczugi, posyłając je coraz bardziej skomplikowanymi torami. Myślałem, że mnie nie zauważył, ale gdy mijalem go w odległości jakichś dwudziestu kroków, nadleciała maczuga, jakby omyłkowo wycelowana w moją głowę. Instynktownie złapałem ją i odrzuciłem. Frunęła kolejna, potem jeszcze jedna i zanim zdałem sobie sprawę, co się wyprawia, zostałem wprzęgnięty w duet.

- Przy dwóch zonglerach sześć maczug to absolutne minimum - oświadczył brat Tymoteusz, puszczając w ruch kolejne dwie. - Tak naprawdę rzecz sprowadza się do tego, że zamiast wyrzucać je w górę, posyła się je w bok i wychwytuje, kiedy zmierzają ku tobie. Powinniście ćwiczyć obiema rękami... - Maczugi latały to do prawicy, to do lewicy i znów do prawicy. Musiałem się nieźle uwijać, chcąc je odesłać. - Co zaś się tyczy siedmiu...

- Czekaj! - wrzasnąłem, ale jego pomocnik już mu rzucił kolejną, która bezzwłocznie wpadła w moją prawicę, zakreśliwszy idealny łuk.

- To wszystko sprawa rytmu - ze spokojem kontynuował Tymoteusz. - Powinniście się

nauczyć naturalnie wyczuwać siedem, nie dzielić całości na dwójki czy trójki. Dzięki temu będziecie je płynniej przerzucać. Nie uważasz, Teofilu?

Zacząłem wypacać młode piwko.

- Zawsze myślałem o siedmiu jak o ułomnej ósemce. - Już dyszałem, a wyrzucane przeze mnie maczugi przelatywały coraz pokracciejszymi torami.

Tymoteusz pokręcił głową.

- Widzicie, jakie błędy popełnia. Traci rytm i żeby zyskać na czasie, wyrzuca maczugi wyżej, niżby należało. Ale skoro czuje się pewniej z ósemką...

- Nie powiedziałem... - zacząłem, ale już nadlatywała kolejna. Poruszałem się tak szybko, jak tylko potrafiłem, ale chwytalem każdą w ostatniej chwili. Odrzucałem je w dziwacznych płaszczyznach, żeby wytrącić Tymoteusza z kontenansu, ale zręcznie je łapał i odrzucał, nadając im piorunującą szybkość.

- A teraz dziewięć - obwieścił, wyzuwając stopę z sandała i balansując maczugą na palcach nóg.

- Nie potrafię dziewięcioma - powiedziałem błagalnie, ale było za późno. Chyba tylko siłą rozpacy wyrzuciłem wysoko nad siebie dwie maczugi, trzecią posłałem Tymoteuszowi, czwartą przerzuciłem z lewicy do prawicy, a piątą złapałem w uwolnioną lewą dłoń. Wynik tych nieudolnych usiłowań był taki, że szósta, wyrzucona z niezwykłą mocą trafiła mnie prosto w podbródek. Zatoczyłem się i ulewa pozostałych obaliła mnie na posadzkę. O, hańbo! O, wstydzie!

- Nie mylisz się, nie potrafisz - potwierdził do wtóru śmiechu nowicjuszy Tymoteusz.

Powstałem z taką godnością, na jaką było mnie stać w tych okolicznościach, zrobiłem krok i niezwłocznie znów gruchnąłem na podłogę, poślizgnąwszy się na maczudze. Jednak gdy rozległ się kolejny huragan śmiechu, wykorzystałem dynamikę upadku. Zrobiłem serię przerzutów w tył, zakończoną saltem. Kiedy tylko nowicjusze zrozumieli, że drugi upadek był celowy, zgotowali mi aplauz.

- Teofil w przyszłym tygodniu będzie demonstrował ucieszne upadki - ogłosił Tymoteusz, gdy stanąłem na nogach. - A za cenę kufelka piwa, kiedy tylko zechcecie.

- Dzięki, dzięki wam wszystkim - powiedziałem wyniośle, wymachując chustą. - A teraz pozostawiam was we właściwych rękach.

Niczym się nie wyróżniające drzwi zaprowadziły mnie do spiżarni. Zapaliłem świeczkę, przesunąłem fragment ściany i wykutymi w skale schodami zszedłem w głąb góry, na której przycupnął dom cechowy. Topornie żłobiony **tunel** wił się może jakieś pięćset stóp do klasztoru na wschodnim stoku. Szedłem, od czasu do czasu pochylając głowę, gdyż drogę

wykuto dla niższych niż ja. Otworzyłem drzwi po drugiej stronie tunelu, za którymi był korytarz, i szedłem nim tak długo, aż dotarłem do komnatek ojca Geralda; delikatnie zapukałem do drzwi.

- Wejść! - zawołał.

Zastałem go pochylonego nad stosem pożółkłych pergaminów. Czerwone sznurki, którymi je przewiązано, leżały zwinięte przy świeczce. Setki innych zwojów wypełniały przegródki, zasłaniając całą ścianę tego małego pokoiku, ułożone wedle porządku znanego tylko stałemu lokatorowi tych przestrzeni. Nikt nie miał pojęcia, ile lat liczy sobie ojciec Gerald, chociaż wszyscy się zgadzali, że nie ma nikogo, kto by go w tym względzie przebijał. W owym czasie jego oblicze wyglądało tak, jakby ukształtowali je jacyś przedwieczni drążyciele tuneli, których owoc prac dopiero co pokonałem.

- Teofil, dobrze - przywitał mnie, skinieniem artretycznej dłoni wskazując ławkę. - Uwolniłeś mnie od mitręgi, nie musiałem szukać kogoś, kto by po ciebie poszedł. Siadaj, chłopcze, siadaj. Przyszedłeś opowiedzieć mi o śmierci księcia Orsyna.

- Masz szpiegów w karczmie? - spytałem, posłusznie siadając.

- Mam, ale to nie twój interes. Tak się złożyło, że posłaniec z wieściami wpierv przybył do domu cechowego. Szukał Feste. Wyobraź sobie.

- Wyobrażam sobie.

Zmierzył mnie ostrym spojrzeniem.

- A czemu ktokolwiek miałby cię szukać? - spytał.

- Bo Orsyna zamordowano.

- Nie to oznajmił posłaniec. Ale założmy, że się nie mylisz. Podejrzewasz tamtego człowieka, Malwolia?

- Naturalnie. Kogo by innego?

Ojciec Gerald spiorunował mnie wzrokiem.

- Kogo by innego? Myślisz, że ktoś zabiłby Orsyna dla innej przyczyny? - Skinął na mnie, wyciągając rękę nad stołem, i rozwinął mapę. Nigdy nie spodziewaj się niczego dobrego, kiedy irlandzki mnich rozwija mapę. - Orsyno, Orsy-no - mruczał.

- Wybrzeże dalmatyńskie między Zarą a Spalato - pospieszyłem mu z pomocą.

- Oczywiście. - Wskazał na mnie zakrzywionym paluchem, jakby to był sierp, którym chciał mnie dźgnąć. - Pamiętam, do jakiej irytacji mnie doprowadziłeś, kiedy w raporcie użyłeś nazwy Iliria. Tylko ty używasz takich przestarzałych pojęć. Od wieków nikt tak nie mówi na te tereny.

- Mnie tak się bardziej podoba - zaprotestowałem, wruszając ramionami.



- Zaczniemy od tego, że Orsyno był podporządkowany Węgrom. Ale Węgry są daleko, a Wenecja blisko. Był panem ziem nad Adriatykiem, a tam wszystkie intrzygi mają swoją kolebkę w pałacu doży. Albo w Pizie. Albo w Genui, gdyby tamtejsi władcy uznali, że Orsyno skłania się ku Wenecji. Lub też w Rzymie, czy też na Węgrzech, gdyby z kolei tam nabrano podejrzenia, że skłania się ku Konstantynopolowi.

- Lub też u Saracenów ze wszystkich wymienionych wyżej powodów, czy też po prostu aby doprowadzić do zamieszania. A może katolicy uznali go za katara lub też katarzy doszli do wniosku, że zbyt skłania się ku katolicyzmowi. A może też gwelfowie zaczęli go podejrzewać, że jest nazbyt gibeliński, czy też gibelinowie uznali go za nazbyt gwelfow-skiego w poglądach i postawie. - Mówiłem, nie przejmując się tym, że jest coraz bardziej rozzłoszczony. - Może zaskoczył go zazdrosny małżonek. Lub zazdrosna małżonka, lub kochanka. Jeden z jego spadkobierców o nad wiek rozwiniętych ambicjach. Może zginął wskutek przypadku, w wypadku. Może się uchłął. Może bogowie zerknęli na niego ze swych wyżyn i dali nieborakowi prztyczka, strącając go ze skały. Żeby się zabawić i pokazać nam, że nic nie znaczymy. Ale nic z tych rzeczy.

- A czemu to, według ciebie? - zawarczał ojciec Gerald.

- Temu, że po mnie posłano. Z wolna skinął głową.

- Racja, w tym sęk. Czy wcześniej były jakieś listy?

- Wyjechałem czternaście lat temu. Kilka listów przyszło do domu cechowego, ale ostatni z górą dziesięć lat temu.

Usiadł wygodniej i uniósł plik pergaminów.

- Zapoznawałem się z twoimi raportami z tej misji, ale wolałbym usłyszeć relację z twych słodkich usteczek.

W mig zebrałem myśli.

- Miasto leży u ujścia rzeki. Utrzymuje się z myta płaconego przez barki przypluwające z głębi lądu i ceł ściąganych ze statków wpływających do portu. Większość handlu kontrolowały dwie rodziny, jednej przewodził Orsyno, drugiej młódka Oliwia, hrabina. W tym czasie, gdy byłem tam z misją zleconą przez cech, świętej pamięci książe szalał na punkcie hrabiny. Odrzucała jego zaloty, gdyż była w żałobie po śmierci świętej pamięci brata. Melancholia tak usidliła Orsyna, a Oliwię rozpacz, że całkowicie zaniedbali sprawę miasta. Cech zaniepokojony tym, że strategiczny port może się stać celem saraceńskich piratów lub nawet ataku, wysłał tam mnie.

- Z zadaniem nakłonienia obu familii do zawarcia przymierza - wspomniął ojciec Gerald.

- Tak, tyle że ona go nie chciała, co może i dobrze się składało. Nie pasowaliby do siebie nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. A tak byli jak sparaliżowani. Ją emablował tamten człowiek, Malwolio, który, jak się przekonałem, miał na widoku ukryte cele. Początkowo uznałem, że pragnie jej dla bogactwa, które wniosłaby mu w posagu, ale po bliższej obserwacji zacząłem podejrzewać, że może być agentem jakiejś nieznanej potęgi.

- Czy udało ci się przejrzeć jego zamiary?

- Nie. Był niezwykle skryty. Mniemam, że omotał hrabinę, podsycając jej rozpacz. Może nawet podawał jej jakieś subtelnie działające opiaty, osłabiające wolę. Uznałem, że należy interweniować, uciekając się do pomocy z zewnątrz. Dowiedziałem się o przydatnych bliźniętach różnej płci. Pochodzili z dobrej rodziny i byli w rozkwicie młodości. Korzystając ze środków cechu, doprowadziłem do tego, że statek, którym podróżowała para młodych ludzi, rozbił się nieopodal miasta, a nasi agenci przywiedli rozbitków do jego wrót. Liczyłem na to, że ich pojawienie obudzi z odrętwienia księcia lub hrabinę.

- Jedna z tych twoich typowych intryg, których powstydziliby się nawet najmniejszy ptasi mózdzek.

- Dzięki stokrotne, ojcie. Ale wydarzyło się coś niespodziewanego. Dziewczę z tej parki, Wiola, okazało się niezwykle zaradne. Lękając się o własne bezpieczeństwo, przebrała się za mężczyznę i znalazła zatrudnienie jako sługa Orsyna. Wysłał ją jako emisariusza swej miłości do hrabiny, ale ta raz na nią... czy też na niego... spojrzała i zakochała się po uszy. Z kolei Wiola zakochała się w księciu, ale lękała ujawnić swoją płęć. Sprawy niebywale się skomplikowały, ale szczęściem brat panny, Sebastian, w końcu pojawił się na scenie wydarzeń. Udało mi się tak pokierować jego krokami, że hrabina szast-prast wyszła za niego za mąż. Orsynowi łuski spadły z oczu i odwzajemnił uczucia Wioli. Szczęśliwe zakończenie.

- Z jednym wyjątkiem - dorzucił ojciec Gerald.

- Z wyjątkiem Malwolia. Pozbawiłem go jakiegokolwiek wpływu na wydarzenia, podsuwając pewną sztuczkę krewnemu hrabiny, panu Tobiaszowi. Stosując przeróżne zabiegi, Tobiasz i inni domownicy przekonali Malwolia, że hrabina go kocha i zareaguje na przedziwne zachowania, które mu podszeptaliśmy. Nabrał się na to i uznany za chorego na umyśle z miejsca trafił do ciemnicy. Przebywał w niej, dopóki bezpieczny obrót spraw nie sprawił, że stał się zupełnie niegroźny. - Przerwałem, wspominając złowieszcze przekleństwo Malwolia, gdy oddalał się rozjuszony. „Potrafię jeszcze zemścić się na całej waszej bandzie”.

- Czy cię rozgryzł?

- Nie sądzę. Byłem zbyt mizerną kreaturą, aby raczył poświęcić mi uwagę. Ale niewątpliwie żywił podejrzenia względem Wioli. Odkrył tożsamość jednego z naszych

agentów, kapitana statku, na którym przyłynęła, i kazał go uwięzić pod jakimś pretekstem. Był bystry, ale tak zarozumiały, że łatwo dał się zwieść.

- Uważasz, że groził serio?

- Z pewnością. Po tym, co mu zaaplikowaliśmy, wydawał mi się zdolny do każdego porywczego czynu. Ale najzwyczajniej w świecie spakował manatki i wyjechał z miasta. O ile pamiętam, skierował się na południe. Udałbym się za nim i sprawdził, czy zniknął na dobre, ale zażądano ode mnie, bym zabawiał gości na uroczystościach weselnych, tak więc w ten obowiązek musiałem ubrać naszego kapitana.

- Co dalej?

- Rutynowa procedura. Z Pantolinem, który w owym okresie był w trasie jako trubadur, ułożyłem rymowaną opowieść o tym, co się wydarzyło, marginalizując własną rolę. Dodatkowo Pantolino zabrał ze sobą rysopis Malwolia, do rozprawienia wśród członków cechu, na wypadek gdyby tamten się gdzieś pokazał. Wtedy ostatni raz o nim słyszałem. Rok później wyjechałem z Orsyno.

Stary mnich wybrał ze stosu kartę i wręczył mi ją.

- To przyszło rok po tym, jak otrzymałem twój raport. Był to spisany po grecku list. Widniejące na nim kleksy świadczyły, że sporządzono go w pośpiechu.

Drogi wuju. Napotkałem kogoś, kto bardzo przypomina mi owego Malwolia, o którym pisałeś. Miałem na oku *Tygrysa*, który trzy dni temu zawinął do portu. Statek pływa pod banderą genueńską ale załoga otwarcie handluje z Ajjubidami i podejrzewa się, że szpieguje dla Saladyna. Malwolio opłacił podróż do Bejrutu. Myślę, że popłynę w jego ślady. Załodze przyda się trochę rozrywki. Gdy tylko przybędziemy na miejsce, skontaktuję się z Twoim człowiekiem. Muszę pędzić, Twój w Chrystusie, Sean.

- Więc pracował dla Saladyna - stwierdziłem, podnosząc wzrok znad listu.

- Cztery miesiące później dostaliśmy z Damaszku to - powiedział, wręczając mi kolejny raport.

Oto relacja z dziwnych wydarzeń i mojego w nich udziału. Mam nadzieję, że się spisałem. Potoczyły się jak z bicza strzelił i dopiero teraz przystępuję do ich analizy.

Do tej pory dowiedzieliście się o zwycięstwach Saladyna pod Hittinem i Jerozolimą. Z wyczerpanymi wojskami zrezygnował z oblegania Tyru i wrócił do Damaszku, gdzie byłem zmuszony pozostać na czas kampanii. Znowu stawiłem się u jego boku, ożywiając dni władcy, a zarazem ile się dało, przenikając jego plany. Wygląda na znużonego, a w mieście krążą pogłoski, że niedługo już zabawi na tym świecie. Niepomyślnym obrotem fortuny został sprowokowany do ostatniej wojny grabieżami tak zwanego pana Ke-raku, Rejnalda de

Chatillon, wynikiem czego wielu oddało duszę.

Czternastego dnia miesiąca maja, jeśli nadal dobrze liczę dni po tak długim pobycie w muzułmańskich krajach, przyprowadzono przed oblicze sułtana chrześcijańskiego więźnia, w kajdanach i żeglarskim przyodziewku. Czarnobrody i ogorzały sprawiał wrażenie szaleńca, gdy strzelał oczami we wszystkich kierunkach. Ku mojemu zaskoczeniu Sala-dyn zaczął go lżyć po arabsku, a więzień płynnie odparł w tym samym języku. Łajano go za nieudane przeprowadzenie jakiejś misji - nie wdawano się w szczegóły. Nieudacznik przede wszystkim błagał sułtana o łaskę i kolejną szansę oddania mu usług. Byłem gotów zlekceważyć ten incydent, uznając przesłuchiwanego za kolejnego zwykłego szpiega, gdy pośród wielu pierścieni, które miał na palcach, zauważyłem nasz cechowy sygnet. Nie miałem wątpliwości. Żelazna obrączka, drobny szafir oszlifowany na kształt oślego pyska. Doszedłem do wniosku, że widzę jednego z naszych, i zacząłem wypatrywać okazji, aby zamienić z nim słówko.

Łatwiej było sobie wyznaczyć ów cel, niż go zrealizować. Saladyn kazał go cisnąć w lochu, do którego ja i mnie podobni nie mieli wstępu, ale tak długo przymilałem się do strażnika i bawiłem go żarcikami, aż udało mi się uzyskać dostęp do celi. Szepnąłem hasło, *Stultorum numerus*, ale nie usłyszałem odzewu. Podszedł tylko do kraty i długo się we mnie wpatrywał. „Jesteś błaznem!”, rzekł zadziwiony. Powtórzyłem hasło: „*Stultorum numerus...*” i tym razem podał odzew: „...*infinitus est!*”\*, po czym zacisnął na mej dłoni palec.

„Nie wiedziałem, że napotkam tu błazna - wyznał. - Chwała niech będzie naszemu Panu, Jezusowi Chrystusowi”.

„Chwała - powtórzyłem za nim. - Niewielu w naszym cechu wie o mojej misji. Masz szczęście, że tu byłem i dostrzegłem sygnet na twym palcu”.

„Tak, nasz cech. Oczywiście. - Zaczął chodzić w tę i we w tę po celi, przyglądając włosy. - Wybacz mi, ale jestem wyprowadzony z równowagi. Nadzieja, że dobrze zniosę tortury, okazała się płonna”.

„Nieboraku. Czy mogę ci jakoś pomóc?”

Złapał za kraty i syknął:

„Możesz mnie stąd wydostać?”

To zbiło mnie z pantałyku. Jesteśmy szkoleni, że w wypadku niepowodzenia misji należy oddać się w ręce przeznaczenia. Gdybym podjął się uwolnienia go, mógłbym narazić siebie i samą misję. Wytłumaczyłem mu to.

\* Z łac. - „Głupców (błaznów) nieprzeliczony jest poczet”.

„Przecież cech jest najważniejszy. Wybacz”.

„Ale nie rozumiesz? Właśnie chodzi o cech”.

„Wytłumacz”.

Znów zaczął się miotać po celi.

„Pojmano mnie po tym, jak kompan błazen, który podobno był członkiem cechu, wkradł się w moje zaufanie i zdradził mnie. Zbyt późno odkryłem, że był saraceńskim szpiegiem. Miał przeniknąć do cechu i dowiedzieć się o jego sekretach”.

„Niemożliwe - powiedziałem. - Potrzeba lat szkolenia, aby zostać błaznem”.

„Przeszedł je - rzekł z naciskiem więzień. - Potrafił śpiewać, grać na licznych instrumentach, mówi na zawołanie mową związaną w kilku językach, żongluje, robi fikołki, tańczy i recytuje. Pięknie wywiódł mnie w pole i gdy na statku pozbawiono mnie wolności, pojawił się przede mną i chwalił swym planem. Mówię ci, to skrytobójca, i cały cech jest w niebezpieczeństwie. Tylko ja wiem, jak on wygląda”.

Nie muszę dodawać, że jego raport nappełnił mnie zgrozą. Zgodziłem się mu pomóc. Przeprowadziwszy staranną obserwację, dowiedziałem się, który niewolnik przynosi strażnikom wieczorny posiłek. Dosypałem do niego wolno działającego proszku nasennego. W środku nocy zakradłem się do lochów i uwolniłem naszego kompana. Przeprowadziłem go za bramy miasta, korzystając z jednego z podziemnych akweduktów, i zaopatrzyłem w prowiant na trzy dni. To wszystko, co mogłem zrobić.

Wrzawa po jego ucieczce już opadła i na szczęście podejrzenia nigdy nie skierowały się w moją stronę. Zastanowiwszy się, dostrzegam dziwne rzeczy w tym człowieku i jego opowieści. Mimo że nosił nasz sygnet i znał odzew, nie zrobił na mnie wrażenia kogoś z naszej braci, chociaż wiem, jak różnorodna bywa natura członków błazniego cechu. Być może zgorzkniał, zakosztowawszy losu więźnia.

Przesyłam ci to ostrzeżenie na wypadek, gdyby nie udało mu się powrócić do domu cechowego. Między nami jest zdrajca, ojciec. Miej baczenie na wszystko. Al-Mutabbi.

Oddałem raport staremu mnichowi, który smutno wpatrywał się w ogień na kominku.

- O Seanie wszelki słuch zaginął - rzekł cicho. - Na Al-Mutabbiego złożono anonimowy donos, z którego Saladyn dowiedział się, że nasz kompan jest szpiegiem, i kazał go ściąć. Mówią, że zaśmiewał się do rozpuku, kiedy topór poszedł w ruch.

- Sean był twoim bratankiem? Nie miałem o tym pojęcia.

- Sam nałożyłem mu na palec sygnet, kiedy był wprowadzany do cechu. Niesforny, niecierpliwy chłopak. Wyglądał jak mój brat w tym wieku. - Siedział w milczeniu, podczas gdy płomienie nagle strzeliły w górę. - Poślemy kogoś do Orsyno - rzekł w końcu.

- Poślemy mnie - powiedziałem. Potrząsnął głową.

- On będzie cię oczekiwał. To zbyt niebezpieczne.

- To będzie zbyt niebezpieczne dla każdego durnia, który nie wpadnie na to, że należy mieć oczy dookoła głowy i jakiś plan działania. Przynajmniej znam teatr działań i aktorów.

- Znałeś, Teofilu. To było piętnaście lat temu. Każdy się zestarzał, nie wykluczając ciebie.

To mi się nie spodobało.

- Nie ufasz mi.

Nie popatrzył na mnie.

- Jak rzekłeś, mam szpiegów w karczmie. I donoszą mi, że masz na koncie takie pohulanki, że bledną przy nich wyczyny Herkulesa.

- A jakże. To normalne między misjami. Mam zbyt wiele wolnego czasu. Czemu mnie nie wysłałeś?

- Powiadają również, że gdy nie pijesz, siedzisz ponuro zasepiony, co zaraz wiedzie do kolejnego pijaństwa. Z tego wszystkiego wnoszę, że po ostatniej misji nie doszedłeś do siebie.

- Chcesz powiedzieć, po ostatnim niepowodzeniu. Potrząsnął głową.

- Teofilku, chłopcze drogi, musisz pogodzić się z tym, że naszą rolę zawsze będzie wywierać subtelny wpływ, a gdy celem jest starzec, który miał nieszczęście osłabnąć na umyśle, zanim oddał władzę, nie jest twoją winą, że sprawy przybrały zły obrót.

- Powinienem być zostać.

- To by nic nie zmieniło. I póki sobie tego nie uświadomisz i nie odzyskasz choć w części podobieństwa do starego dobrego Teofila, zamierzam cię tu trzymać. Nadal jesteś jednym z moich najlepszych ludzi i właśnie dlatego nie posyłam cię do rozwikłania nowego kłębka kłopotów, gdy nadal jesteś zamotany w poprzedni. Wysyłam kogoś innego.

Podniosłem się z ławki.

- W takim razie, ojczu, z żalem stwierdzam, że rezygnuję z członkostwa w cechu.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

- Nie pozwolę na to.

- To bez znaczenia. Jeśli nie wyślesz mnie z ramienia cechu, wyruszę na własny rachunek. Chodzi o ludzi, na których mi zależy, a jeśli sprawcą jest Malwolio, w takim razie ja odpowiadam za to, co ich dotknęło. Wyruszam.

Odwrócił się do kominka i pogrążył w myślach. Nie przeszkadzałem mu.

- Czy ktokolwiek z nich widział cię z niemalowaną twarzą? - spytał nagle.

- Nie, ojczu. Bardzo na to uważałem.

- W takim razie proponuję, co następuje. Jedziesz, ale nie jako Feste. Nawet nie jako

blazen.

- Ale...

- Nie przerywaj, chłopcze. Próbuję uratować ci życie. Pojedziesz jako kupiec. Wymyśl jakąś wiarygodną legendę, która uzasadni przyjazd i okresowy pobyt w Orsyno. Kilka dni po twoim przybyciu ktoś się tam pojawi. Wyślany z mojego polecenia blazen. Tak będziemy mieli na miejscu dwóch agentów i Malwolio skupi wysiłki na tym drugim.

To był dobry plan, chociaż irytowało mnie, że nie będę pracował w ramach mojej profesji, raczej jak zwykły szpieg niż jako blazen. A przecież życiowym celem nie było szpiegostwo. Gdyby tak było, równie dobrze mogłem zostać aktorem.

- Kogo pošlesz?

- Jeszcze nie jestem pewien. Spodziewam się kogoś z Toledo, kto mógłby się do tego nadać. Nie znasz go. Bez względu na to, kto to będzie, ujrzysz na jego palcu ten pierścień. - Podniósł kunsztowne srebrne caczusko, wyobrażające głowę osła. - Kiedy go zobaczysz, posłuż się hasłem.

- Świetnie. Hmm... jeśli mam odgrywać kupca, będę potrzebował pieniędzy. Więcej niż zwykle.

Sięgnął do szuflady pod stołem i wyjął chudawą kieskę.

- To zapewni ci dotarcie aż do Wenecji. Brat Tymoteusz da ci list kredytowy do naszego rachunku w tym mieście.

- Mam się pchać do Wenecji? To trochę nie po drodze.

- Niekoniecznie. Nawet o tak późnej porze roku zapewne znajdziesz łódź, która cię tam dowiezie. Tak bezpieczniej niż lądem. Dotarli nas słuchy, że Serbowie i Chorwaci znów rzucili się sobie do gardeł.

- Jakie stanowisko zajmuje cech w tym konflikcie?

- Ach, życzę im, aby się nawzajem wykończyli. Mielibyśmy ich wreszcie z głowy - burknął. - Nie słuchaj, wcale tego nie powiedziałem. Cech nie zajmuje żadnego stanowiska. Usiłujemy doprowadzić ich do opamiętania. A jak na razie droga przez ich tereny jest ryzykowna, więc skieruj się przez Wenecję. Kiedy tam dotrzesz, nawiąż kontakt z Dominem. Będzie znał plotki o księciu, jeśli jakieś się rozejdą.

- W porządku, ojcze. - Skierowałem się do wyjścia, ale zawróciłem, tknięty poczuciem winy. - Obawiam się, że będę musiał zrezygnować z obecności podczas święta.

Smutno skinął głową.

- Słyszałem, że zamierzałeś mnie sportretować - powiedział. - Cieszyłem się na to. Ale może nie ma z czego rezygnować.

To zabrzmiało niepokojąco.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytałem.

Znów zapatrzył się w ogień, z roztargnieniem masując czoło.

- Rzymowi się wydaje, że kontroluje cech, i wolimy, aby trwał w tym wyobrażeniu.

Ale ostatnio święto wzbudziło niezwykle ostrą krytykę, nie tylko z ust tego bałwana, biskupa Paryża. Nasz papież Innocenty zmienia front. Kościół jest atakowany, ponieważ w końcu wierni zaczynają głośno pytać, dlaczego mają tak mało, podczas gdy słudzy Chrystusa mają tak wiele, i Jego Świątobliwość jest coraz wrażliwszy na szyderstwa. A te obejmują święto głupców\*.

- Ależ to śmieszne. Ten rytuał jest nieszkodliwy.

- Bynajmniej, Teofilu. Jest wywrotowy. Podważa fundamenty gmachu, podczas gdy oni doklejają kolejne złote liście do kopuły, co właśnie zachęciło cech do stworzenia tego święta. Rzym o tym nie wie, ale wie, że mu się ono nie podoba. Używamy wszelkich możliwych wpływów, aby powstrzymać wydanie absolutnego zakazu. Jeśli wyrazi jedynie niezadowolenie, wyniesiemy skórę cało, ale możliwe, że będziemy kroczyć po bardzo kruchym lodzie. To kolejna przyczyna, dla której chciałem cię tu zatrzymać. Jednakże sądzę, że przez jakiś, niezbyt długi czas, zdołam się bez ciebie obejść. Kiedy się spotkasz z Dominem, poinformuj go o tym, co ci teraz przekazałem. Niech wykorzysta swoje wpływy w Wenecji i zadziała na naszą korzyść.

- Tak, ojciec. - Odwróciłem się do wyjścia.

- Teosiu. Jest jeszcze jedna rzecz.

Zawróciłem kolejny raz. Obszedł stół i ujął moją dłoń.

- Pragnąłbym, abyś przed wyjazdem przyszedł do mnie do spowiedzi - rzekł.

Serce osunęło mi się w piersiach.

- Nie mogę, ojciec. Muszę jeszcze uczynić rachunek sumienia. Jak mogę do ciebie przyjść?

\* Urządzana od ok. V do XVI w. przez duchownych i świeckich karnawałowa zabawa (najpopularniejsza we Francji, ale również na Wyspach Brytyjskich, w Hiszpanii i krajach niemieckojęzycznych), podczas której odprawiano liturgię na niby, słudzy przebierali się za panów, ci za sługi, mężczyźni za kobiety i odwrotnie, itp. Zakazana na soborze florenckim (zakończony w 1443 r.).

- Martwię się nie tylko o twoje życie, mój chłopcze. Muszę się również martwić o twoją nieśmiertelną duszę. I nie mogę przestać myśleć o tym, co może ci się przydarzyć.

- Nie jestem jeszcze gotowy, ojciec. Może, kiedy wrócę. Poklepał mnie po ręce i



wypuścił ją z uścisku.

- W takim razie postaraj się na pewno wrócić, Teosiu.

- A ty się postaraj żyć, kiedy wrócę. Po raz pierwszy się roześmiał.

- Ruszaj, chłopcze. Zawarliśmy pakt. - Kolejny raz ruszyłem do wyjścia. - Teosiu...! - zawołał, kiedy już wyszedłem z jego izdebki.

- Tak, ojcze? - odparłem, zaglądając do środka.

- Znajdź Malwolia. Dowiedz się, co wie o cechu i dla kogo pracuje. Potem możesz mu sprawić chrześcijański pochówek.

- Tak, ojcze. - Poszedłem korytarzem.

- Teosiu! - krzyknął.

- Tak, ojcze?

- Nie ma dla mnie zbytniego znaczenia, czy pochowasz go żywego czy też umarłego.

- Tak, ojcze. - Ruszyłem do tunelu, podczas gdy drzwi jego izdebki z hukiem się za mną zatrasnęły.

## Rozdział II

*Oto Ja was posyłam jak owce między wilki.*

*Bądźcie więc roztropni jak węże, a nieskazitelni jak gołębie!*

Mt.10, Kiedy wróciłem do domu cechowego, zastałem brata Tymoteusza samotnie żonglującego szósteczką maczug - nowicjusze gremialnie wyruszyli na wieczorny posiłek. Przy każdym obiegu zmieniał tor i maczugi zdawały się krążyć chaotycznie, atoli kierunki ich ruchów były wytyczane z matematyczną precyzją. Gdy się przybliżyłem, skinął mi głową i trzy maczugi uwolniły się spod jego opieki, i chyżo poleciały ku mnie. Tym razem byłem przygotowany i trzeźwy, łatwo je więc złapałem i odesłałem tam, skąd przybyły, ciskając je znad głowy.

- Potraktuję cię wyrozumiale - obiecał Tymoteusz. - Teraz głęboki oddech. I...

Rzucaliśmy prawą ręką tak, że maczugi okrążały imagina-cyjny punkt między nami, sunąc jedna za drugą.

- Był czas, kiedy sam potrafiłeś utrzymać w powietrzu ósemeczkę - skomentował naszą zabawę Tymoteusz.

- Był taki czas - zgodziłem się z nim. - Był czas, kiedy potrafiłem biec pół dnia bez przystanku. Był czas, kiedy nikt nie potrafił mi dotrzymać pola przy kielichu. Ale ten czas się skończył.

- W takim razie nie powinieneś wybierać się w misję - rzekł prosto z mostu.

Nie pytałem go, skąd wie. Miał nosa. Wiedział, co się wydarzy, zanim się wydarzyło.

- Na ile mu osłabły? - spytałem, wskazując tunel prowadzący do celi mnicha.

- Nie wiem, o czym mówisz - mruknął, zmieniając tor obiegu maczuga, aby odwrócić moją uwagę od poruszonego tematu.

- O oczach ojca Geralda. Kiedy zaczęły mu siadać?

- Czemu myślisz, że do tego doszło?

- Nie może znaleźć na mapie Orsyno. Każe zdać słowną relację z misji, kiedy ma przed nosem pisemny raport. Zleca tobie wydanie listu kredytowego. Wcześniej nigdy się tak nie zachowywał. Ślepnie, prawda?

- Ślepy czy widzący jest sprawny jak zawsze. Jeśli cię to tak niepokoi, zostań i pomóż mi się nim opiekować.

- Nie mogę zostać. Wyruszam do Orsyno.

- Pchany prywatą zostawiasz cech w dobie kryzysu. Zachowujesz się jak niedorostek, Teosiu, kiedy naprawdę byś się nam tu teraz przydał. Być może będziemy zmuszeni się przenieść.

- Jest aż tak źle?

- Kiedy Rzym pokazuje, co potrafi, tak. Jest aż tak źle. Byłem wstrząśnięty. Nie miałem pojęcia, że sprawy zaszły tak daleko.

- Można by pomyśleć, że mają więcej oleju we łbach. Aż korci wyjść z Kościoła i przystąpić do waldensów\*.

\* Odłam chrześcijan powstały w XII w. Za podstawę wiary przyjmował tylko Biblię, odrzucał autorytet papieża, krytykował zbytek wyższego duchowieństwa i żądał reform w Kościele.

- Ach, waldensi - rzekł z pogodnym rozmarzeniem Tymoteusz. - Urocza malutka sekta. Rzym wiele mógłby się od niej nauczyć, gdyby tylko się mu chciało ucha nastawić. Aż serce rośnie, kiedy pomyślę, jak się przyłożyliśmy do powstania tego wszystkiego.

- My? Zupełnie o tym nie wiedziałem.

- To piękna historyjka. Pewnego dnia lyoński kupiec, Piotr Waldo, usłyszał trubadura śpiewającego *Żywoć świętego Aleksego* i bezzwłocznie rozdał majątek, i zaczął głosić cnotę ubóstwa. Oczywiście, trubadur był jednym z nas.

Roześmiałem się.

- Chcesz powiedzieć, że powinniśmy sobie przypisać zasługę za ten zbieg przypadków?

- W dzisiejszych czasach trudno odróżnić ugór od żyznej ziemi - odparł z powagą. - Tak więc siejemy nasze ziarno wszędzie i jesteśmy dobrej myśli. Powiem ci coś. Gdybyś uciekł do waldensów, mógłbym się z tobą udać. Tyle że gdyby Rzym skierował na nas swoje czujne oko, jeden Bóg wie, co uczyniłby konkurencji, zwłaszcza takiej, która głosi instytucjonalne ubóstwo. Jak już o tym mowa, to będziesz potrzebował na tę swoją przygodę pieniędzy.

- Tak. I konia.

- Osioł jest wystarczająco dobry dla błazna, błaznie.

- Ale ja wybieram się jako kupiec. Konno, w przyzwoitym przyodziewku i z tak zasobnym mieszkem, aby podróżować na poziomie. Tak zdecydował zacny ojciec duchowny.

Nachmurzył się. Żelazną łapą ścisnął trzos cechu, a tu kroila się ekstrawagancja co się zowie. Lecz ja wciąż jeszcze byłem naburmuszony po tym, jak na czas tej misji zmuszono mnie do pozostawienia w szafie pstrokatego błazniego stroju, o trójrożnej czapce nie wspominając, prędeż więc oddałbym duszę diabłu, niż ustąpił im choć na paznokiec.

- Niech ci będzie, Teosiu - zgodził się. - Jedziesz przez Wenecję?

Skinąłem głową.

- Chodź ze mną - polecił. - Dam ci list kredytowy. Jesteś pewien, że podołasz temu zadaniu?

Wytrzeszczył oczy, kiedy mój sztylet przeszył powietrze o dłoń od jego ucha i wbił się w słup za jego plecami. Maczugi dalej krążyły tym samym torem.

- Jeszcze kompletnie nie zdziadziałem - warknąłem.

Opuściłem ręce, cofnąłem się o krok, tak że maczugi opadły ze stukotem wokół mnie. Tymoteusz grzmotnął na podłogę maczugę, która mu została, wyrwał sztylet z kłoca litego drewna i cisnął go z powrotem. Minął moje ucho o palec. Oddałem pokłon mistrzowi i wyciągnąłem ostrze ze ściany.

Niccoló zrównał się ze mną, gdy szedłem do stajni. Moja świeżo spęczniała sakiewka radośnie podzwaniała u pasa.

- Twój tajemniczy posłaniec ma nie byle jakiego rumaka - zgłosił mi. - O wiele lepszego niż jakkolwiek nasza szkapa. Udał się w przewidzianym przez ciebie kierunku, oddalając się z fantastyczną prędkością. Jeśli chcesz, mógłbym za nim ruszyć, ale wątpię, abym go dogonił na którejs z tych łękowatych chabet.

- Dziękuję, ale nie. To człek bez znaczenia. Ten, na którym mi zależy, będzie na mnie czekał u kresu podróży. - Podał mi dłoń i ująłem ją. - Będziesz musiał przejąć rolę ojca

Geralda podczas naszego święta.

- Nie naśladowuję go równie wybornie jak ty.

- Ach, waldensi - rzekł z pogodnym rozmarzeniem Tymoteusz. - Urocza malutka sekta. Rzym wiele mógłby się od niej nauczyć, gdyby tylko się mu chciało ucha nastawić. Aż serce rośnie, kiedy pomyślę, jak się przyłożyliśmy do powstania tego wszystkiego.

- My? Zupełnie o tym nie wiedziałem.

- To piękna historyjka. Pewnego dnia lyoński kupiec, Piotr Waldo, usłyszał trubadura śpiewającego *Żywoć świętego Aleksego* i bezzwłocznie rozdał majątek, i zaczął głosić cnotę ubóstwa. Oczywiście, trubadur był jednym z nas.

Roześmiałem się.

- Chcesz powiedzieć, że powinniśmy sobie przypisać zasługę za ten zbieg przypadków?

- W dzisiejszych czasach trudno odróżnić ugór od żyznej ziemi - odparł z powagą. - Tak więc siejemy nasze ziarno wszędzie i jesteśmy dobrej myśli. Powiem ci coś. Gdybyś uciekł do waldensów, mógłbym się z tobą udać. Tyle że gdyby Rzym skierował na nas swoje czujne oko, jeden Bóg wie, co uczyniłby konkurencji, zwłaszcza takiej, która głosi instytucjonalne ubóstwo. Jak już o tym mowa, to będziesz potrzebował na tę swoją przygodę pieniędzy.

- Tak. I konia.

- Osioł jest wystarczająco dobry dla błazna, błaznie.

- Ale ja wybieram się jako kupiec. Konno, w przyzwoitym przyodziewku i z tak zasobnym mieszkaniem, aby podróżować na poziomie. Tak zdecydował zacny ojciec duchowny.

Nachmurzył się. Żelazną łapą ścisnął trzos cechu, a tu kroila się ekstrawagancja co się zowie. Lecz ja wciąż jeszcze byłem naburmuszony po tym, jak na czas tej misji zmuszono mnie do pozostawienia w szafie pstrokatego błazniego stroju, o trójrożnej czapce nie wspominając, prędzej więc oddałbym duszę diabłu, niż ustąpił im choć na paznokcie.

- Niech ci będzie, Teosiu - zgodził się. - Jedziesz przez Wenecję?

Skinąłem głową.

- Chodź ze mną - polecił. - Dam ci list kredytowy. Jesteś pewien, że podołasz temu zadaniu?

Wytrzeszczył oczy, kiedy mój sztylet przeszył powietrze o dłoń od jego ucha i wbił się w słupek za jego plecami. Maczugi dalej krążyły tym samym torem.

- Jeszcze kompletnie nie zdziałem - warknąłem.

Opuściłem ręce, cofnąłem się o krok, tak że maczugi opadły ze stukotem wokół mnie. Tymoteusz grzmotnął na podłogę maczugę, która mu została, wyrwał sztylet z kłoca litego drewna i cisnął go z powrotem. Minął moje ucho o palec. Oddałem pokłon mistrzowi i wyciągnąłem ostrze ze ściany.

Niccoló zrównał się ze mną, gdy szedłem do stajni. Moja świeżo spęczniała sakiewka radośnie podzwaniała u pasa.

- Twój tajemniczy posłaniec ma nie być jakiego rumaka - zgłosił mi. - O wiele lepszego niż jakakolwiek nasza szkapa. Udał się w przewidzianym przez ciebie kierunku, oddalając się z fantastyczną prędkością. Jeśli chcesz, mógłbym za nim ruszyć, ale wątpię, abym go dogonił na którejś z tych łękowatych chabet.

- Dziękuję, ale nie. To człek bez znaczenia. Ten, na którym mi zależy, będzie na mnie czekał u kresu podróży. - Podał mi dłoń i ująłem ją. - Będziesz musiał przejąć rolę ojca Geralda podczas naszego święta.

- Nie naśladowuję go równie wybornie jak ty.

- Powiedzie ci się. Przećwicz potykanie się i wpadanie na meble. Jeśli cię spyta, czemuś to robił, wyjaśnij, że to za moją sugestią. Zrozumie, o co mi chodziło.

Brat Dennis podkuwał gniadą klacz, kiedy go naszedłem. Na sutannę nałożył skórzany fartuch, w kąciku ust trzymał pęczek hufnali.

- Chwila i jestem do usług - mruknął.

Klacz próbowała się mu wyrwać, ale mocarnym ramieniem zakleszczył jej nogę. Jednym uderzeniem wbił gwóźdź, wypuścił klacz, z uczuciem klepnąwszy ją po zadzie. Parsknęła i oddaliła się klusem.

- Czym ci mogę służyć, Teosiu? Mam wytrenowanego na święto osła.

- Dziękuję ci, ale nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności nie będzie mnie tu wtedy. Jutro wyruszam i będę potrzebował któregoś z twoich najświetniejszych arabów.

Parsknął bardzo podobnie jak klacz, którą niedawno podkuwał.

- Cóż to za potrzeba? Osiołek już nie wystarcza szanownemu panu?

- Jadę przebrany za kupca. Zwierzę, które będę miał pod sobą, musi zwawo przebierać nogami. Gestem zaprosił mnie do środka.

- W tej chwili większość to zwykłe szkapy juczne i pociągowe, ale mam jednego, który mógłby się nadać. Kłótlivy drań, nic mnie tak nie ucieszy, jak rozbrat z nim na jakiś czas.

To była niebytnie przekonująca rekomendacja. Zwierzę okazało się wielgachnym, mysiej maści potworem, który mierzył mnie bardzo nieprzychylnym spojrzeniem.

- Jak ci się podoba? - spytał Dennis. Wyciągnąłem rękę, chcąc pogłaskać monstrum, i udało mi się ją cofnąć na tyle szybko, że uratowałem palce.

- Mam dosiąść tego czegoś?

- Ach, nie przejmuj się tak. Powiedziałeś, że zależy ci na koniu, który potrafi żwawo przebierać nogami. Dobry stary Zeus ma dość wigoru, byłeś tylko nauczyl się z nim obchodzić.

- A jak nie posiadę tej sztuki?

- Wciąż potrafi szybko biegać. Tylko trzeba mu nadać ten kierunek, na którym tobie zależy. Jutro będzie na ciebie czekał gotowy i osiodłany.

Podziękowałem Dennisowi i wycofałem się ze stajni, przezornie nie spuszczać oka z przydzielonego mi potwora. Wspiąłem się po długiej drabinie na wielki strych rozciągający nad stajniami. Tam zwykle siostra Agata śmigła igłą. Siedziała za stołem roboczym, przy szerokim oknie, wykorzystując ostatnie promienie słońca. Wykańczała jakąś gigantyczną białą czapę. Siostra Agata została pozyskana przez cech dwadzieścia lat temu i miała zostać błaznem, ale jej umiejętności szycia najbardziej skomplikowanych ubiorów okazały się cenniejsze. Mijające dziesiątki lat nie odebrały szybkości jej zręcznym dłoniom, mimo że poznały je siateczką blizenek, a jej okrągłe, wyglądające spod chusty rumiane oblicze tchnęło taką samą pogodą jak wtedy, gdy pojawiła się u nas po raz pierwszy.

- Agatko, luba dziewico, porzuć swe przysięgi i pobaraszkuj ze mną na łączkach Kupida lub serce mi pęknie z żalości!

Uśmiechnęła się, pokazując urocze dołeczki, jak zawsze gdy z nią flirtowałem, i przez chwilę wyglądała dwadzieścia lat młodziej.

- A wynoście się! - zachichotała. - Jakby taki staruszek jak ty mógł mi się jeszcze do czego przydać. - Podniosła do światła swoją robotę i dopiero wtedy dostrzegłem, że to niezwykle uduwniona mitra. - Dla biskupa głupców - powiedziała. - Patrz. - Pociągnęła za sznureczek u podstawy i otworzyła się skrytka, której do pory nie dostrzegłem. - Tu schowa się synogarliczki. Na dany znak się je wypuści i przycupną pod okapem dachu. Tak przy okazji, nie zamierzam siadać pod ich miejscem i tobie też go nie polecam.

- Świetna robota. Niestety, nie zasiadę nie tylko tam, ale i nigdzie w pobliżu. Wyruszam ze świtaniem.

Mina jej zrzędła.

- I ominie cię nasze święto! Co za szkoda, panie Teosiu. Wszyscy niezwykle się radowaliśmy twoim towarzystwem po tak długiej nieobecności. Wieki całe nie zaglądałeś do ojca Geralda.

- Serduszko moje, niech w takim razie wystarczy pamięć o mnie. Ciesz się, że w tak podeszłym wieku nadal się nadaję do przeprowadzenia misji. I potrzebuję twojej igły, by ze strojem przybyło mi szyku.

Westchnęła ze znużeniem.

- Tyle kostiumów do uszycia, a ty nawet nie potrafisz nareperować swojego błazeńskiego stroju. Naprawdę, Teosiu...

- Błazeńskiego stroju? To nie dla mnie. Tym razem jadę przebrany za kupca i potrzebuję stosownej garderoby.

Spojrzała na mnie koso.

- Nie wysyłają cię jako pajaca?

- Nie. Jarmarczne kolorki wyraźniej podpowiadają ostrzom cel. Tako rzeczce zacny ojciec duchowny.

- To haniebne, jak cię tu traktują. Jesteś jednym z najlepszych.

- Kiedyś, moja droga. Teraz, chcąc się przypodobać publice, muszę grubszą niż dawniej warstwą mazidla zakrywać rysy na moim steranym obliczu. Zmarszczki i zmarchy głęboko ją porwały, o zgryzotach nie wspominając.

- Bzdury opowiadasz - zbesztła mnie i zniknęła między rzędami stojaków z kostiumami. - Ale taki twój fach - dodała, wyłaniając się z wysokim stosikiem jednolicie brunatnego przyodziewku. - Nie ruszaj się. - Wzięła parę sięgających za kolana spodni i zmierzyła mnie krytycznym spojrzeniem. - Będę musiała trochę rozpuścić szwy. Góme okrycie cięto z niemieckiego barchanu. Mógłbyś uchodzić za niemieckiego kupca?

- Wybór równie dobry jak każdy inny.

- Świetnie. Oto nowa opończa. Podbicie z baranka, bramowana liskami. Wszyję kilka sekretnych kieszeni. Potrzebny ci pas na pieniądze?

- Mam.

- Jak twoje wysokie buty?

- W całkiem przyzwoitym stanie.

- W takim razie wystarczy ci to, co tu masz. Przymierz opończę.

Była czarna z wielkim kapturem. Ułożyłem ją sobie na ramionach i przespacerowałem się przed nią dumnym krokiem.

- Nie jak kondotier - przygasła moją fanfaronadę. - Kupcy zawsze wyglądają na znużonych. Kulą się i wciąż macają sakiewkę, bo to jedyna rzecz, dla której żyją.

Nieco się przygarbiłem i otuliłem opończa^ jak żółw kryjący się do skorupy. Nakryła mi głowę kapturem i cofnęła się, taksując mnie wzrokiem.

- Jak długo będziesz podróżował? - spytała.

- Może dziesięć dni.

- Przestań się golić - doradziła mi. - Zanim dotrzesz na miejsce, wyhodujesz sobie niezgorszą bródkę. Pewnie będzie siwa.

- Pewnie niebawem oszroni mi się i łepetyna. Obiecuj, że będziesz na mnie czekać, słodka Agatko.

- Już obiecałam to komuś innemu. Dawno temu, Teosiu. Ale w moim sercu zawsze masz niezagrożoną drugą lokatę.

- Znając konkurencję, to znakomita pozycja. Dobrej nocy, siostró.

Zlazłem na dół i poszedłem do kuchni, wyżebrać późną kolację. Oczywiście wieść się rozeszła i kilku starszych kompanów przyszło mi życzyć powodzenia. Większość z nich wycofała się już z gry i teraz przekazywała swoje umiejętności młodszym pokoleniom. Nie potrafiłem ocenić, czy mi zazdroszczą<sup>^</sup> że wyruszam w teren, czy myślą, że postradałem zmysły.

W mojej celi przy blasku samotnej świecy spakowałem dwie sakwy. Optymistycznie dorzuciłem pstrokaty błazni przyodziewek i ekwipunek; nie wiadomo, gdzie los mnie rzuci po tej wyprawie. Sięgnąłem pod pryczę i wyciągnąłem sztylet oraz miecz. Obnażyłem ostrza, obejrzałem je starannie, po czym zadałem kilka pchnięć wyimaginowanemu przeciwnikowi. Śmiercionośne żelazo wydało mi się cięższe, niż pamiętałem, a dawno nie używanym mięśniom barku i ramienia niezwykajny wysiłek dał się we znaki. Nie dość, że szczyt formy dawno miałem za sobą, to zawsze byłem zaledwie poprawnym szermierzem. Pozostawała nadzieja, że w tym względzie nikt nie weźmie mnie do galopu.

Zapiąłem sakwy, złożyłem je na podłodze i padłem na pryczę. Odwróciłem się na bok i wyrząłem przez okno. Cofający się księżyc wzniósł się na niebie i towarzyszyły mu roje gwiazd. Westchnąłem w duchu, by pogoda się utrzymała. Przynajmniej dopóki się nie znajdę na drugim brzegu Adriatyku. Zimowe przeprawy były wystarczająco ciężkie i przy niezłej pogodzie. Przeszło mi przez głowę, czy aby się nie pomodlić, ale nie zrobiłem tego. Uznałem, że moje modlitwy spotkają się z taką uwagą, na jaką zasługują, i że każdy przeżyty dzień jest tylko krótką zwłoką przed ogniem piekielnym i siarką, które mnie czekają. Potem myślałem o nieżywym księciu i żyjącej księżnej, o tłustym pijaku i chudym strachu na wróble, namiętnej hrabinie i bliźniętach, do których kiedyś się los uśmiechnął, a także o obdarzonym czarną brodą i czarnym sercem intendencie ich losów. I mojego, jeśli nie zachowam ostrożności. Zadygotałem i zapadłem w sen.

Zaraz potem zapał kogut, tak mi się przynajmniej zdało. Całe ciało stawiało opór, gdy



zwlokłem się na zimną kamienną posadzkę. Sakwy leżały w pogotowiu, na nich miecz. Przypasałem go i stałem się panem.

Powlokłem się z bagażami do stajni. Brat Dennis był już na chodzie, dorzucając drewno do paleniska kuźni. Podniósł sakwy, jakby ważyły piórko, i zarzucił je na zad Zeusa, na co śpiący do tej pory koń zareagował szaleńczym wierzganiem i parsknięciami. Dennis puścił do mnie oko, co wcale nie dodało mi otuchy.

Wspiąłem się po drabinie tam, gdzie czekała w chłodnym powietrzu siostra Agata, rozkoszując się pierwszymi promieniami słońca. Rzuciła mi strój podróżny.

- Przymierz - rozkazała.

Posłusznie poszedłem za parawan i przebrałem się. Dołożyłem do przyodziewku miecz, opończę, wsunąłem do rękawa sztylet, za cholewkę buta długi nóż, na koniec przygarbiłem się i przybrałem znużoną minę, co przyszło mi bez żadnego wysiłku.

- Pobłogosławcie utrudzonemu wędrowcowi - zajęczałem z niemieckim akcentem.

- Niech cię Bóg strzeże podczas podróży - rzekła na to z powagą Agata i ku memu zaskoczeniu uściskała mnie i poklepała po policzku. - Wracaj i jeszcze poprzywóź mnie do złego, ty stary łobuzie. - Potem się szybko odwróciła, tak bym nie ujrzał łez.

Dennis spojrzał na mnie krytycznie, gdy pokazałem mu się w moim nowym przybraniu.

- Wyglądasz zwyczajnie - stwierdził. - Zupełnie nie jak ty.

- Właśnie w tym rzecz - wytłumaczyłem.

Podsadził mnie na siodło, po czym przyskoczył, chwytając wodze, gdy Zeus próbował mnie zrzucić.

- Czy można ich nie uwielbiać, kiedy okazują tyle energii? - sapnął, podczas gdy koń usiłował się wyrwać. - Już gryzie wędzidło.

- Nie wędzidło chciałby zgryźć, ale kawałek mojego ciała - wrzasnąłem, ale udało mi się ściągnąć wodze. Konisko rakiem docisnęło się do drzwi stajni i mało ich nie rozwaliło, ale w końcu zdało sobie sprawę, że trzymam je krótko i lepiej uczyni, słuchając mej woli. - Ta przejażdżka świetnie się zapowiada - stwierdziłem ponuro.

- Nie ma to jak pozytywne nastawienie! - powiedział Dennis. - Uściskałbym ci dłoń, ale jeszcze jakiś czas trzymaj je tam, gdzie trzymasz. Powodzenia, Teosiu.

Żwawym klusem wyprowadziłem konia ze stajni na dziedziniec domu cechowego. Był tam Niccoló, kierując grupą nowicjuszy podczas porannych ćwiczeń gimnastycznych. Pomachał mi, po czym szybko odegrał roztrzęsionego staruszka i potknął się o wiadro. Z aprobatą skinąłem głową i wyjechałem. Mijając karczmę, rzuciłem jej tęskne spojrzenie, ale

była jeszcze zamknięta.

Tuż przed rogatkami osady miałem dziwne spotkanie. Pozdrowił mnie jeździec podążający w przeciwnym kierunku.

- Witaj, szlachetny Balaamie! - zawołał.

Gdy podniosłem wzrok, ujrzałem przebranego za trubadura młodzieńca, dosiadającego pięknego kasztana. Jego strój mienił się kolorami i kosztował więcej niż połowa rocznego honorarium większości z nas.

- Ale powinieneś jechać na osle, nie na koniu - ciągnął, zbliżywszy się.

To przywołanie uświadomiło mi, z kim mam do czynienia. Był to młody Bernadone, syn zamożnego kupca z Umbrii, gdzie będąc kiedyś przejazdem, posługiwałam się imieniem Balaam. Było to kilka lat temu i od tamtej pory nasze drogi kilka razy się skrzyżowały.

- Cóż za szczęśliwe spotkanie, *monsignore* Francesco - powitałem go kordialnie. - Czy przybywasz, by w końcu wstąpić do naszego cechu?

- Niestety, nie - rzekł. - Ojciec by na to nie przystał.

Ale za to udzielił mi zezwolenia, bym obejrzał święto głupców, obchodzone przez mistrzów. Zapowiedział, że to moje ostatnie folgowanie szaleństwu młodości. Nie mów mi, że wyjeżdżasz.

- Niestety, tak - odparłem. - Nowe stanowisko. Pajac nie może wybierać sobie zatrudnienia i musi podążyć na każde wezwanie. Ale beze mnie czeka cię stosowniejsza zabawa.

Przez chwilę miał smutną minę. W końcu zeskoczył z siodła i podszedł do mojego konia.

- Ale skąd się wzięło to wspaniałe stworzenie? Zwykle noszą cię dwie własne nogi.

- Łaskawy dar zamożnego patrona. Stworzenie nazywa się Zeus z racji błyskawicznej szybkości i kapryśnego temperamentu. Co zaś się tyczy jego jurności, dopiero mi ją zaprezentuje, gdy napotkamy jakąś klaczkę.

Francesco ujął w dłonie koński łeb i przyjrzał mu się uważnie. Ku mojemu zaskoczeniu bestia poddała się bez oporu temu badaniu. Młodzieniec spojrzał jej prosto w ślepią.

- Traktuj go dobrze - zalecił mi. - W swym życiu przeszedł więcej niż ty i zasługuje na wygodną podróż. Obchodź się z nim łagodnie, gdyż to mój przyjaciel. Niech Bóg zapewni wam obu bezpieczny przejazd. - Zakończywszy swe błogosławieństwa, uściskał mi dłoń. - Bóg z tobą, zacny Bahamie. Przyjeżdż jeszcze kiedy do Asyżu. Porozmawiamy.

Dosiadł konia i ruszył dalej.

Zatrzymałem się przy bramie i zastukałem do drzwi strażnika. Zaspany wyjrzał zza drzwi.

- Wcześniej wstałeś, Teosiu - zauważył.

- Ten młody trubadur, który przed chwilą przejeżdżał, to nikt z naszych - powiedziałem mu z naciskiem. - Powiadom cech. Pewnie jest nieszkodliwy, ale bez względu na wszystko należy mieć na niego oko.

- W porządku, Teosiu. Powiem komu trzeba.

Podziękowałem mu i odjechałem. Co dziwne, Zeus się uspokoił i wiózł mnie całkiem grzecznie. Może była to robota Francesca, może nie. Mnie pozostaje tylko stwierdzić, że niektórzy ludzie mają podejście do zwierząt.

### Rozdział III

*Błazeństwo, mój panie, krąży nad światem jak słońce i zarówno wszystkim przyświeca.*

*Wieczór Trzech Króli, akt III, sc. 1, przeł. Leon Ulrich*

Żwawo podróżując dzień cały, dotarłem do Werony, gdzie udało mi się znaleźć skromny konwój trzech barek wiozących z Adygi do Wenecji modrzewiowe i sosnowe drewno. Przyjęto mnie z zadowoleniem, gdyż zasililem nie tylko trzos żeglarzy słodkich wód, ale i ich arsenał. Chociaż piractwo rzeczne zdarzało się teraz o wiele rzadziej niż dawniej, surowa zima zawsze sprowadzała wilki z gór, a wiele z nich chodziło na dwóch nogach.

Zeus ku mojej skrytej satysfakcji był wielce nieszczęśliwy, podróżując wodą. Rżał i tańczył, gdy barka kołysała się na falach. Wystarałem się o jakąś starą derkę i okryłem go, chroniąc przed wiatrami, które hulały po pokładzie.

- Nie przejmuj się tak, stary Greku - szepnąłem mu. - Potem wejdziemy na prawdziwy statek. - To chyba nie poprawiło mu humoru. Założyłem mu na łeb wór z owsem i poszedłem na dziób.

Płynęliśmy ze zwodniczą prędkością. Pewnie nastąpiła przejściowa odwilż, bo stan rzeki był wysoki i pędziły po niej kawały kry. Załoga utrzymywała stałą szybkość. Nic wtrącałem się w jej zajęcia. Wielkim respektem darzę muskulaturę innych, a ci rośli Lombardzycy byli tak potężnie zbudowani, jakby zamiast drągów służących im do pilnowania kursu mogli operować wielkimi pniami, które transportowali.

Zacumowaliśmy na noc i rozbiliśmy na brzegu obozowisko. Oczywiście, nie brakowało nam drewna na ognisko, gdyż wieźliśmy jego równie pokaźny zapas. Strażowałem na zmianę z innymi, cicho rozprawiając i od czasu do czasu dorzucając dREW do ognia. Woń

płonącej sosny, snująca się przejrzystą zimową nocą, ma cudownie krzepiącą moc i mimo niewygody posłania czułem się coraz sprawniejszy. Może po prostu trzeba mi było udać się w podróż, niczego więcej.

Trzeciego dnia zarost zgęstniał mi na tyle, że wyglądał już przyzwoicie. Osłona na zimę, jakbym był jakąś odmianą łasicy. Przybliżaliśmy się do morskiego wybrzeża. Rieczne koryto poszerzyło się i częściej niż wprzódy napotykalismy łodzie i przystanie. Gdy pokonywaliśmy pewien zakręt, z oddali usłyszałem głośnie trajkotanie, jakby wielkie stado gęsi poniechało wędrówki na południe i miało pracować skrzydłami, puściło w ruch dzioby, dyskutując o Platonie.

Kiedy przybliżyliśmy się do źródła owego rejwachu, zdałem sobie sprawę, że wytwarza go istna armia praczek, pochylonych nad brzegiem rzeki i rozgadanych, a przy tym nieczułych na spotęgowany wiatrem chłód wody. W oddali dostrzegłem niewielki obozisk. Rozpoznałem sztandary Flandrii, Szampanii, Montferratu i kilku innych krain. Grupka rycerzy bez entuzjazmu szkolila konie lub ćwiczyła szermierkę, podczas gdy giermkowie kulili się przy ogniskach ciurów.

- Spójrście tam - powiedział kapitan barki, wskazując inny pobliski obóz.

Poszedłem wzrokiem za jego ręką i ujrzałem kolejną grupę niewiast, młodszych i ładniejszych niż te, które tłukły kijankami rozłożone w wodzie derki.

- Znowu święta wyprawa krzyżowa? - spytałem.

- A tuż za nią jej święte kurwy - powiedział. - Jeśli się oddacie Chrystusowi, one oddadzą się wam. No, ściśle biorąc, może nie oddadzą.

- I z wiosną dokonają inwazji Ziemi Świętej? Roześmiał się.

- Przekonamy się. Gdyby papież płacił równie dobrze jak niewierni, na pewno wszyscy bylibyśmy lepszymi chrześcijanami. - Nie zagłębił się więcej w ten temat.

Do południa dotarliśmy do Chioggii i rzuciliśmy kotwicę przy brzegu. Celnik przybył na inspekcję i sprawdził, czy linia ładunkowa, zaznaczona w burcie sporym kolcem, widnieje nad wodą. Kapitan odcumował szalupę, siadł do wiosł i popłynął na poszukiwania mistrza Lombardczyków, ja natomiast pożegnałem dotychczasowych towarzyszy podróży i sprowadziłem Zeusa na ląd. Znalazłem mu stajnię na czas mojego pobytu w mieście, a następnie wsiadłem na *traghetto*\* i popłynąłem do Wenecji.

Wielu ona zachwyca; uważają, że ten cały pomysł budowania miasta na niewydarzonych przybrzeżnych błotach to ósmy cud świata. Mnie on mierzi. Wszędzie brud i niehumaniczny smród z bulgocących kotłów, pieców szklarzy, mydlarzy

\* Gondola kursująca między wyznaczonymi na stałe przystankami. i hutników.

Kiedyś miałem występ w jednej skromnej parafii i cały wolny czas musiałem się pilnować, żeby nie uświnić bielidla na twarzy. Raz przynajmniej byłem zadowolony, że mamy zimę, gdyż przymrożone bagna nie trują miazma-tami.

Udałem się prosto do Bacino San Marco, gdzie znalazłem *Ursęu/e*, roundship\* o wyporności jakichś sześćdziesięciu łasztów\*\*. Na razie cumował, remontowany, ale po południu następnego dnia miał wyruszyć, spodziewając się, że ładna pogoda pozwoli mu przepłynąć na Cypr nawet zimą. Na pokładzie roіło się od uszczelniaczy, cieśli i żeglarzy. Robota paliła im się w rękach, gdy wiązali beczki, zapelniali ładownię, sprawdzali olinowanie. Uzgodniłem mój przejazd z pisarzem okrętowym, który - podobnie jak załoga barki - był niezmiernie zadowolony, zyskując wypłacalnego pasażera w tak niedochodowej porze roku. Jako port przeznaczenia podałem Zarę i zapłaciłem jednemu z marynarzy za sprowadzenie na pokład Zeusa, rad, że mogę oddelegować kogoś innego do tego zadania.

Kiedy szedłem wzdłuż stoczni przy Canal Grandę, spostrzegłem, że w gorączkowym tempie buduje się tam statek za statkiem, w tym wiele z szerokimi dziobami, przystosowanymi do załadunku koni. Doszedłem do wniosku, że wszystkie te jednostki mają związek z wcześniej oglądanym obozowiskiem. Przechodząc przez kilka drewnianych mostów, doszedłem do Castello, dzielnicy po wschodniej stronie miasta, gdzie w niepozornej marynarskiej gospodzie nająłem na

\* Brak polskiej nazwy. Roundship to używany w wiekach XIII i XIV pękaty statek handlowy do żeglugi przybrzeżnej. \*\* 1 łaszt ~ 2 tony. noc komnatkę. Już pod dachem napisałem krótki list do Domina i wraz z drobną monetą za fatygę dałem chłopakowi na posługi, by znalazł błazna w Palazzo Ducale. Następnie ruszyłem ku Rialto.

Pod portykiem jednego z kościołów, blisko zwodzonego mostu, stały rzędem stoły. Za każdym siedział tłusty mężczyzna, ponuro lustrując przechodniów. Za każdym grubasem stał drobny chudzielec z księgą rachunkową i zbrojny wielkolud pilnujący żelaznej skrzynki. Tłuściochy należały do najważniejszej weneckiej kasty. Byli bankierami i decydowali o pożyczkach dla rządzących, listach kredytowych, a czasem nawet o kursie pieniądza. Przedstawiłem opiekunowi rachunku naszego cechu list kredytowy. Beznamiętnie go przeczytał, a następnie skinął na pomocników. Pancerna kasa i księga rachunkowa spoczęły na stole.

- W czym wypłata? - spytał.
- A co polecasz?
- To zależy od tego, dokąd się udajesz.
- Do Żary, może do Spalato.

Kiwnął głową i zaczął wznosić przede mną niewielki sto-sik srebra, starannie odnotowując ten fakt w księdze.

- Trochę weneckiej monety, trochę genueńskiej, kilka sztuk pizańskiej. Srebro na całym świecie cieszy się równym uznaniem. Chcesz, żeby ci je zważyć?

- Ani mi w głowie dopuścić się takiej zniewagi. Nie powinienem wziąć trochę złota?  
Pokręcił głową.

- W tej chwili ma zbyt niepewny kurs. Nikt nie chce ryzykować z tym kruszcem. Trzymaj się srebra, nie zawiedzie cię.

Podziękowałem mu i wróciłem pieszo do najętej kom-natki.

Kiedy się kładłem zaznać nieco snu, usłyszałem, że ktoś delikatnie stuka do drzwi. Dobyłem noża, stanąłem z boku drzwi i spytałem:

- Kto tam?

- *Stultomm numerus...* - rozległ się szept z korytarza.

- *...infinitus est* - odparłem na to i rozwarłem drzwi. Domino patrzył na mnie chwilę, po czym wydarł się jak mysz, której kot nastąpił na ogon:

- To naprawdę ty! - i rzucił mi się w objęcia. Uściskał mnie gorąco. Cofnął się i przewiercił mnie spojrzeniem. - Hmm, nie postarzałeś się zbyttnio.

- Ani ty - odrzekłem taktownie.

Dzielnie się trzymał jak na swoje z górą sześćdziesiąt lat i był we wspaniałym przyodziewku. Jak zwykle miał na sobie biało-czarny błazni strój i gronostajowy szeroki płaszcz, który rozpostarł istic monarszym gestem, wkraczając do mej izdebki. Często się zastanawiałem, czy potrafiłbym prowadzić życie wielkowiejskiego błazna. Tego rodzaju myśli napadały mnie zwłaszcza wtedy, gdy kulilem się w jakiejś dziupli, sieczony deszczem i smagany wiatrem, doszywając do mojego wytartego kostiumu kolejną łatę ze zwędzonego gdzieś strzępka materiału. Uznałem, że pewnie minęło kilka dziesiątków lat od chwili, w której Domino po raz ostatni widział igłę i nitkę.

- Ale z nas kłamcy, Teosiu - powiedział, gdy zamknąłem drzwi. - Praktycznie stoję nad grobem i mój wygląd potwierdza ten stan. Dzięki Bogu, że param się fachem, w którym mogę osłonić gębę barwiczką. Słabo mi się robi, gdy pomyślę, że miałbym paskudzić urodę świata prawdziwym wyglądem. Na pierwszego błazna, naszego Stwórcę, dobrze cię znów widzieć. Lata minęły od naszego ostatniego spotkania. Jak długo zatrzymasz się w Wenecji?

- Tylko do jutrzejszego popołudnia. Płynę na *Urszuli*.

- Płyniesz? O tej porze roku? Coś ty sobie wykombinował? I co ta koszmarna szczecina robi na twojej boskiej twarzycze?

- Podróżuję incognito. I muszę powiedzieć, że doprawdy umiesz się postarać, aby nie zwracać na siebie uwagi, gdy przybywasz na tajne spotkanie.

- Och, nie bądź śmieszny - fuknął. - Jestem częścią Wenecji. Chodzę, gdzie chcę. Gdyby zobaczono mnie wkraczającego do marynarskiej gospody w Castello, powiedziano by jedynie: „Patrzcie, Domino stawia się na zawołanie jakiegoś żeglarza”. Ale gdybym zmył bielidło z twarzy i zdjął błaż-ni strój, wieść od tym dotarłaby do uszu doży w niespełna ćwierć godziny.

- Proszę o wybaczenie.

- Jest ci udzielone. A teraz mów, czemu przybywasz tu ukradkiem?

- Co słyszałeś o śmierci księcia Orsyno? Usiadł i drapał się po brodzie, myśląc.

- Ciekawe, że podnosisz tę kwestię. Oczywiście, słyszeliśmy o nim. Może dwa tygodnie temu. Nikt nie oplakiwał jego straty, to mogę ci powiedzieć, ale naprawdę zaskoczyła tutejszy ludek, co skłania mnie do przypuszczenia, że nie tutaj należy szukać początku końca pana na Orsyno.

- Czemu Wenecja chciałaby jego śmierci?

- Uznawano go za silnego i zdolnego władcę. Wenecja nie jest zachwycona, kiedy tego pokroju mężowie rządzą po drugiej stronie Adriatyku, gdyż miewają nieprzyjemny pociąg do niezależności. Orsyno byłby gorąco przeciwny naszej szykującej się wyprawie.

- Jakiej wyprawie?

- Chcesz powiedzieć, że o niej nie słyszałeś? - spytał zdumiony. - Co wy tam robicie w domu cechowym, zatykacie sobie uszy woskiem? Przesyłałem raporty niemal co tydzień.

Wymamrotałem coś o przesiadywaniu w karczmie i ze wzdrgnął spiorunował mnie wzrokiem.

- Piękna to rzecz leżeć nieprzytomny jak bela, kiedy świat czeka całkowita przemiana. Tak, całkowita przemiana, nie inaczej.

- Chodzi o tę wyprawę krzyżową?

- Ba! - wykrzyknął albo coś w tym guście. - Mój drogi, nie masz pojęcia, jak piękny szwindel tu wysmażono. Szwindel o historycznych proporcjach. Hrabia Szampanii i God-fryd de Villehardouin zgodnie z najlepszymi frankońskimi tradycjami postanowili odzyskać Ziemię Świętą. Albo bezpośrednio, albo przechodząc przez Egipt. Wszyscy myślą, że to cudowne. Papież daje swoje błogosławieństwo, jak należało się spodziewać po namiestniku Chrystusowym. Galopują do Wenecji i zapytują: Moglibyście nas przewieźć za morze? Kiedy?, pytamy w odpowiedzi. A może by tak zaraz tej wiosny?, proponują. Świetnie, odpowiadamy, a ilu dokładnie się was wybiera? Wypinają pierś i mówią: Trzydzieści trzy

tysiące walecznych synów Francji i ich ukochane rumaki. A doża, który korzysta z faktu, że jest ślepy, więc nigdy nie mruga, mówi z obojętną miną: Znakomicie. To będzie osiemdziesiąt pięć tysięcy srebrnych denarów. Płatne przed wypłynięciem. I ku naszemu ciężkiemu zdumieniu oni z miejsca się zgadzają! - Zachichotał. - Och, Teosiu, aleśmy się wszyscy śmieli, kiedy odjechali. W całej Europie nie ma osiemdziesięciu pięciu tysięcy denarów srebrem. A teraz nawet nie mogą przeprowadzić zaciągu na taką skalę, na jaką liczyli. I oto w wyniku tego wszystkiego doża ma armię zdesperowanych, załamanych, wściekłych i bezradnych Franków obozujących nad laguną i wszyscy oni wiszą mu pieniądze. - Nagle zadygotał. - To potworne, Teosiu. Chrześcijańscy rycerze podstępem przerobieni na najemników. Henryk Dandolo okazał się mężem wielokrotnie większego formatu, niż oceniano to w dniu jego wyboru. Myślano: „Ma z górą dziewięćdziesiąt-kę, jest ślepy, długo nie pociągnie”, a teraz jest bliski panowania nad całym światem.

- Co chcesz powiedzieć? Nie podbiją Palestyny?

- Oczywiście, że nie, ty idioto. Wenecja handlowała i nadal handluje z muzułmanami aż miło, a reszcie świata nic do tego. Nie, zamysły Wenecjan sięgają znacznie dalej.

- Rozumiem. Chcą kontrolować cały Adriatyk. Zarę, Spa-lato, Durazzo, Orsino, wszystko.

- Och, nie pozwalasz rozwinąć skrzydeł swoim myślom, Teosiu. Zapomnij o najbliższym otoczeniu, bądź zuchwały.

Potrząsnąłem głową.

- Ty mi powiedz. Pochylił się i szepnął:

- Konstantynopol. - Co...?

- Tak, Wenecja tak uwielbia swą bizantyjską przeszłość, że usiłuje ją odzyskać. Pomyśl o tym, Teosiu. Po raz pierwszy w dziejach krucjata przeciwko chrześcijanom. Nasze frankońskie naiwniaczki spłacają dług tym, co splądrowali, Wenecja rządzi morzami, Kościół jednoczy się pod rzymskim berłem. - Mina mu zrzedła i po raz pierwszy wyglądał na swoje lata. - Robię wszystko, co mogę, aby to powstrzymać, ale nasz cech jest zbyt mały, aby nie dopuścić do tego przedsięwzięcia. Jest zbyt ogromne. Chciwość i fanatyzm z osobna są potężnymi siłami, a połączone... Jest armia gotowa wszcząć bitwę, jest dług do zapłacenia i sprawa nabiera rozpędu. - Westchnął. - No cóż, dość o moim bólu głowy. Ostatnio byłem wprost załamany. Pewnie zwykła jesienno-zimowa depresja. Nikt nie jest tak bezużyteczny jak błazen podczas adwentu. Nie mogę się doczekać Bożego Narodzenia. Oczywiście, szykuję się też na naszą fetę. Nie obchodzimy tu prawdziwego święta głupców, ale urządzamy niegorsze święto osła i mam zwykłe sylwestrowe obowiązki. A więc wybierasz



się przebadać okoliczności śmierci Orsy-na. Pamiętam, kiedyś działałeś w tamtej części świata. Urocza historyjka, od czasu do czasu nadal ją śpiewam. Czy te wersy są również twoje?

- Tak, przeważnie.

- Tak sobie myślałem. Przebijają z nich twój styl. Masz chociaż tyle wolnego czasu, że parka plotkarzy zdążyłaby nie tylko co nieco przekąsić, ale również obgadać tego i owego? Tuż za mostem jest miła gospódka.

Przyjąłem propozycję i ruszyliśmy spacerowym krokiem, ramię w ramię, w okolice arsenału, gdzie był dom z kominkiem na całą ścianę, w którym bulgotało kilka niezgorszych kociołków. Nad dzbanem wina i gęstą zupą rybną obsmarowaliśmy kogo tylko się dało. Kiedy go zapoznałem z groźbą Rzymu, walnął ręką w stół i zakrzyknął:

- Nigdy!

W sali ucichło, kiedy obecni sobie uświadomili, kto przy nich biesiaduje, i zrobił szybki a wyniosły ukłon, wyczyniając rękami tak skomplikowane łamańce, że w mig zaplątał się we własny płaszcz. Wyplątując się z niego, doprowadził widzów do paroksyzmów radości, które osiągnęły szczyt, gdy w końcu gruchnął na podłogę. To był jego popisowy numer i kiedy go zakończył, przyłączyłem się do powszechnej owacji.

- To powinno odwrócić wszelkie podejrzenia - mruknął, znów sadowiąc się na zydlu. - Drogi chłopcze, bardzoś mnie zaniepokoił tymi wieściami. Na wszystko, co śmiechu warte, będę tu walczył dla dobra cechu, możesz być tego pewien. Ludzie w tym mieście są mi winni parę przysług i znam parę tajemnic. Równie dobrze mogę teraz zażądać spłaty długów. Jestem zbyt stary, by odkładać to na później. Zacznę od żon notabli, to zawsze najlepszy sposób. Mam tak zszarganą reputację, że tutejsi mężowie absolutnie mi ufają i nie mają nic przeciwko temu, abym nadszkarował ich połowicom. Jeśli przeciągnę samiczki na naszą stronę, samce z pewnością pójdą ich śladem. - Sponurzał. W końcu wyznał cicho: - Jestem bardzo zmęczony, Teosiu. Szkoliłem mojego zastępcę, a tak wiele jest do przekazania. To mogłoby być naprawdę wybitne miasto, najbliższe ateńskiej demokracji od czasów... cóż, Aten, lecz ten ostatni skok w szaleństwo... - zamilkł.

- Twój zastępca? Nonsens, masz przed sobą lata.

- Nie, nie mam. Ojciec Gerald, niech błogosławiony będzie jego racjonalny umysł, przysłał mi pomocnika. Każdy tu myśli, że to tylko mój młodzieńcki pomagier, co powinno mu w przyszłości pomóc. Teraz go uczę, jak plotkować z damami. Utalentowany młokos, ale tutejsza polityka ma tyle niuansów, a przymierza zmieniają się z dnia na dzień. To zaiste bizantyjskie miasto, w czym nie ma niczego zadziwiającego. Musisz odróżnić Dandolów od

Tiepolów, a tych od Zianów i setek innych familii na dokładkę. Będę się trzymał, dopóki nie zyskam ich poparcia, ale potem przyjdzie Dominowi kopnąć w kalendarz.

- Zasłużyłeś sobie na spokojną jesień życia.

- Tak? - spytał z rozmarzeniem. - Jest tyle do zdziałania, że wydaje się bezczelnością po prostu odejść w środku akcji. Ale takie jest życie, niekończący się środek intrygi. Tylko opowieści mają zakończenie.

- Czasem nawet one nie mają.

- Tak, zgadzam się. Cóż, młody Teosiu, pomóż staremu błaznowi dźwignąć się na nogi. Wypiłem o wiele za dużo z bliźniaczych pucharów nostalgii oraz introspekcji i pragnę po raz ostatni cię uściskać.

Wyciągnąłem go stamtąd i szliśmy chwilę, aż dotarliśmy do mostu, który prowadził z Castello. Staliśmy tam jakiś czas, przyglądając się światłu, jak się mieni na lśniącem marmurze.

- Nie ma mądrego sposobu na pożegnanie prawdziwego druha, Teosiu - powiedział. - Jeden wieczór to za mało, ale tak toczy się ten świątek. Więc wróć i pokrzep mnie swoim sukcesem. Są pieśni, których nigdy cię nie nauczyłem, elementy naszego fachu i sprytne sztuczki, które może będziesz w stanie przekazać młodym błaznom, tak abym mógł dalej w nich żyć.

- Będziesz dalej żył, wart swego imienia, Modeście\* - zapewniłem go. - Twoja legenda przetrwa.

- Powinieneś mnie widzieć w rozkwicie sił, Teofilu.

- Chcesz powiedzieć, że były czasy, kiedy olśniewałeś jeszcze bardziej, o wybitny?

Uśmiechnął się i uściskał mnie. Przeszliśmy przez most. Odprowadzałem go wzrokiem, dopóki nie zniknął. Jest legendą, pomyślałem, gdy wracałem do gospody. Jego zakulisowe działania doprowadziły do wielkiej zgody między papieżem Aleksandrem i cesarzem Fryderykiem Barbarossą. Zasługę zgarnął ówczesny doża, ale taki jest charakter naszej pracy. Był legendą w łonie tajnego bractwa. Czy to miało zagwarantować mu nieśmiertelność? Jakie to miało znaczenie? Zastanawiałem się, czy również zachowam się w historii cechu.

Rankiem dźwignąłem sakwy i poszedłem do stoczni, w której szykowano *Urszulę*. Kiedy przybyłem na miejsce, wyłonił się mistrz uszczelniaczy, po tym jak ocenił robotę swej braci cechowej i uznał ją za zadowalającą. Kapitan mu zapłacił i mistrz odszedł. Zaspany księżulo wtoczył się na pokład i szybko pobłogosławił statek i załogę. Kapitan mu zapłacił i sługa Boży odszedł. Z kolei dumnym krokiem wszedł przedstawiciel doży, sprawdzić załogę i

jej uzbrojenie. Na *Urszulę*, zaokrętowało jakieś trzydzieści chłopów. Ustawiłem się wraz z nimi i kiedy urzędnik doszedł do mnie, zademonstrowałem mu oręż, którym dysponowałem. Parsknął wzgardliwie.

\* *Modest* (ang.) - „skromny”.

- Nie napodróżowałeś się po morzu, co? - ocenił mą przydatność. Wyznałem, że nie. Wskazał na moją broń. - Zanim przyjdzie okazja tego użyć, będzie za późno. Rzecz w tym, by zatrzymać wroga, zanim się wdrze na pokład. Masz łuk?

- Nie, ale całkiem dobrze potrafię się nim posłużyć.

- Lepiej się w niego zaopatrz. Przymknę oko na twoją nieroztropność, bo jesteś tylko pasażerem, ale zachowam cię w pamięci.

Oddalił się i weszliśmy na pokład. Poszedłem do ładowni, odwiedzić Zeusa. Uwiązano bydlaka w tymczasowym boksie, wysłanym słomą, i nie ulegało wątpliwości, że wszelka dobra wola, którą go natchnął de Bernadone, dawno zeń wyparowała. Udałem się pod pokład, na rufę, gdzie złożyłem moje rzeczy, a potem wdrapałem się na górę, popatrzeć, jak wyruszamy.

Barkas z dwudziestoma ośmioma ludźmi odholował nas od nabrzeża, przez basen portowy. Ostrożnie opuszczono wiosła sterowe, zamocowane na burtach, i podniesiono duży, bawełniany trójkątny żagiel na przednim maszcie. Powoli się zaokrąglił i rozpoczęliśmy podróż na wschód.

Pilot, Wenecjanin, który znał każdy zakątek portu, powoli wiódł nas kanałem, aż minęliśmy mordownię w parafii San Niccoló. Wtedy spuszczone żagiel bawełniany i wciągnięto na maszt kilka małych z grubego płótna. Statek zwiększył prędkość i znaleźliśmy się na Adriatyku.

Do Capodistrii dotarliśmy w półtora dnia i zakotwiczyliśmy tam na noc. Rankiem przyplłynęła łódź, zabrała pilota i wyruszyliśmy dalej. Kapitan trzymał się wybrzeża. Na jego rozkaz załoga podnosiła lub zrzucała żagle, stosownie do zmiennego wiatru. Udało się nam. Płynęliśmy spokojnie. Gdy zapadła noc, ze zdziwieniem stwierdziłem, że płyniemy dalej, chociaż chmury zakryły gwiazdy. Poszedłem do dziobówki. Kapitan i jego zastępca w oświetleniu łuczywa pochylali się nad umieszczoną na linii kilu skrzyneczką. Kapitan skinął na mnie i gestem przyzywał bliżej. Zjrzałem do skrzyneczki. Ujrzałem metalową igiełkę, zamocowaną na czymś w rodzaju sworznia. Od czasu do czasu się poruszała. Wtedy kapitan wydawał swemu zastępcy rozkazy, a ten biegał do sterówki, by odpowiednio zmienić kurs.

- Arabski wynalazek - wyjaśnił mi kapitan. - Nie wiem, jak się to dzieje, ale igła wskazuje północ. Jak się ma dość odwagi, by jej zaufać, i dość mądrości, żeby rozpoznać

kierunek, w którym należy płynąć, wtedy nawet nie trzeba ci gwiazd.

Wyraziłem zdumienie i podziw.

- Do Żary powinniśmy dotrzeć w dobrą dobę - mówił dalej kapitan.

- Chciałem o tym z tobą pomówić - rzekłem. - Żeby nie skłamać, to wolałbym dostać się nieco dalej niż do Żary.

- Hmm. A dokąd?

- Do Orsyno.

- To mi odpowiada - powiedział po namyśle. - Nie zamierzałem się zatrzymywać w Żarze i trudno się tam wpływa. Do Orsyno łatwiej. Równie dobrze mógłbym podrzucić was, panie, na brzeg szalupą, jakby to wam nie przeszkadzało.

- Wcale mi to nie przeszkadza, ale ktoś będzie musiał o tym powiadomić mojego konia. Zachichotał.

- Podejrzewam, że macie swoje powody, żeby płynąć dalej.

- Swoje, ale oczywiste. Mam konkurencję i wolę, żeby raczej nie wiedziała, gdzie się wybieram. W dzisiejszych czasach trzeba się dobrze pilnować.

- Oczywiście. Przekonacie się, panie, że kiedy płacicie za przejazd, kupujecie również naszą dyskrecję. Wcale to nas nie ciekawi, co robicie. W porządku, powinniśmy dotrzeć do Orsyno wieczorem, jeśli wiatr się utrzyma.

Spojrzałem za burtę, w ciemność. Nagle na wschodnim wybrzeżu zapłonęło światło, potem drugie i trzecie. Wyrósł cały szereg ognisk.

- Co to? - spytałem żeglarza. - Jakiś sygnał? Popatrzył na mnie dziwnie.

- W samej rzeczy. Czyżbyście tak zgubili rachubę czasu, że nie wiecie, jaką mamy noc?

- Pewnie tak.

- Dziś w nocy w całej Europie zapłoną ogniska. Mamy wilię Bożego Narodzenia.

Następnego dnia, gdy przybrzeżne wysepki przesuwały się przed naszymi oczami, załoga życzyła sobie nawzajem wesołych świąt. Kuk przygotował szczególnie obfity obiad, który spożyliśmy późnym popołudniem. Na główne danie była grochówka z kawałkami solonej wieprzowiny. Poszedłem za przykładem załogi i przed wkruszeniem do niej porcji sucharów przebrałem je, odsiewając robaki. Jeden z marynarzy wskazał mnie paluchem i śmiejąc się, rzekł:

- Doświadczony podróżnik, ten Niemiec.

- Przyjaciele, zdarzały mi się takie wyprawy, na których robaki były największym specjałem - odparłem na to.

- Sie wie, pewnikiem płynęliśmy tym samym statkiem.

W tejże chwili zszedł do nas zastępca kapitana i oznajmił, że niebawem dotrzemy do mojego portu przeznaczenia. Pospieszyłem po bagaże, a potem na śródokręcie, na które tymczasem wyciągnięto Zeusa. Żagle poszły już precz, kotwice zrzucano i *Urszula* stała na uwięzi. Opuszczono nieco szalupę, tak że wisiała burta w burtę ze statkiem. Obwiązałem Zeusowi ślepią, aby nie widział, jakim przemysłem pokona następny odcinek wyprawy, po czym wspólnym wysiłkiem umieszczono go na pokładzie łódki. Nie poszło to łatwo, tego możecie być pewni, ale jakoś się udało. Potem trafiłem tam ja i trójka załogi. Pomachałem pozostałym, podziękowałem i powolutku ruszyły kołowroty.

Kiedy osiedliśmy na wodzie, zwolniono liny, dwaj marynarze chwycili za wiosła, a trzeci usiadł przy krótkim rumplu. Musieliśmy przepłynąć blisko milę, unoszeni niskimi falami, i dobiliśmy do brzegu po zachodniej stronie miasta. Zdjąłem opaskę ze ślepi Zeusa, który łypnął na suchy ląd i dał nań susa, parszcząc z ulgą. Wręczyłem kilka srebrników ekstra moim ostatnim opiekunom, wyciągnąłem z szalupy sakwy i zarzuciłem je na Zeusowy zad. Szalupa ruszyła w drogę powrotną i tylem widział załogę *Urszuli* i sam statek.

Zeus łaskawie pozwolił mi wgramolić się na swój grzbiet i powolnym kłusem wjechaliśmy przez południowo-zachodnią bramę do miasta. Słońce zaczęło się kłaść na wodzie. Na rynku ujrzałem słup z wielką flagą, gigantycznym, srogim niedźwiedziem. Opiekuńczo oblaśniał miasteczko i patrzył na świat, jakby głosił, że obroni je przed **każdym** atakiem. Nie wiedział, że już go ktoś przypuścił.

Wróciłem do Orsyno.

## Rozdział IV

*Głupiec tak się męczy wysiłkiem, że nie potrafi [nawet] dotrzeć do miasta.*

Koh 10, Na rynku panowała cisza. Zwykle pełen ruchu i gwaru targ wyludnił się, kramy zamknięto, proporce zwinięto. Miernikiem siły religii jest posłuch handlu.

Otoczenie się nie zmieniło w stosunku do tego, jak je zapamiętałem, poza jednym chwalebny wyjątkiem. Obok kościoła stał oblepiony rusztowaniem potężny portyk. Miał marmurowe kolumny i imponujące schody. Dotarłszy bliżej, przekonałem się, że prowadzą donikąd. Za wyniosłą fasadą była wielka dziura w ziemi. Dalej stały kupy kamiennych bloków, a wokół drabiny i kładki.

Tak więc w końcu dostali biskupstwo. Za mojego poprzedniego pobytu w Orsyno był to temat zażartych dysput i nieukrywanej zawiści. Obrastające w piórka kupiectwo szukało w

Rzymie potwierdzenia swego rosnącego statusu. Najwyraźniej papież w końcu udzielił im błogosławieństwa, ale słabo mi się robiło na myśl, ile kosztowało. Na mój gust zakończenia rozpoczętej budowy katedry należało wypatrywać nie wcześniej niż za dobrych kilka dziesiątek lat.

Kiedy Zeus wiozł mnie obok starego kościoła, który mimo bizantyjskiej kopuły wydawał się marny i przygarbiony przy okazałym zarodku sąsiada, ujrzałem samego biskupa, gdy wylaniał się zza drzwi i mrużąc oczy, spoglądał po rynku w poszukiwaniu zagubionych owieczek. Zmarszczył czoło, kiedy mnie dojrzał, a ja pośpieszyłem złożyć mu pozdrowienia.

- Witajcie, Ekscelencjo, w ten najświętszy z dni - rzekłem, zsiadając z siodła. - Pobłogosławcie znużonemu wędrowcowi.

- Bądź błogosławiony, mój synu - odparł. - Jak mi nie, jesteś tu obcy.

- W samej rzeczy - potwierdziłem. - Pozwólcie, że pokornie się przedstawię. Jestem Oktawiusz, kupiec z Augsburga.

- Ach, po twojej mowie zgadywałem, że przybywasz z tamtej części cesarstwa.

Jeden punkt dla mojego akcentu, pomyślałem.

- Ale co cię sprowadza tak daleko od domu? - zaciekał się.

- Interesy - odparłem, wykonując nic nie znaczący gest. - Ale nie będę zanudzał Waszej Ekscelencji szczegółami. Szukam miejsca, w którym mógłbym się na krótko zatrzymać. Czy Wasza Ekscelencja zna jakąś gospodę, w której uczciwa chrześcijańska dusza mogłaby znaleźć bezpieczne schronienie?

- Gdybyś był pielgrzymem, skierowałbym cię do klasztoru. Gdybyś był uczniem, wskazałbym ci bursę, utrzymywaną przez miasto. Ale skoro jesteś jednym z wielu chrześcijańskich kupców, których spotkałem, to pominąłbym takie świątobliwe przybytki i polecił ci gospodę Pod Słoniem. Dobrze tam karmią i mogą przyjąć pod swój dach zarówno ciebie, jak i twego świetnego wierzchowca. A tak przy okazji, przyprowadź go jutro pod kościół. Mamy dzień świętego Szczepana i pobłogosławimy zwierzęta.

- Znakomicie - rzekłem szczerze. - Przyda mu się każde błogosławieństwo. - Poklepałem go po nozdrzach i mało brakowało, a odgryzłby mi dłoń.

- Zaiste - przyznał mi rację biskup, odsuwając się na bezpieczną odległość. - A jak to nie zadziała, dokonam też egzorcyzmów.

Mocniej ująłem uzdę i ściągnąłem w dół koński łeb.

- Dziękuję - stęknąłem. - Bardzo żałuję, że nie mogłem uczestniczyć w porannej mszy. Czy mogę złożyć skromny datek w podziękowanie za bezpieczne przybycie?

- Oczywiście - rzekł i dokonaliśmy transakcji. Wskazał mi, gdzie jest polecana

przezeń gospoda, i skierowałem Zeusa ku południowo-wschodniej bramie.

Kiedy byłem już blisko niej, usłyszałem za sobą stukot kopyt. Odwróciłem się i ujrzałem żołnierza. Pancierz miał skromny, ale jego hełm zdobił krzykliwy szkarłatny pióropusz.

- Witaj, nieznajomy - rzekł ze spokojem. Prawicę trzymał tuż przy rękojeści miecza.

- Witaj, zacny żołnierzu - odparłem.

- Dla ciebie: kapitanie. Dostrzegłem insygnia.

- Zechciejcie wybaczyć, panie kapitanie. Nie znam symboli twojej rangi w tym mieście.

Jeśli cię uraziłem, nie było to moim zamierzeniem.

Przyglądał mi się bacznie. Wyglądał na mniej więcej czterdzieści lat i pysnił się wielkimi, podkreśzanymi wąsiskami. Był wyprostowany, ale rozluźniony, jakby potrzebował ledwie odrobiny sił, by nawet obciążony pancerzem godnie się prezentować.

- Nosisz niemiecki przydziewek - zauważył. - I mówisz z niemieckim akcentem.

- Trafna obserwacja w obu przypadkach, panie kapitanie. Przybywam z Augsburga.

Nazywam się Oktawiusz. Jestem kupcem.

Nie przestawał mi się przyglądać.

- Kapkę spóźniłeś się na nasz jarmark - rzekł. - Był w lipcu. Ale że nie masz żadnych towarów na sprzedaż, może przybywasz na zakupy.

- Może - odparłem, po czym postanowiłem dotrzymać mu pola w milczeniu.

- Zakładam, że przybywasz przez Zare? - spytał w końcu.

- Nie, przybyłem morzem.

- Nie widziałem w porcie żadnego statku.

- Przyplłynąłem szalupą. Statek płynął dalej na południe. Wysadzono mnie na brzeg na zachód od miasta.

- A gdzie wsiadłeś na pokład rzeczonyj jednostki?

- W Wenecji, kilka dni temu.

To sprowokowało go do uniesienia brwi, ale nie do jakiegokolwiek komentarza. Tym razem pierwszy przerwałem milczenie.

- Zatrzymam się Pod Słoniem, panie kapitanie. Cały czas będzie wiadomo, gdzie się szwendam, i spodziewam się natychmiast wyjechać, gdy tylko uwinę się z interesami.

- A te interesy to...?

- To interesy. I jako że niewątpliwie jesteś równie zajęty człowiekiem jak ja, panie, pozwolę sobie opuścić twoje towarzystwo.

Trąciłem piętami boki Zeusa i przez całą drogę do bramy czułem przewiercające moje

plecy oczy kapitana.

Miasto rozłożyło się na północnym brzegu rzeki, która szerokim rozlewiskiem wpływała do Adriatyku od północnego wschodu. Otaczał je stary rzymski mur, odbudowywany wiele razy, od kiedy osiadł tu pierwszy emerytowany żołnierz, i podzielony trzema bramami na odcinku do mostu, jedną blisko rzeki i dwiema obsługującymi główne drogi, z których pierwsza wiodła do Żary, a druga w głąb lądu. Gospoda Pod Słoniem była blisko południowo-wschodniej bramy, w równej odległości od portu rzeczno-egipskiego i nabrzeży obsługujących handel morski.

Stare godło zwisało z piętra gospody, rozpaczliwie prosząc o świeżą farbę. Był na nim gigantyczny słoń, zapewne jedno z przekraczających Alpy Hannibalowych stworzeń, oblepione ciemnoskórymi żołnierzami jak mrówkami. Pamiętam, że będąc chłopcem, czytałem ilustrowaną opowieść o wojnach punickich, w której był podobny rysunek. Nie dość, że z boków bestii zwisali żołnierze, na grzbiecie dźwigała całe miasteczko. Wizerunek stwora nawiedzał mnie latami. Gdy rozpocząłem trzeci dziesiątek lat, przebywałem z misją w Aleksandrii. Do miasta akurat przybył wędrowny cyrk i nawoływacze obwieścili, że mają słonia w niewoli. Natychmiast porzuciłem wszelkie obowiązki i popędziłem na obrzeże metropolii, ściskając pieniądze za wstęp. Po wkroczeniu do dziurawego namiotu zamiast potwora z moich snów ujrzałem duże, ale żalosne stworzenie. Muchy brzęczały wokół ran po okowach, trzymających je na platformie, kły miało odpiłowane, pofałdowaną mocno skórę. Spojrzało na mnie ponuro pozołkłym ślepiem, a potem słabo zaryczyło, ukłute kijem nieletniego karnaka, który zaraz wyciągnął rękę, oczekując zapłaty za tę przysługę. Wybiegłem stamtąd. To wspomnienie zastąpiło dramatyczną, heroiczną scenę z moich snów i nigdy nie udało mi się jej odzyskać.

Gospoda była drewnianą jednopiętrową budowlą. Na dole mieściła się tawerna, na górze kilka pokoików. Na zewnątrz z okazji święta zwisał laurowy wieniec, ze środka zapraszał buzujący kominek. Przywiązałem Zeusa do poręczy, zdjąłem sakwy i wszedłem do wspólnej izby. Na stoliku przy drzwiach stał bożonarodzeniowy placek z krzyżem na polewie. Trzy długie stoły zapełniały frontową połowę, podczas gdy część w głębi zajmował piec i ustawione na podporze przy ścianie beczki.

Nie rozpoznałem oberżysty i na szczęście on nie rozpoznał mnie. Był postawnym mężczyzną o rumianej gębie. Nosił nieokreślonej barwy wiekowy fartuch z nieokreślonego materiału. Z pewnością był zaskoczony widokiem nieznajomego przybywającego o tej porze dnia. I roku.

- Są jakieś pokoje? - spytałem.



- Wejdźcie, dobry panie - rzekł, szybko otrząsając się ze zdziwienia. - Witajcie Pod Słoniem. I wesółych świąt wam życzę. Chcecie posiłku czy noclegu?

- Jednego i drugiego - odparłem. -1 miejsca w stajni dla mojego konia.

- Tryton! - nagle zahuczał, odwracając się. Spojrzałem w głąb, za niego, na oddzielającą tawernę od prywatnych izb zasłonę. Zafalowała i wybiegł z za niej dziesięciolatek, ocierając rękawem koszuli usta.

- Zabierz konia tego pana i wstaw go do drugiego boksu.

Chłopiec rozejrzał się po izbie. Oberżysta łagodnym szturchnięciem nadał mu właściwy kierunek.

- Na dworze, Trytonie, na dworze - polecił. Chłopiec rozjaśnił się na twarzy i przebiegł jak strzała obok mnie. Usłyszałem pisk strachu, ale jakoś udało mu się opanować Zeusa.

- A więc tak, szanowny panie - rzekł oberżysta, na powrót skupiając na mnie swą uwagę. - Nazywam się Aleksander. Za pozwoleniem, wpierw pokażę wam wasz pokój, a potem będziecie mogli zejść z powrotem na kolację. Z Żary jest długa droga i na pewno jesteście utrudzeni.

- No cóż, nie... - zacząłem, ale już porwał moje sakwy i z głośnym tupotem udał się na górę, nucąc pod nosem. Ruszyłem za nim krótkim, ciemnym korytarzykiem,

- Jak widzicie, szanowny panie, naprawdę mamy pokoje - rzekł, wykonując ręką przesadnie szeroki gest. - Nie ma potrzeby wysłać was do stajni. Będziecie spać w lepszych warunkach niż nasz Pan w swoje pierwsze Boże Narodzenie. Poszczęściło się wam, żeście przybyli w tak spokojny czas. Możecie sobie wybrać izbę. Z widokiem portu czy miasta?

- Portu, jeśli łaska, byle okiennice broniły wstępu wiatrowi.

- Och, bronią, wielmożny panie, dzielnie bronią. Z tęgiego są drewna. A dziś w nocy ma spaść śnieg. Widać go na horyzoncie. Świeżo od granicy, a Bóg wie skąd wcześniej. Może będziecie musieli zostać u nas na dłużej niż jedną noc.

- Tak planowałem.

To wywołało pełne zadowolenia mruknięcie. Otworzył drzwi z prawej strony i ukazał się pokój z łóżkiem i wąziutkim przejściem do okna.

- Tu macie nocne naczynie - rzekł, wskazując pod łóżko. -1 przyślę z miednicą moją córkę Agatę. Jeśliście głodni, gotuje się pyszna potrawka. Jest wino, piwo, cydr, gruszczyk i trochę miodu, specjalnie uwarzonego na święta. Co powiecie na grzany cydr? To najlepsze dla wędrowca zimą.

Zgodziłem się na to ostatnie, po części aby powstrzymać ten potok słów, po części

dlatego że zabrzmiało cudownie. Zostawił mnie, tak że mogłem się rozpakować. Natychmiast rozejrzałem się za porządną skrytką na moje błaznie przybranie. Nie wiedziałem, czy znajdzie się ktoś chętny szperać w rzeczach, ale kapitan wyglądał na sumiennego strażnika, a Malwolio mógł mieć nie wiadomo jakich szpiegów. Skreśliłem miejsce pod podłogą jako zbyt oczywiste, stanąłem na łóżku i podciągnąłem się do krokwi. Wepchnąłem torbę w miejsce, w którym stykały się z belkowaniem. Opuściłem się na podłogę i z zadowoleniem stwierdziłem, że torba jest z dołu niewidoczna.

Do drzwi zapukała dwunastoletnia dziewczeczka, przynosząc miednicę z wodą i kawałkiem płótna. Miała długie kasztanowe włosy, byle jak splecione z tyłu głowy w warkocz, i była ubrana w długą, brązową, pośpiesznie przewiazaną sukienkę.

- Ojciec pyta, czy starczy wam piętka chleba - spytała nieco wystraszona. - Jak nie, wyśle mnie do piekarza, ale nie wiem, czy mu co zostało.

- Powiedz tacie, że to mi w zupełności wystarczy - uspokoiłem ją. - Podjadłem sobie na obiad i pragnę tylko przełknąć coś gorącego, żeby wygonić uporczywy chłód z ciała. Ty pewnie jesteś Agata.

- Tak, panie - potwierdziła i przewdzięcznie dygnęła. -

Zostawiliśmy wam najlepsze kawałki mięsa w potrawce. Już się grzeją.

Udałem się za nią na dół i usiadłem przy kominku. W misce znalazłem kawałki ośmiornic i ryb, małże, a cydr doprawiono cytryną i korzeniami. Poza gospodarzem i jego córką byłem jedynym człowiekiem w tawernie.

Rozważałem właśnie, jak się przedstawię moim dawnym patronom, wprost czy nie, kiedy drzwi otworzyły się z mocą i decyzja została podjęta za mnie.

- Oberżysto! - zahuczał pan Tobiasz, przechylając się w bok i z trudem wciskając do środka swój wielki kał-dun. - Jest Boże Narodzenie, Aleksandrze, tego dnia byłoby grzechem przyjmować zapłatę za napitek. Ale na wypadek gdyby zabrakło ci miłosierdzia, przyprowadziliśmy starego Izaaka, aby zapłacił rachunek.

Wciągnął do środka Żyda, długobrodego człeka mniej więcej mojego wieku, który uśmiechnął się z wysiłkiem. Podmuch wiatru przywiał z kolei pana Andrzeja, który potykając się, wfrunął za poprzednimi przybyszami.

Kiedy ich poznałem, jeden był gruby, drugi chudy, a teraz gruby był jeszcze grubszy, a chudy - jeszcze chudszy. Tobiasz spędził tyle czasu, pijąc za zdrowie innych i przy tym zakąszając, że gdyby się go upiekło i rozczłonkowało, wykarmiłby miasto przez miesiąc. Natomiast z Andrzeja byłby ledwie kasek. Miał na sobie tyle mięsa, że trudno by na nim i cienki rosółek uwarzyć. „Chudogębski” nazywali go ludzie i też wysechł do tego stopnia, że

akademia medyczna mogłaby go spożytkować na wykładach z budowy szkieletu, tak ostro miał zarysowane kości. Drgawki do tego stopnia opanowały jego ciało, że dziw, iż stale nie grzechotał. Jasne strąki włosów pozaczyła siwizna. Z drugiej strony paleta czasu napotkała mniej inspiracji u Tobiasza, który zadowolili się całkowitym ścięciem czupryny. Glacę miał naga jak kolano i światło kominka wesoło się od niej odbijało, rzucając blask na izbę.

- Dobry wieczór, panie Tobiaszu, panie Andrzeju, panie Izaaku - powiedział Aleksander, stawiając blisko ognia trzy masywne kufle z przykrywkami.

Agata podeszła z dzbanem i napełniła go z jednej z beczek.

- A przyjrzyjmy się mojej slicznotce! - zawołał pan Tobiasz, przyciągając ją na kolana i obmacując płaściutki jeszcze tors. Spąsowiała, ale uległa jego inspekcji. - Jeszcze nie dojrzałaś do zamążpójścia - obwieścił. - Ale zaczynamy ci szukać kandydata. Nie czynisz sprawiedliwości swojej świętej patronce, droga Agatko. Jej piersi były wielkie i święte, jeśli legenda nie kłamie.

- Naprawdę? - spytał pan Andrzej. - Myślałem, że ona to ta, co dała jabłka adwokatowi.

- Nie, tamta to inna. Święta Klara czy ktoś taki. Odchrząknąłem. Ta sposobność wydała mi się równie dobra jak każda inna.

- Wybaczcie, szanowni panowie, że ośmielam się przerwać waszą nabożną i uczoną konwersację, ale święta, o której wspominać, to Dorota. Obiecała niedowiarkowi prawnikowi, że po przybyciu do raju przyśle mu jabłka. Po jej śmierci jabłka pojawiły się przy posłaniu owego adwokata, który się nawrócił, i sam również dostąpił świętości.

- Adwokat świętym! - wykrzyknął pan Tobiasz, tłukąc Izaaka po plecach. - W takim razie jest nadzieja nawet dla ciebie, Izaaku. Bądź świętym, człeczce, i odpłać się za swój dług Zbawcy, stawiając napitek temu szlachetnemu panu.

- Nie mam żadnego długu wobec waszego Zbawcy - rzekł Izaak. - Ani tym bardziej wobec was. Przeciwnie, to wy macie dług wobec mnie. Ale powitam serdecznie tego szlachetnego pana jak każdego wędrowca. Panie, noszę imię Izaak. Jestem pomocnikiem intendenta księcia. Proszę, zechciej do nas dołączyć, jeśli łaska,

- Będę waszym pokornym sługą - powiedziałem, kłaniając się. Zabrałem moje naczynie i przeszedłem do ich stołu. - Jestem Oktawiusz z Augsburga.

Andrzej przywitał mnie kulawą niemczyzną, na co odpowiedziałem płynnie w tym samym języku. Popatrzył na mnie, nic nie rozumiawszy, i sčerwieniiał.

- Niebawale, nieprawdaż? - skomentował jego wysiłki Tobiasz. - Z równym polotem posiłkuje się tuzinem innych obcych języków i mimo wieku nadal potrafi zawrócić w głowie

damie. Nie mam racji, Agatko? Dopnę swego, wydamy cię za niego. Co na to powiesz, najdroższa?

Agata popatrzyła na pana Andrzeja tak, jakby raczej przyprawiła ją o rozstrój żołądka niż o zawrót głowy.

- Och, to pan znacznie wyższego stanu niż mój i zasługuje na kogoś lepszego - rzekła wdzięcznie. Wyrwała się z objęcia pana Tobiasza i napełniła winem swój puchar.

- Nie wiem, czy na coś jeszcze zasłużyłem - rzekł ponuro, w zamyśleniu Andrzej. - Nie wydawało mi się, że zasłużyłem na tak podeszły wiek kawalerski, a przecież nadal pozostaję bezżenny.

- Może wszystko by się inaczej ułożyło, gdybyś nie tracił tyle czasu na te swoje błazeńskie eksperymenty - zbeształ go Tobiasz. - Nie objął się o ściany piwniczki, warząc te wszystkie smrody. Nie błąkał się po lasach, zbierając kawałki kory i kamienie. - Pochylił się ku mnie i zaryczał konfidencjonalnie: - Nieborak ma się za czarownika!

- Jestem alchemikiem - odparł z wyższością Andrzej. - Szukam wiecznych reguł, rządzących tym światem. Czy może być wyższe powołanie?

- Przecie, teraz jesteś alchemikiem. A wprzódy to było szlifowanie drogich kamieni, a jeszcze wprzódy hydromancja, piromancja, nekromancja...

- Nie zapomnijcie o chiromancji - wtrącił Izaak.

- Powiem ci, przyjacielu Oktawiuszu, ta chudzina złapie się każdej mancji, byle gwarantowała aberrancję - perorował Tobiasz.

- Ale alchemia to żadna aberracja! - zaprotestowałem. - To prawdziwa nauka.

- Właśnie! - wykrzyknął pan Andrzej. - Dobrze powiedziane, przybyszu.

- Dobra, dość z tym - zahuczał Tobiasz. - Bracie Oktawiuszu, jako odwiedzającemu te strony gościowi tobie przekazuję zaszczyt wzniesienia następnego toastu.

- Jesteś niezwykle uprzejmy, panie Tobiaszu - odparłem na to i wzniosłem puchar, zastanawiając się. - Za naszą nową przyjaźń, za wasze hojne przywitanie, za ducha czasu, który dziś świętujemy, i wreszcie za pamięć waszego świętej pamięci księcia.

Wlepili we mnie wzrok, kiedy uniosłem puchar i spełniałem go do dna. Andrzejowi opadła szczęka, dopełniając rybiego wyglądu, którego już wcześniej przydawały mu białe jak chusta policzki. Izaak odchylił się i uniół kufel do ust, przyglądając mi się w zamyśleniu spod na wpół opuszczonych powiek. Pan Tobiasz spuścił wzrok ku podłodze.

- Hmm, zacny panie - rzekł powściągliwie po raz pierwszy, od kiedy przekroczył próg gospody. - To były serdeczne słowa. Był mym przyjacielem i krewnym z racji ożenku. Piliśmy razem, podróżowali, walczyli ramię w ramię w Ziemi Świętej przeciwko wojakom

Saladyna. Piję za jego pamięć. - I spełnił kufel jednym, isticie czarodziejskim haustem.

- Czy znalazłeś świętej pamięci księcia? - zapytał dociekliwie Izaak.

- Nie mogę rzec, bym go znał - odparłem. - Ale spotkałem się z nim kiedyś, lata temu. Przejedźdzałem przez te ziemie i był na tyle serdeczny, że zaprosił mnie, byśmy wspólnie spożyli wieczorny posiłek. Pytał mnie o moje sprawy, które to zainteresowanie cechuje łaskawego gospodarza. I krótko ciesząc się znajomością księcia, spotkałem w nim mądrego i hojnego człeka.

- A co się tyczy księżnej...?

- Nie wspomnę, aby była jakaś księżna, chociaż coś mówiono o zamieszkującej w mieście hrabinie. Czy w końcu zawarli święty związek małżeński?

- Chcesz powiedzieć, że nie znasz tej historii? - głośno wyraził zdziwienie Tobiasz. - Ha, w takim razie mogę ci ją przedstawić. Niezwykle czynnie w niej uczestniczyłem. - I obdarzył mnie swą wersją wydarzeń, brutalnie gwałcąc moją pamięć odegranej przezeń roli.

- Zdziwiający - powiedziałem, gdy skończył. - Całe miasto pewnie zawdzięcza ci dług szczęśliwości, panie Tobiaszu.

Izaak i Andrzej przewrócili oczami.

- Ale czy jest następca? - zapytałem.

- A jakże - odparł Izaak. - Młody książę Marek odziedziczył ojcowski tytuł i posiadłości. Znakomite chłopię. Któregoś dnia będzie z niego wyśmienity wódz.

- Ile ma lat? - Jedenaście.

- A wyznaczono regenta?

- Jeszcze nie - powiedział krótko Tobiasz.

Zgadłem, że bez powodzenia pretendował do tej funkcji.

- Niestety, zgon spowodował w mieście wielką wyrwę - wyjaśnił Izaak. - Normalnym biegiem spraw brano by pod uwagę księżną, ale jest obcego rodu i poza hrabiną Oliwią tutejsze bogatsze rodziny nie darzą jej zaufaniem. Podobnie jest w wypadku intendenta księcia, Klaudiusza. To również człowiek tu nowy.

- To osoba, której chemie złożyłbym wyrazy uszanowania - powiedziałem. - Czy przyłączy się dziś do nas?

- Ha! - parsknął Tobiasz. - Ten człowiek nie ma w sobie krzty człowieczeństwa. Nigdy nie widziałem, by cokolwiek pił czy jadł. Znika w swoim kantorze i ze zmierzchem się z niego wyłania. Gdyby nie miał takiego nosa do interesów, pomyślałbyś, że to jakiś przeklęty anachoreta.

- Niewiele się pomyliłeś, panie Tobiaszu - rzekł Izaak. - To bardzo religijny osobnik i

wiele czasu spędza w samotności i na modlitwach. Chociaż nie jest mojej wiary, szanuję go, gdyż jest uczony i świątobliwy. Jeśli sobie życzysz, Oktawiu-szu, postaram się przygotować wasze spotkanie. Oczywiście nie dzisiaj. W tej chwili będzie modlił się w takiej czy innej kaplicy.

- Może jutro? Czy mam się stawić w twoim kantorze?

- Zapraszam. Jest na północnej pierzei rynku. Jeśli nie będzie tam Klaudiusza, do jego przybycia porozmawiamy o twoich interesach. Po twoich modlitwach, jak mniemam. Koło południa? Dobrze, a więc postanowione. Moja kolej wznieść toast, szlachetni panowie. - Uniósł kufel. - Za pokój i powodzenie w interesach, gdyż jedno nie może istnieć bez drugiego. Za szlachetny żywoty i szlachetne zgony. Za księcia, który jest przeszłością, i księcia, który jest teraźniejszością. Oby panował równie udanie jak jego rodzic.

Znów wychylił naczynia i Tobiasz napełnił je winem, nieco rozlewając trunek i z niewielkim skutkiem ścierając stół rękawem szaty.

- Moja kolej - obwieścił, wysoko unosząc kufel. - Za niewiasty! - wrzasnął. - Za przyszedłego męża Agatki, kimkolwiek jest, i za tę cudowną dziewczynę, która z siebie jeno znanych przyczyn nadal dzieli ze mną łożo. Za Marię!

- Za Marię - powtórzył za nim Andrzej. - A teraz moja kolej. - Uniósł kufel, ale zrobił wielce zdziwioną minę. - Mili panowie, spełniliście wszystkie zaczęte toasty. Za Kościół, za papieża i za czyje tylko zdrowie warto wychylić.

Osuszyli dzban i trójka miejscowych podniosła się do wyjścia. Podczas gdy Żyd uiszczał zapłatę Aleksandrowi, poklepałem po ramieniu Andrzeja. Spojrzał na mnie pytająco.

- Pragnąłbym odwiedzić twą pracownię - szepnąłem. - Ja również jestem uczniem mistrzów tarota.

- Cudownie! - powiedział z entuzjazmem. - Dawno nie miałem szczęścia porozmawiać na ten temat z kimś inteligentnym. Za kilka dni, jeśli zostaniesz dość długo.

- Zostaję.

- W takim razie pokaż się po południu. Wcześniej szukam Kamienia.

Obiecałem, że się pojawię, po czym cała trójka wyszła. Aleksander zaczął sprzątać i ścierać stół, podczas gdy ja kończyłem resztkę wina w moim pucharze.

- Jak umarł świętej pamięci książę? - spytałem zdawkowo.

Smutno pokręcił głową.

- Spadł ze skał nad miastem. Jak się pójdzie na brzeg, widać je z plaży.

- Wypadek czy samobójstwo?

Pytanie gwałtownie przyspieszyło jego oddech.

- To grzeszne przypuszczenie, panie, i ośmielę się zasugerować, byś nie powtarzał go w mieście. Nie, nie ulega wątpliwości, że to wypadek. Był człowiek, który wszystko widział.

- Doprawdy? Zadziwiające. Któż to taki?

- Stary Hektor. Mieszka w szałasie na końcu plaży. Warzy sól, zbiera drewno, co morze wyrzuca, rozkłada sieci w zatoczkach, które wypełniają się podczas przyływu. Raz w tygodniu podrzuca tu wiadro krabów, więc zwykle posyłam mu Agatkę z butelką czegoś na rozgrzewkę. W każdym razie widział, jak księżę spadł, więc to był wypadek.

- Czemu w ogóle księżę się tam znalazł?

- Och, zawsze tam chodził przed zachodem słońca. Patrzył na morze, szukał statków albo rozglądał się po mieście. Pan wszystkiego, co było w zasięgu wzroku. I jak skończył? Trupem na kamieniu jak każdy. Ale zacny mąż, kiedy żył.

- Czy zawsze spacerował sam?

- Zwykle codziennym rytuałem towarzyszyli mu albo księżna, albo intendent. Ale tak się złożyło, że tamtego dnia był sam. Czemu to was tak ciekawi, że ośmielę się zapytać?

Wzruszyłem ramionami.

- To największa sensacja w mieście. Chciałem tylko poznać ostatnie plotki, a ta historia jest równie dobra jak każda inna. Poza tym człowiekowi mego fachu przydaje się wiedza o tym, kto rządzi tam, gdzie on prowadzi interesy. Czy warto odwiedzać tego Klaudiusza?

- Jeśli w interesach, to rzekłbym, że tak. I Fabiana również. Zarządza dobrami hrabiny, a ona pod względem zamożności i w ogóle jest tu druga po księciu.

- Dobrze to wiedzieć. Hmm, czy mógłbym liczyć na twą dyskrecję, jeśli chodzi o pewną sprawę?

Usiadł naprzeciwko mnie i pochylił się nad stołem.

- Zależy od tego, o co wam chodzi. Nie mam tu komna-tek pań swawolnych.

- Bądź spokojny, zacny oberżysto. Nie myślę siać zgorszenia. Jedyne zależy mi na twojej pomocy względem odnalezienia pewnej osoby, która może tu przybyć. Ściśle mówiąc, chodzi o mego brata. Umówiliśmy się w Orsyno pierwszego dnia nowego roku, ale żem się gładko uwinął z wcześniejszymi sprawami, mogłem przyspieszyć przybycie. Jest mniej więcej mojego wzrostu, rok młodszy i kiedy go widziałem ostatni raz, miał czarne włosy i brodę. Jednakże było to trzy lata temu i równie dobrze mógł posiwieć, wyłysieć, wygolić lica do gładkości i postradać któregoś kulasa. Może też wędrować pod przybranym imieniem. Na chrzcie polecono go opiece świętego Henryka.

Aleksander pokręcił głową.

- Nie kojarzę nikogo o tym imieniu. Czemu działacie w takiej tajemnicy?

- Mamy konkurencję. Pewna wenecka *colkgan*<sup>a</sup> byłaby niepokieszona, gdyby się nam powiodło, a może nam nieźle poprzesztawiać szyki, bo stawka jest dość wysoka. Wyczuwam w tobie człowieka honoru, na którego można liczyć.

Podniósł się, uśmiechając się od ucha do ucha.

- A jakże, ten, na kogo liczą, może podliczyć, jeśli pojmujecie, o co mi się rozchodzi. Od tej pory oczy i uszy będę miał szeroko rozwarte.

Podziękowałem mu i zdecydowałem, że dobrze będzie rozprostować nogi, nim herold miejski ogłosi, że czas wygaszać żar na kominkach.

Wyszedłem za bramę i udałem się północną drogą. Bezwiednie wdrapałem się na wzgórze i trafiłem na miejsce, z którego był widok na pałac księcia. Zbudowano go w najwyższym punkcie miasta, skąd widziało się port i rozległe włości. Kamienna budowla odznaczała się majestatem i rozmachem. Główna część miała trzy kondygnacje. Od niej rozchodziły się długie skrzydła. Wschodnie zaczęto wznosić za mego wcześniejszego pobytu i wydawało się niedokończone. Brama stała otworem i rozdawano ubogim jadło i monety. Zwróciłem uwagę na najwynioślejszego sługę, który odsyłał rozplywającą się w przesadnych podziękowaniach niewiastę. Wydał mi się głównym jałmużnikiem. Podeszedłem do niego.

- Masz, wesółych świąt - mruknął, wciskając mi w rękę kawał pieczeni.

Oddałem mu ją.

- Zostaw to komuś potrzebującemu - rzekłem. - Czy księżna jest u siebie?

Po raz pierwszy spojrział na mnie, ocenił kupiecki strój i rzekł pogardliwie:

- Księżna nie przyjmuje. Jest w żałobie, jak niewątpliwie wiesz.

- Wiem i pragnę złożyć wyrazy uszanowania. Wiele lat temu poznałem świętej pamięci księcia.

Znów zaszczycił mnie spojrzeniem.

- Nie znam cię - powiedział.

- Ani ja ciebie. O ile pamiętam, dworzanin księcia miał na imię Walentyn. Jego osobistym sługą był Kurio i nie przypominam sobie imienia zarządcy, ale był mężem w podeszłym wieku i od tamtej pory zapewne przeszedł na spoczynek, wieczny lub ziemski.

- Ten pierwszy, pięć lat temu. Nazywał się Malachiasz, które to imię noszę również ja. Jestem jego synem.

- Moje spóźnione kondolencje z powodu straty twego ojca. Mam nadzieję, że dorównujesz mu poziomem, na który wzniósł sztukę służeniu księstwu.

- Szczerze mówiąc, panie, wzniosłem ją wyżej. Księżna nie przyjmuje nikogo.



Dobranoc.

Zamknąłem bramę i usłyszałem szcęk opuszczanych zasuw.

-1 tobie wesołych świąt - mruknąłem. Nic więcej nie mogłem osiągnąć, więc zawróciłem do gospody i zapadłem w głęboki sen.

## Rozdział V

*Wiedźcie, że życie tego świata jest tylko grą, rozrywką i próżną ozdobą.*

Koran LVII, 20

W nocy spadł śnieg, ciężki śnieg zakrywający ulice do połowy goleni. Siłą nawyku obudziłem się o świtaniu i jak zwykle trapił mnie dziwny niepokój. Aleksander łaskawie zezwolił mi zapożyczyć się w nakrycia z nieużywanych pokoi i zakopałem się pod nimi, zostawiwszy możliwie najcieńszą szparkę, którą czerpałem powietrze. Swędziała mnie szcęką, nienawykła do zarostu. Możliwe, że jakieś zamieszkujące w okryciach stworzonko zagnieździło się w moim zarostcie. Postanowiłem sprawić mu poranny potop, jeśli tylko znajdę odrobinę ciepłej wody w ten zimny dzionek.

Z dworu usłyszałem przytłumione, lecz wyraźne dudnienie. Ubrałem się i uchylivszy okiennice, napotkałem niezwykle widok. Za murem na rynku było rojno, przede wszystkim wypełniały go zwierzęta. Bydło, konie, kozy i owce zalały plac, a psy kąsały im odnóża, podczas gdy dzieciarnia bez lęku płała się pośród tej menażerii. Zamrugąłem zdziwiony, ale zaraz przypomniałem sobie, co to za dzień, i pospieszyłem na dół, aby zabrać Zeusa do kościoła.

Poza świętem głupców błogosławieństwo zwierząt w dniu świętego Szczepana jest moją ulubioną ceremonią. To czas podzięk i uznania wobec tych prostych stworzeń, które oddają nam swój żywot. Byłem szczególnie rad, widząc, że kozy otrzymują swą należność. Przeciwnie do tego, co głosi Ewangelia Mateuszowa, po wielekroć, kiedy byłem biedny i głodny, znajdowałem gościnę w koziej zagrodzie. Nie ma nic równie miłego w zimną noc jak przytulić się do ciepłych kózek. A jak los się do mnie uśmiechnął, zdołałem spuścić garnuszek mleka, zanim wieśniak mnie zauważył. Natomiast owce nigdy nie okazały mi odrobiny serca. Któregoś dnia złożę odmienną opowieść, rzetelniej opisującą zwierzęce charaktery.

Przedarłem się przez mrowiące się stada do grupki konnych. Radośnie skinąłem głową kapitanowi straży, który odpowiedział mi pochmurną miną. Przykłusowała do nas na białej klaczy piękna, może ośmioletnia dziewczynka. Konia wspaniale przystrojono wstążkami i

suchymi kwiatami. Dziewczynka była przyodziana skromnie, ale elegancko w biały, bramowany gronostajami płaszcz. Nie nosiła nakrycia głowy, na twarzy miała wyraz niezwyklej powagi, który podkreślały niezwykle wielkie oczy. Zajęła miejsce na czele kawalkady i czekała z całą resztą.

Drzwi starego kościoła otworzyły się na oścież i sam biskup stanął w progu, zapraszając nas do środka.

- Najpierw konie! - krzyknął.

Dziewczynka ostrożnie pokonała schody. Jechaliśmy za nią w pełnym szacunku oddaleniu.

- Co to za jedna? - spytałem jeźdźca obok.

- Celia, córka księcia - odparł, po czym zaraz sprostował: - Nie, znaczy się siostra księcia. Wciąż zapominam, że starzec nie żyje.

Rzeczony starzec był młodszy ode mnie, ale zdecydowałem się nie podnosić tej kwestii.

Biskup uklonił się dziewczynce. Skinęła główką i ku zachwytowi tłumu nakłoniła klacz, by ugięła przed nim nogę. Ciżba wydała entuzjastyczny okrzyk. Duchowny ujął konia za uzdę i zaprowadził go do ołtarza. Tam przed prostym drewnianym krzyżem stała zwykła beczka. Skropił ją wodą święconą, pobłogosławił i obiema dłońmi zaczerpnął z niej owsa. Podsunął karmę klaczy, która łakomie zgarnęła ją językiem. Biskup nabrał kolejną garść ziaren i obsypał nimi konia i młodziutką amazonkę. Dziewczynka skierowała klacz na bok, po czym każdy z nas kolejno podjeżdżał do ołtarza i ceremonia się powtarzała.

Spojrzałem na ławki z przodu i dostrzegłem moich wieczornych towarzyszy. Siedzieli z mocno uróżowaną niewiastą. Podskoczyłem w siodle, kiedy rozpoznałem w niej Oliwię. Już nie mogła się zdać na samą naturę. Obok niej siedział Sebastian. Otyły, skapcaniały. Po jego prawicy wierciło się potomstwo.

Po drugiej stronie przejścia, na miejscu przeznaczonym dla księcia i jego rodziny, siedziała białogłowa w czerni, osłonięta tak gęstym, że aż nieprzejrzystym welonem. Przyglądała się dosiadającej klaczy dziewczecze. Wiola, nadal elegancka, nadal młodzieńczej postawy. Towarzyszył jej poważnie wyglądający mężczyzna, z długimi kasztanowymi włosami poznaczonymi siwizną i brodą równie siwo-czarną jak moja. Uśmiechał się szeroko, ciesząc oczy widokiem córki Wioli, ale jego twarz się zachmurzyła, gdy spostrzegł, że sam jest obiektem obserwacji. Klaudiusz, jak zgadywałem. Książątka nie dostrzegłem. Znów skierowałem swoją uwagę na biskupa.

Uśmiechnął się, kiedy mnie ujrzał.

- Witaj, wędrowcze. Czy gospoda przypadła ci do gustu?

- Tak, w samej rzeczy, Wasza Ekszelencjo. Obaj dziękujemy za twoją rekomendację.

Spojrzał na Zeusa, który odpowiedział mu złowrogim wejrzeniem.

- W imię osła i przez osła, i źrebca, i przez białego konia, w którego tamten się przemieni, błogosławię cię w imię Pana naszego i świętego Szczepana - zaintonował.

Odważnie wyciągnął rękę. Zeus obwąchał ją podejrzliwie, po czym zżarł trochę owsa. Zostaliśmy obsypani resztką ziarna z dłoni biskupa i udałem się za innymi, którzy już skierowali się na dwór.

- Hej, zacne duszyczki! - krzyknął kapitan. - Trzy kółka wokół kościółka.

Ruszyliśmy miarkowanym galopkiem, ślizgając się i wpadając jedni na drugich na zakrętach. Przypomniałem sobie, że wedle lokalnego zwyczaju tradycyjne trzy kółka przechodzą w przyjacielską gonitwę. Byłem ciekaw, co pokaże Zeus, gdy stanie przed wyzwaniem. Pierwsze dwa okrążenia jechaliśmy grupą; słabsze i rozważniejsze konie przesuwają się na koniec gromady. Niektóre nie potrafiły się zmieścić na zakrętach i wpadały na okoliczne domy albo w tłum. Cudem nie było groźnych wypadków, chociaż pewien żołnierz przeleciał nad niedokończoną ścianą powstającej katedry. Z jego rechotu wniosłem, że wylądował bez szkody dla zdrowia lub zbyt pijany, aby się czymkolwiek przejmować.

Kiedy przyszło do trzeciego okrążenia, kapitan był o długość konia przed nami wszystkimi i zakłady na rynku jeszcze bardziej skoczyły w górę. Pofolgowałem Zeusowi, choćby tylko po to, by się przekonać, co się wydarzy. Radośnie potrząsnął łbem i wystrzelił przed gromadę, tak że przed nami był tylko kapitan. Żołnierz się obejrzał, dostrzegł, że jesteśmy coraz bliżej, i spał rumaka.

- Dalej, bestio zatracona! - rozdarłem się. - Kosz jabłek, jak wygrasz!

Tłum zahuczał, gdy łeb w łeb okrążyliśmy ostatni róg. Kapitan tak wściekle spał ostrogami wierzchowca, że krew poleciała po bokach zwierzęcia. Chłostał go wodzami, przeklinał zziąjane zwierzę i jego przodków. Ja, przeciwnie, puściłem wodze. Tłum się rozpierzchnął, gdy w niego wpadliśmy, i Zeus wygrał o łeb.

Musieliśmy przegalopować na drugą stronę rynku, aby w końcu osadzić nasze dzianety. Sapałem bardziej niż Zeus. Kapitan spojrzał na niego z uznaniem.

- Szybszy, niż się wydaje - powiedział. Kiwnąłem głową, wciąż bez tchu.

- A ty nie nosisz zbroi - zauważył. - To daje ci przewagę.

Znów mogłem tylko kiwnąć głową.

- Ale nie w takich okolicznościach - zaciętrzewił się. Jego miecz załśnił pod moim podbródkiem. Nawet nie mrugnąłem.

- Dziś kosztowałeś mnie niezłą fortunę, kupcze - zakończył.

- Zaczny kapitanie - wyrzęziłem. - To tylko igraszki. Święty dzień. Dzień święty. Nie było moim zamiarem szydzić z ciebie. Chciałem się tylko przekonać, na co stać to zwierzę.

Powoli, zbyt powoli jak na mój gust, schował miecz do pochwy.

- Byłoby grzechem wyzwać cię na pojedynek w święty dzień. A po nim są jeszcze następne. Tak więc, mój skory do igraszek kupcze, na razie nic ci nie grozi. Radzę, byś załatwił swoje interesy do dwunastego dnia po Narodzeniu Pańskim. W innym wypadku będziesz musiał się ze mną zmierzyć w walce.

Oddalił się stępa. Dziwne, ale nawet jego nieruchome plecy zdradzały, że aż kipi z wściekłości.

Zbeształem się w duchu za to, że niepotrzebnie zwróciłem na siebie uwagę. Póki nie wiedziałem, kto tu pociąga za sznurki, głupotą było przysparzać sobie wrogów. Ale też kapitan był człowiekiem, któremu wystarczyłoby pretekst, aby dobyć miecza.

Paru rozentuzjasmowanych zwycięzców w zakładach podeszło z zaproszeniem do stołu. Chcieli napęłnić mój talerz i puchar z okazji mojego triumfu. Uznałem, że nie wypada odmawiać. Wróciłiśmy do gospody. Wysłałem Trytona po suszone jabłka dla Zeusa, po czym zasiadłem do drugiego śniadania i rozmowy. Szybko zdałem sobie sprawę, że kapitan nie cieszy się zbytnią rewerencją mieszkańców miasta, co wcale mnie nie zdziwiło.

- Kiedy stary ksiązę żył, przynajmniej trzymał go w karbach - wspomniął pewien wieśniak. - Teraz robi, co się mu żywnie podoba.

- Pst, nie wiadomo, kto słucha - napomniął go cumownik.

- Czy naprawdę coś mi grozi? - spytałem. Wzruszyli ramionami.

- Sporo postawił na swoją dzisiejszą wygraną - wyznał wieśniak. - Ale trudno rzec, by to była sprawa honoru. To zwykła głupota. A przypieczętowanie przegranej pojedynek jeszcze większa.

- Czy nadal jest lennikiem młodego księcia?

- Oczywiście - potwierdził kowal. - Ale ksiązę jest dzieckiem. Chorym dzieckiem. Kapitan nie przyjmie rozkazów od Klaudiusza czy księżnej, a oni jeszcze nawet nie wyznaczyli regenta.

- Chłopiec jest chory? Nie słyszałem.

- Nie ma nic do słyszenia. Zawsze był chorowity, a tego roku mocno się przeziębii. I mówią, że śmierć ojca go przytłoczyła.

- Nie, rozchorował się wcześniej - wtrącił się cumownik. - Słyszałem w porcie od jednej z kucharek, kiedy kupowała ryby.

- Doprawdy rozpacz bierze - westchnąłem. - Nie ubiję tu żadnego interesu, jak nie znajdę jakiejś władnej osoby. Mam nadzieję, że jak już poczynię jakieś ustalenia, to zachowają ważność po obiorze regenta.

- To zależy od regenta - zauważył wieśniak.

- No cóż, chyba wyprostuję trochę nogi - powiedziałem. - Dziękuję za waszą hojność.

- Dziękujemy ci za spuszczenie manta kapitanowi - rzekł cumowniczy, szczerząc zęby. - Nawet gdybym nie postawił na jego przegraną, radowałbym się, widząc, jak utarto mu nosa. Teraz pilnuj się, przyjacielu. A ja też będę miał oczy otwarte.

Uściskałem wszystkim dłonie i wyszedłem.

Zeus napchał się suszonymi jabłuszkami i wyglądał na śpiącego. A jednak niemal ucieszył się na mój widok. Poklepałem go po szyi.

- Jesteś najmniej fartownym koniem, jakiego poznałem - pocieszyłem go. - Nawet wygrywając, przynosisz mi pecha. Rusz się, trzeba przetrwać to, cośmy wrzucili na ruszt.

Osiodłałem go i ruszyłem wybrzeżem, aż dotarliśmy do plaży, na której wylądowałem.

Wiatry zamiotły z niej śnieg, tak że zalegał tylko przy murach. Kiedy zostawiliśmy miasto za sobą, stromizna po naszej stronie urosła na wysokość jakichś stu stóp.

Z czasów mojego wcześniejszego pobytu w Orsyno nie pamiętałem żadnego „starego Hektora”, ale wtedy pewnie nie był jeszcze taki stary. Uznałem, że to może jeden z tych marynarzy, którzy osiedlają się na lądzie, ale nie mogą się pożegnać z morzem i żyją z jego odpadków. Kiedy podjechałem do szopy, zbitej z wyrzuconego na brzeg drewna i nie większej od trumny, przekonałem się, że nie ma ich wiele. Z boku leżał stos porwanych sieci, dalej duże naczynia do warzenia soli. Niewielka łódka stała na byle jak zbitych koziołkach. Szkutnik był takim łamagą, że bałbym się usiąść w niej na lądzie, co dopiero na jej pokładzie stawić czoło wzburzonemu falom.

Zza chatynki biła wątła smuga dymu i skierowawszy się ku niej, ujrzałem niewielkie ognisko. Siedział przy nim wątły człeczyna, okryty tak dziurawymi derkami, że równie dobrze mógłby się okrywać sieciami. Obracał na różnie małą rybkę, doglądając jej raczej z rezygnacją niż apetytem.

- Pozdrowienia, Włachmanodziany - rzekłem, zsiadając z Zeusa. - Poszukuję mędrca imieniem Hektor.

- Znalazłeś go - powiedział. - Jakim to słowem mnie przywitałeś?

- Pełnym szacunku, nadawanym starszyźnie w mojej części świata.

- Ach. Myślałem, że to mogło być coś obraźliwego. Przywiozłeś jakiś napitek,

pielgrzymie?

Sięgnąłem do sakwy i wyjąłem dzban wina i pół bochenka chleba. Hektor otworzył dzban, powąchał, wciągając głęboko winne opary, i skinął głową.

- Z gospody Pod Słoniem - orzekł. - Masz czas na zbyciu i pomyślałeś, że się rozerwiesz, uprzykrzając mi czas nagabywaniem o opowieści.

- Uprzykrzam ci czas?

- Nie w zimie. O tej porze roku handluję tym, co mi ślina na język przyniesie. Za zimno na kraby i ostrygi, za zimno na warzenie soli, a statki udały się na południe za ptakami, więc żadnych szczątków do wyławiania. I tak ludziska, co mają dość wolnego czasu, odwiedzają szalonego Hektora, aby posłuchać jego bajania.

- Nikt nie nazywa cię szalonym.

- Ale starym tak - rzekł ostro, wzruszając ramionami. - No i dobrze, jestem stary. Za stary. A gdy nastaje zimno, bolą mnie nogi. Ale oczy nic mi się nie zepsuły. Ty i ta twoja cha-beta przyplłynęliście wczoraj szalupą spuszczoną z handlowca.

- Zgadza się.

- Więc masz pieniądze.

- Mam więcej oczekiwań niż srebra.

- Ja nie mam ni jednego, ni drugiego. Mam opowiedzieć o swym życiu? Zapomnianym początku, fascynującym środku czy nudnym końcu?

- Z tego, co słyszałem, ostatnio nie tak nudnym. Powiadano mi, że widziałeś śmierć księcia.

Postanowił ocenić przygotowywaną potrawę. Podniósł rybę i obwąchał ją ze wszystkich stron, podejrzliwie na mnie zerkając.

- Widziałem - rzekł krótko. - I wolałbym o tym nie myśleć. To było straszne. Czemu cię to ciekawi?

- Ty opowiadasz różne historie. Ja je zbieram. Obiecuję, że nie wkroczę na twoje terytorium, ale chciałbym złożyć raport mojemu chlebowodawcy.

- Dlaczego?

- Uwielbia lokalne plotki. - Uniosłem monetę. - Czy potrzeba ci lepszego powodu?

Objął ją poządlwym wzrokiem.

- Hmm, jak już o tym mowa, to muszę wyznać, że było to koszmarnie przeżycie. - Usiadł wygodniej i spojrzał w niebo, jakby chciał w ten sposób pokazać, że porządkuje pamięć. - Miał zwyczaj spacerować ścieżką nad urwiskiem i patrzeć na morze. Czasem towarzyszyła mu księżna, czasem syn, niekiedy intendent. Chodził do tego miejsca. - Wskazał

nawis nadmorskiej skały, po czym skierował rękę ku północnemu zachodowi. - O tej porze zwykle byłem tam. Machał do mnie i powiadał: „Dobry wieczór, stary Hektorze”, a ja mu na to: „Dobry wieczór, wasza łaskawość”, a on: „Jak się dzisiaj miewasz, Hektorze”, a ja: „Znakomicie, wasza łaskawość, i wielkie dzięki za okazane zainteresowanie”, chociaż czasem wcale nie czułem się tak znakomicie, ale nie było sensu zawracać mu tym głowy, bo pewnie zapytywał mnie tylko z grzeczności. Ale w sumie to było miłe z jego strony, że taki pan okazywał zainteresowanie taką mizerotą jak ja. A potem zapytywał: „Coś niezwykłego się dziś wydarzyło?”, a ja opowiadałem mu, jeśli wypatrzyłem jakiś dziwny statek czy niezwykcyjne rzeczy wyrzucone na brzeg przez morze, czy też niespotykane znaki na niebie. Zaczynał być człek z tego starego księcia i nieraz przysłał mi w podarku jadło i wino. Wiele razy...

- To fascynujące, ale jestem ciekaw ostatniego razu. Spiorunował mnie wzrokiem.

- Jakość opowieści leży w tym, jak jest przedstawiona. Jeśli kiedyś uda ci się dożyć mojego wieku, docenisz to. I kiedy dożyjesz mojego wieku, nie będziesz zadowolony, jak ci się będzie przerywało. I kiedy dożyjesz mojego wieku...

Zacząłem podejrzewać, że dożyję jego wieku, zanim skończy, ale zamiast ryzykować i znów mu przerwać, czekałem cierpliwie.

- Ale o czym to ja...? - spytał wreszcie.

- O wieczorze, w którym zginął książę - pomogłem mu.

- Tak. Naprawiałem sieci. Pomachał mi, a ja pomachałem jemu. Krzyknął: „Dobry wieczór, stary Hektorze”, a ja odkrzyknąłem: „Dobry wieczór, wasza łaskawość”.

Zacisnąłem zęby i czekałem. Wstał.

- Wtem nagle zawołał przeraźliwie: „O, Hektorze, koniec ze mną”, i poleciał tak. - Pochylił się, rozkładając ramiona. - Był jak upadły anioł, nadal próbujący ulecieć. „Nic mnie nie uratuje, Hektorze!”, wykrzyknął głosem, który zmroził mi krew w żyłach. A kiedy leciał na ziemię, jego ostatnie słowa były: „Powiedz księżnej, że ją kocham”. I potem upadł, i odebrało mu głos. Pobiegłem, och, jak pobiegłem! Tak szybko, jak dałem radę na tych dręczonych podagrą kulasach, ale to było na nic. Nie żył. Twarz miał zastygłą, pełną zgrozy, jaką widziałem u ludzi, którzy ujrzeni przed sobą wieczność, i nie spodobał im się ten widok. Zakryłem mu oblicze, pobiegłem do miasta i na tym koniec. Daj monetę.

Porwał mnie za dłoń. Zacisnąłem palce i wyrwałem się z jego uścisku.

- A co to za oszukaństwo?! - zaskowyczał.

- Kiedy powiedziałem, że chcę opowieści, miałem na myśli prawdziwą opowieść - warknąłem. - Ta twoja oracyjka może wystarczy, by wyłudzić kubek jabłecznika od jakiegoś

prostaczka, ale ode mnie niczego nie wybląga. Chcę się dowiedzieć, co widziałeś i co słyszałeś. Bez ozdóbek. Żadnej fałszywej tromtadacji. Wtedy możesz liczyć na zapłatę.

Rozchyliłem dłoń i wlepił oczy w monetę jak sroka w gnat. Pozwoliłem sobie na sztuczkę - przetoczyłem ją z kłykcia na kłykieć, na moment ukrywając i zaraz pokazując w drugiej ręce. Bezwiednie biegł za nią wzrokiem. Powtórzyłem sztuczkę drugą ręką, zakryłem rozpostartą dłonią monetę, przejąłem ją i nagle pstryknąłem palcami. Drgnął na ten dźwięk i osłupiały gapił się na monetę, trzymaną na sztorc dwoma palcami.

- Jeszcze raz pstryknę i zniknie na zawsze - zagroziłem.

- Kim jesteś? - spytał ochryple.

- Zawodowym plotkarzem, który potrafi bawić słowami i tanimi sztuczkami. Uważnie przyglądaj się monecie, gdy zniknie na twoich oczach. - Uniosłem lewą dłoń nad prawą.

- Nie! - krzyknął.

Zastygłem i czekałem. Zawahał się, więc kontynuowałem sztuczkę.

- Nie - szepnął. - Dobra. Naprawdę widywałem go każdego dnia, ale w ogóleśmy nie gadali. Nie ma mowy, żeby mnie słyszał z tamtej wysokości, kiedy fale tłukły o brzeg, i w ogóle. Ale machałem mu i on mi machał, naprawdę.

- A dnia, którego zginął... - nakierowałem go.

- A dnia, którego zginął, był sam. Nie naprawiałem sieci, popijałem, żeby się rozgrzać. To był zimny dzionek, pierwszy mróz i palce tak mi zeszywniały, że potrafiły utrzymać tylko kubek z winem. Zobaczyłem go tam. Popatrzył na mnie i pomachał. Zrobiłem to samo. Wtem kolana się pod nim ugięły i spadł. Całą drogę w dół ani pisnął. Myślałem, że śnię. Pobiegnę do skały, na której leżał, ale nie mogłem nic zrobić. Twarz miał pogruchoaną. I piersi. Ściągnąłem go na suchszy teren i pobiegłem do miasta. Przybiegli i go zabrali. Kapitan wpierw myślał, że go zabiłem, ale zmarły wciąż miał przy sobie sakiewkę i klejnoty. Kapitan przeszukał moją chatę, czy nie mam jakiejś broni, ale niczego nie znalazł. W końcu uznał, że mówię prawdę, jak to czyniłem i czynię, więc daj mi tę cholerną monetę. - Wyzywającym gestem wyciągnął rękę.

- Jeszcze nie - powiedziałem. - Pokaż mi, gdzie spadł.

Zabrał mnie niedaleko, do kamieni u podstawy urwiska, wygładzonych przez morze, ale przecież dość twardych, by książę się na nich roztrzaskał.

- Pokaż mi, jak leżał, kiedy go znalazłeś.

Rozłożył się ostrożnie, twarzą na kamieniu wielkości głowy, torsem na większym, rozrzucił ręce i nogi.

- Pokaż mi, jak spadał - rozkazałem mu i stanął na brzegu, twarzą ku morzu, i powoli



skłonił się w przód, rozkładając ramiona. - Czy spadał w jednej pozycji, czy koziółkował?

- Po prostu poleciał - rzekł. - Nie skoczył na nogi ani na głowę, ani prosto jak deska. Nic w tym rodzaju. Nie wiem, dlaczego spadł, ale spadł na twarz i to był jego koniec. Dość. Nie mogę więcej.

- Za twoje trudy - powiedziałem. Wyciągnąłem monetę z jego ucha i położyłem na dłoni.

- Sprawdziłbym kieszenie, napotkawszy kogoś twojego pokroju. - Ugryzł monetę zębami, a raczej pieńkami, które mu zostały. - Ale nie mam kieszeni i niczego, co można by ukraść. Wynoś się stąd i nie zawracaj mi więcej głowy. I dzięki za wino.

Odjeżdżając, obejrzałem się, ale głowę schował w dzbanie i wyglądało na to, że jeszcze długo jej stamtąd nie wyciągnie.

- Co myślisz o jego historii, mój panie? - spytałem Zeusa. Parsknął. - Może prawdziwa, może nie. Brak mu wyobraźni, żeby dobrze kłamać. W przeciwieństwie do mnie. No cóż, mój panie, wykorzystuję twą dobrą wolę tego jedyne go dnia roku, który jest tobie przeznaczony. Pozwól mi odprowadzić cię do kwatery, gdzie będziesz mógł się schronić. Wiatr wieje tam, gdzie chce, jak powiada dobra księga\*, ale też zawsze możesz zasłonić swój zad wrotami.

Zostawiłem go w stajni i udałem się na rynek, szukając kantorku Izaaka. Znalazłem go po północnej stronie, skromny piętrowy domek z drewna, z insygniami księcia wyrzezanymi nad drzwiami. Przytupując, strząsnąłem śnieg z butów i wszedłem.

Izaak siedział od frontu, przy dużym dębowym stole,

\* J 3,8. otoczony oprawionymi w skórę księgami. Czytał plik papierów, nanosząc notatki po obu stronach kart. Nie podnosząc wzroku, wskazał mi krzesło.

- Prawie skończyłem - powiedział. - Drobną omyłką popełnioną w kwietniu z winy mego niedowidzenia rozrosła się w gigantycznych rozmiarów rozbieżność ze stanem faktycznym. Przywracam równowagę temu najbardziej chwiejnemu ze światów. - Po kilku kolejnych ruchach piórem coś podkreślił, osuszył kartę i odłożył swój oręż. - A teraz, mój cudzoziemcze, co o tej porze roku sprowadza cię z Żary?

- Z Żary? Uśmiechnął się.

- Staram się trzymać rękę na pulsie wydarzeń. Twój gospodarz o niej wspomniał. Piękne miasto. Będzie żywym ośrodkiem handlu, jeśli zdoła zrzucić jarzmo Węgrów. Jak się sprawy miały, kiedy wyjeżdżałeś?

- Zaczny panie, obawiam się, że zostałeś błędnie poinformowany. Przybywam z Wenecji, nie z Żary.

Na chwilę oczy mu załśniły, po czym schylił się ku mnie.

- Ba, z Wenecji. Hmm, to stawia sprawy w innej perspektywie. Co nowego na Rialto? Czy szykuje się nowa święta wojna? Czy chrześcijanie są gotowi bić się z muzułmanami o żydowskie miasto? I kiedy?

- Obawiam się, że nie przebywałem tam dość długo, aby doża mógł się ze mną podzielić tymi wieściami.

Pokiwał głową rozbawiony.

- Prowadzę korespondencję z weneckimi kuzynami. Staramy się nawzajem informować o postępach krucjat.

- Widzę, że naprawdę trzymasz rękę na pulsie.

- Muszę, tu chodzi o przeżycie. Niestety, mój lud ma to w sobie, że zawsze znajduje się na drodze fanatyków, a ci, jeśli nie mogą *znaleźć* żadnych muzułmanów do zabicia, z ochotą skupiają na nas swoje zainteresowanie. I zdarza im się po drodze spalić synagogę, ot tak, by nie wyjść z wprawy. Więc ostrzegamy się nawzajem.

- Ciekawe. Jak daleko sięga ta sieć informatorów?

- Tak jak mojemu pradziadowi udało się rozprzestrzenić swoje nasienie. Był cztery razy żonaty i zostawił legion potomstwa. Potrzeba by najlepszego arabskiego matematyka do sporządzenia naszego drzewa genealogicznego. Ale ja tu gadam o mojej marnej osobie, kiedy mam gościa, rozumiem, że z propozycją interesu, czy nie tak?

- W samej rzeczy. Ale miałem nadzieję, że porozmawiam również z intendentem księcia.

-I to niepłonną nadzieję - rozległ się głos z góry.

Podniosłem wzrok i ujrzałem schodzącego Klaudiusza. Chmura, która zasnuła jego oblicze, gdy mnie dostrzegł, dalej tam tkwiła. Faworyzował czerń, budząc niefortunne wspomnienia innego intendenta, którego niegdyś znałem w tym mieście. Ale jakiegokolwiek przypuszczenie, że mógłby być Malwoliem, szybko zniknęło, gdy zszedł na ostatni stopień. Był krótszy o głowę i patrzył mi prosto w grdykę, kiedy powstałem, aby go przywitać. Bez słowa przesunął się dalej, pozostawiając nikłą woń sosnowej żywicy, i zasiadł w głębi pokoju, za innym stołem, umieszczonym na niskim podium, tak że siedząca tam osoba miała na widoku zarazem kantorek, jak i rynek. Pozdrowił mnie niemczyzną znacznie lepszą niż lingwistyczne umiejętności pana Andrzeja i przez chwilę się lękałem, iż wyczuje, że to nie mój ojczysty język.

- Twoja propozycja, jeśli łaska - rzekł niemile jedwabistym głosem.

- Może się wam wydać przesadnie ryzykowna - zacząłem z wahaniem.

- Dajże spokój, panie, cóż to za początek negocjacji - przerwał mi ostro Klaudiusz. - Ludzie interesu to ludzie czynu. Samo życie jest trochę ryzykowne. Pozwól nam osądzić, czy jest warta małej inwestycji.

- Nie będzie wymagała z waszej strony żadnej inwestycji - powiedziałem. - Jedyne zgody. Przyzwolenia, gwoli ścisłości.

- Na co? - spytał Klaudiusz.

- Na to, by jeden, może dwa statki kotwiczyły tu nieregularnie oraz przekazywały swój ładunek na czekające wozy i by ten ładunek miał zapewniony bezpieczny przejazd przez waszą domenę.

- Dość łatwa do spełnienia przysługa. Podejrzewam, że ten ładunek musi być nie byle jakiej wartości. Co zamierzasz szmuglować?

- Szmuglować? - spytałem zdziwiony. - Panie, wielce mnie krzywdzicie. Jedyne moim pragnieniem było ominąć wenecką komorę celną.

Odniosłem wrażenie, że między parą orsynian nastąpiła bezsłowna wymiana zdań. W końcu Klaudiusz skinął głową.

- Mów dalej, proszę - rzekł.

- Ładunek zawiera przyprawy korzenne - wyjaśniłem.

- Nie ma nic niezwykłego w korzeniach.

- Owszem, nietypowa tylko jest ich droga - powiedziałem. - Zamiast odbierać je prosto z egipskich portów, mój brat podążył do samej Arabii i nawiązał kontakty z pewnymi kupcami w Siddik.

- Ach - szepnął Izaak. - W razie powodzenia to pozwoliłoby mu zaoszczędzić dwadzieścia procent kosztów.

- Mamy nadzieję zaoszczędzić ich jeszcze więcej. W przeszłości przyprawy korzenne, jak cały nasz import, przechodziły przez Wenecję, a potem przełęczą Brenner do Augsburga. Wenecja zdzierała niebotyczne cła, tylko dlatego że geograficznym przypadkiem znajduje się w takim, a nie innym miejscu.

- Proponujesz rozładunek tu i co dalej? - spytał Klaudiusz. - Transport wozami przez nieprzyjazny kraj, aż ładunek dotrze do Dunaju? To wielomiesięczny objazd. Zaoszczędziłeś swoje dwadzieścia procent, jedź przez Wenecję i zapłać cło.

- Tylko do Drawy - odparłem. - Najważniejsze to ominąć Wenecję. Nawet doliczywszy kosztów dłuższego transportu, oszczędzamy kolejne piętnaście procent. Nie macie pojęcia, jakie ilości przypraw przechodzą przez rynek w Augsburgu. Co dopiero w Monachium. Można zbić fortunę na jednym statku. A w związku z zaoszczędzonymi

kosztami zapłacimy wam wynagrodzenie w wysokości pięciu procent. Za przyzwolenie na przeładunek.

- I za tę królewską nagrodę zapewnimy sobie dozągną wrogosć Wenecjan - skomentował moją propozycję Izaak.

- Słuszna uwaga - przyłączył się do tej opinii Klaudiusz. - Co nam po procencie od dwóch statków? Staniemy się tylko bardziej łakomym kąskiem do schrupania. Do tej pory utrzymywaliśmy delikatną równowagę między niezależnością a służalcząosćią.

- Ależ Orsyno jest znane ze swej autonomii. Czemu się lękacie Wenecji? Za rządów świętej pamięci księcia nie żywiliście podobnych obaw.

- Ale świętej pamięci księżę już nami nie rządzi. A wydarzenia za morzem dyktują wybór regenta.

- Czy któryś z szlachejnych panów będzie kandydatem? Niespodziewanie zaczęli się głośno śmiać.

- Izaak nie zostanie wybrany, gdyż większość mieszczan nie zniosłaby Żyda na tym stanowisku. Znoszą tu osobę jego wiary, kiedy prowadzi interesy, gdyż handlujemy zarówno z chrześcijanami, jak i z żydami czy muzułmanami. Ale jako regenta nigdy.

- A wy, panie?

- Nie jestem kandydatem, gdyż nie pragnę nim być. Mam swoje powody. To nie twoja sprawa.

- W takim razie nie ma wielkiego sensu z wami rozmawiać, póki ta sprawa nie zostanie rozwiązana. Nie będziecie mogli podjąć decyzji, póki nie zostanie wybrany regent, który by ją zatwierdził.

- Zgadza się. Ale to nie jedyne zastrzeżenie. Dopóki twój brat się tu nie pokaże z czymś konkretnym, i tak nie zawracałbym sobie tym głowy.

- Pat.

Zachichotał łagodnie, wbijając we mnie wzrok.

- Pat? Mój dobry człeczce, nie mamy nawet dość bierok, aby się do gry. Na razie mogę ci tylko życzyć wesołych świąt i dołączę do mych modlitw błagania o bezpieczne przybycie twego brata. Do widzenia, *signore* Oktawiuszu.

Ukłoniłem się i wyszedłem.

Brnąc przez błoto zalegające rynek, w głowie kluczyłem grzęzawiskiem domysłów. Ani Izaak, ani Klaudiusz nie pasowali mi na mordercę księcia, gdyż ich dobrobyt zależał od jego egzystencji. Chyba że postanowił umieścić na ich miejscu jakichś nowych zarządców. Wtedy z kolei mogliby serdecznie zapragnąć się go pozbyć. Teoryjka warta śledztwa,

zwłaszcza że musiałem jeszcze znaleźć jakieś materialne dowody na poparcie mych podejrzeń, chociaż rozmowa z Hektorem przekonała mnie, że upadek nie był ani przypadkiem, ani samobójstwem. Nagle wielce zaciekawił mnie ów drobny błąd, który poprawiał Izaak. Być może po pracy dałoby się zajrzeć do jego ksiąg.

I jeszcze jedna rzecz. Klaudiusz był za niski na Malwolia, ale Żyd nie.

## Rozdział VI

*A Niebo niech gdzieś na górze będzie.*

Urządzenie sceny wedle *JEU D'ADAM*, widowiska z XII wieku

.Następnego dnia z pokorą stanąłem u bramy książęcego pałacu. Po niemiłosiernie długim czasie zstąpił ze swych wyżyn Malachiasz, wreszcie gotów ze mną porozmawiać. Ze szczególną satysfakcją poinformował mnie, że mizerota mego stanu nie może w niczym zainteresować wielmożnych państwa za murami pałacu i żebym był tak dobry i więcej nie wystawiał na próbę jego cierpliwości.

Dobry czy nie, ale mój nos kolejny raz nawiązał niemal bezpośredni kontakt z zamkniętą bramą. Poza oddalającym się zadkiem Malachiasza nie stwierdziłem wokół pałacu żadnego ruchu. No cóż, kiedy jedne drzwi są zamykane, drugie muszą być otwarte. Chyłkiem obiegłem posiadłość i cierpliwie czekałem. Jak należało się spodziewać, z wyjścia dla służby wyłoniła się dźwigająca sporych rozmiarów kosz niewiasta. Uznałem, że to pewnie udająca się na targ kucharka. Z doświadczenia wiedziałem, że tylko jedna plotkara przewyższa kucharkę z pańskiego domu - zakonnica z dużego klasztoru. Ruszyłem za nią w pewnym oddaleniu, gdy udała się na rynek.

Panował tam ruch i gwar. Kramy pękały od rękodzieła, wytwarzanego przez wieśniaków zimą, gdy nie pracowali na roli. Sprzedawcy zachwalali prażone orzechy, kręgi sera, prościuchne drewniane zabawki, pamiątki rodzinne i tureckie dywany. Niewiasta starannie wybrała orzechy i suszone owoce, po czym południowo-wschodnią bramą udała się do portu. Ja za nią.

Przy płynęła łódź rybacka i załoga wyładowywała beczki z soloną rybą. Kobita skinęła na kapitana, który na jej widok z uszanowaniem zdjął czapkę. Dał znak jednemu z rybaków i ten przydzwigał sporego jesiotra. Obwąchała go z uznaniem i trafił do jej koszyka.

Była teraz solidnie obładowana i dostrzegłem szansę dla siebie. Zrównałem się z nią.

- Pani, tak się składa, że obecnie dysponuję wolnym czasem - zagadnąłem ją. - I nie widzę dla niego lepszego pożytku, niż zaoferować go tobie.

Uśmiechnęła się wdzięcznie, prezentując dołeczki na policzkach.

- To wielce uprzejmie z twej strony, panie. Jest dość zimno, by ryba zachowała świeżość, nim dojdę do domu, ale jest jeszcze ciężar i stok, i wiatr, i lód, i w ogóle.

Wziąłem od niej koszyk i ruszyliśmy przed siebie.

- Prawdziwą ucztę szykujecie. Jak wielka jest wasza rodzina?

Roześmiała się serdecznie.

- Och, to zbyt wystawne potrawy jak dla moich pociech. Będą musiały się później zadowolić kilkoma kawałkami solonego śledzia. Jestem kucharką w domu księcia i dziś wieczór mam osiemnaście gąb do napełnienia.

- Ach, miałem przyjemność biesiadować tam wiele lat temu. Świetny stół mają w pałacu. Nie wspomnę imienia kucharza, ale deseru nie zapomnę. Słodki pomarańczowy sos, delikatnie doprawiony korzeniami, który nęcił oko, uwodził nos i niewolił podniebienie. Nigdy nie jadłem takich delicji. Powiedz, żeś strażniczka przepisu, i z miejsca się z tobą żenię. Spójrz, oto kościół, pani kucharko. Wesoło się roześmiała.

- A co bym rzekła memu małżonkowi i dziatwie? Nie, wtedy czarownicą paleniska była Katarzyna, a przepis przeszedł na jej córkę, która odziedziczyła po matce i stanowisko. Przepis chowa za koszulą i któregoś dnia trafi do jej córki.

- W takim razie zaczekam na córkę, aż dorośnie do za-mążpójścia. Jak się powodzi młodemu księciu? Czy tego wieczora skosztuje zawartości twojego kosza?

- Niestety, biedny chłopiec wciąż niedomaga. Z radością mogę powiedzieć, że jest mu lepiej, ale jego żołądek przyjmuje jeno rosółek i nieco grysiku.

- Co dokuczają młodzianowi?

- Medycy nie mają pojęcia. Doskwiera mu coś w wątpliach i to cud, żeśmy się wszyscy nie pochorowali, jak to zwykle bywa. A śmierć jego ojca, no, to dopiero był dla nas wszystkich cios, ale zwłaszcza dla niego. Tak się rozchorował i praktycznie w tej samej chwili stracił ojca, no, nic dziwnego, że mało nie poszedł za nim do grobu.

- Czy te dwa wydarzenia były tak blisko siebie? Nie słyszałem o tym.

- A jakże, to wydarzyło się tej samej nocy. Mieliśmy sporo gości na obiedzie, największe rodziny z miasta, a tu ci nagle Marek jak nie wrzańcie i nie zacznie się ślaniać, trzymając za brzuch. To było zaraz po trzecim toaście, wesołym toaście, co to go wznosił pan Tobiasz, i niektórzy pomyśleli, że może było za dużo wina jak na chłopca w jego wieku, a wcześniej jeszcze objadł się orzechami i słodkościami. Zawsze lubił zajrzeć do kuchni, kiedyśmy szykowały ucztę, przyglądał się, jakie gotujemy potrawy, i tymi swoimi zręcznymi palcami potrafił zwędzić to i owo. A tu jęczy i rzyga przy stole jak jakiś pijaczyna, aż

wreszcie padł na kolana biednemu panu Andrzejowi. Święci Pańscy, myślałam, że pan pójdzie w jego ślady, tak zbieleł na gębie. Zabrali chłopca do jego pokoju i księżna, i jego sługa byli przy nim całą noc.

- A potem usłyszeli o księciu. To dopiero musiało nimi potyrpać.

- Och, chłopiec patrzył w ojca jak w tęczę, nie inaczej niż inni w jego wieku. Była wielka rozpacz i żałoba, a teraz wszyscy zachodzą w głowę, kto będzie regentem. Zupełnie nie pojmuję, czemu nie zrobią regentką jego matkę. Cóż z tego, że pochodzi z daleka, skoro ma lepiej poukładane w głowie niż cała reszta. Wszyscy składają mu wizyty, co jest bardzo miłe, ale niektórzy usiłują podstępem wkraść się w jego łaski, rozumiesz, co chcę rzec. Próbują wykorzystać chorego dzieciaka, żeby tylko poregentować parę lat.

- Ale jego stan się poprawia.

- O, tak, chwała Zbawcy, a jakże. Przy odrobinie szczęścia będzie zdrow na widowisko, chociaż na razie hrabia Sebastian się za niego udziela.

- A, rozumiem, chodzi o jasełka\*. Co właściwie się szykuje?

- Tego roku *Zstąpienie do piekieł* \ miał być Zbawcą. Okrop-

\* Tak w tekście. Dalej opis widowiska wielkanocnego. nie się ekscytował, bo raz pierwszy ojciec pozwolił mu grać. A teraz może jeszcze tak się zdarzyć, że nie będzie tam ani starego, ani nowego księcia. Wielka szkoda. - Paplała i paplała, opowiadając mi o podagrze Sylwia, ostatniej ciąży Anny i innych przypadkach służby, tak że gdybym wszedł za bramę, pewnie rozpoznałbym cały pałac co do człowieka. W końcu dotarliśmy na miejsce. Otarła rękawem nos.

- I proszę. Jesteśmy, i to raz-dwa, dzięki tobie. Nic tak nie umiła czasu w drodze jak rozmowa z zacnym panem. Niech cię Bóg błogosławi, szlachetny panie.

- I ciebie - odparłem. - A także twój dom i twoją ucztę. Znów się uśmiechnęła, pokazując dołeczki, i weszła do środka.

*Zstąpienie do piekieł*. Dziwny wybór. Mieścina nie była dość ludna, aby wystawić całość dziejów Chrystusa, tak więc zawsze szykowano jeden fragment i pokazywano go w ostatni dzień świętowania Bożych Narodzin. Zastanawiałem się, z której wersji skorzystają. Trudno by to nazwać widowiskiem, raczej krótką rozprawą między Jezusem a diabłem, w której On, naturalnie, bierze górę, po czym przechodzi parada cnotliwych Żydów, dziękujących Mu za zbawienie.

Wróciłem do drogi i poszedłem na rynek, gdzie robotnicy wznosili kilkach małych podiów przed schodami nowej katedry. Kramy zepchnięto na zachodnią stronę placu, robiąc miejsce na zbliżającą się fetę, chociaż handel trwał nieprzerwanie. Kiedy znalazłem się bliżej,

bez trudu rozpoznałem część wznoszonych dekoracji, Krzyż Święty i Grób. Na najwyższym stopniu umocowano dwa słupy, złączone luźno dyndającą liną. To pewnie miał być raj. Najstaranniej oddano wrota piekieł, z grubsza namalowany łeb szatana z tak szeroko otwartą paszczą, że pomieściłby się w nich dorosły człek bez zginania karku. Czerwona adamaszkowa zasłona ukrywała wnętrze. Po prawej ustawiono parę tronów: jeden pomalowany na białą, drugi na ciemnoczerwona

Jakiś człowiek kręcił kołowrotem, który unosił w powietrze małego wystraszonego chłopca. Wciąż leciał głową w dół, co w niczym nie koiło jego lęku.

- Nie, nie, nie - skarcił go władczo wyglądający mąż, który zdawał się nadzorować całość. - To do niczego. Pan aniołów musi być wyprostowany, gdy wzlataje. Co możemy zrobić?

- Może uczepimy mu ciężary u nóg? - zaproponował kołowrotowy.

- Znakomicie! - wykrzyknął nadzorca próby i do butów nieszczęsnego dziecka przywiązano parę wielkich kamieni. Teraz się wyprostował, ale lina boleśnie wpijała mu się w pachy. Spojrzał z rozpaczą na nadzorcę i nabrał głęboko powietrza w płuca.

- Teraz słuchajcie mnie wszyscy - zapiszczał ledwo słyszalnie.

- Nie, nie, nie! - krzyknął jego dręczyciel. - Masz być panem aniołów, przybywającym z niebios z przesłaniem nadziei. Nie piszcz, obwieść to, chłopcze.

- Ale mnie boli - zajęczał malec.

- Będziesz tam wisiał, dopóki nie zezwolę cię opuścić, a to nastąpi, gdy uznam, że mówisz jak należy.

Wtedy go rozpoznałem. Nazywał się Fabian i kiedy ostatnio przebywałem w Orsyno, był jednym z dworzan hrabiny Oliwii. Odegrał drobną rolę w wydarzeniach prowadzących do niełaski Malwolia. Miałem nadzieję, że była na tyle niewielka, iż umknie uwadze ogółu. Kiedy go poznałem, był nieogłdnym łajdakiem, a teraz łajdak przemienił się w tyrana.

Chłopiec męczył się ze swoją tyradką, marszcząc oblicze i zaciskając powieki, jakby jej tekst miał wypisany po ich wewnętrznej stronie. Powtórzył ją kilka razy tym samym słabowitym, monotonnym głosikiem, ale ostatnia próba albo usatysfakcjonowała Fabiana, albo zmusiła go do poddania się, gdyż zwrócił się do młodego diakona, który stał nieopodal.

- Końcówka jest „Jak teraz wam powiem” - poinstruował go.

Diakon skinął na grupkę dygocących gapiów, która okazała się chórem, gdyż trzęsącymi się głosy natychmiast rozpoczęła *Advenisti desiderabilis*. Fabian natychmiast im przerwał.

- Nie to, to potem. Chodzi mi o „W piekle witajcie”. Dobra, tak. Jezus, to końcówka



dla ciebie na wejście. Jezus?

- Jestem, niech to diabli - zamruczał Sebastian, otulony w płaszcz. Zajął swoje miejsce, stąpając nader pokracznie. - Chryste, czemu musi się obchodzić Boże Narodzenie zimą?

- Hrabio, hrabio, proszę. Nie takiego nastroju nam trzeba. Wasza pierwsza przemowa, jeśli łaska.

- Ciężką drogę przebyłem - zaczął Sebastian, niewiele wyraźniej niż anioł, który mówił przed nim. Te usiłowania spotkały się z otwartym szyderstwem kilkorga widzów.

- I jak do tej pory ci się podoba nasze skromne widowisko, pielgrzymie? - rozległ się głos za mym ramieniem.

Odwrociłem się i ujrzałem biskupa. Mitrę zastąpiła zwykła czapka. Poza tym Jego Ekscelencja przywdział bogato bramowane futro.

- Wydaje mi się nieco odrażające - odparłem. - Z pewnością Kościół nie popiera tych żalonych wybryków. Jak możecie pozwolić, aby tego rodzaju wyglupy profanowały święte dni?

- Bzdura. Tego nam potrzeba. To przyciąga trzódkę, a jeśli zabawę podbuduje jakaś moralna nauka, tym lepiej. Przecież nie pokazują tu *Interludiumpasterec^ki*.

- To trąci polityką chleba i igrzysk.

- Raczej opłatka i pełnej widowni. Rozejrzyj się, a zobaczysz, jak możni i ubodzy mieszają się ze sobą, przyciągani wspólnym celem. Pomyśl, jak wdzięczni są najubożsi wieśniacy, gdy odmrażają sobie jajka na tym samym zimnym wietrze, na który wystawia się jakiś książę czy hrabia, i widzą, jak drobne cierpienia ponoszą w porównaniu z mękami naszego Zbawcy na krzyżu, odgrywanymi tuż przed ich nosem. A potem gromadzą się razem w miłej, ciepłej katedrze i dziękują niebu za to, że ich żywot jest tylko trochę żalony i że czeka ich niebo.

- Gdzie Adam i Ewa? - wrzasnął Fabian. - Musimy zmierzyć raj.

Para młodych, chichocząc, wbiegła, po schodach i stanęła między słupami. Fabian zajął się uwiązywaniem liny, aż zawisła na wysokości ich piersi.

- To odpowiednia wysokość - oznajmił człowiekowi, który zaznaczył ją kredą na każdym słupie. - Pamiętaj, raj musi sięgać podestu, tak żeby było widać tylko ich głowy. Demony! Bądźcie łaskawe, z paszczęki piekieł!

- Wiem, że w Rzymie i gdzie indziej są tacy, którzy tego nie pochwalają - rzekł nieco ciszej biskup. - Ale nie ma powodu, byśmy nie wykorzystywali tego rodzaju widowisk do naszych celów. Czemu wszystkie zgrabne nutki miałyby służyć tylko diabłu?

- Bo w przeciwieństwie do waszego chóru ma głos. Roześmiał się.

- Miłosierdzia i cierpliwości, mój cyniczny kupcze. A krytyka ci nie przystoi. Słyszałem niemiecką muzykę... te wzniosłe biesiadne pieśni... i nie nimi wypada czcić Pana Naszego. A ty potępiasz aktorów. Wspomnij, że Genezjusz i Pelagia kiedyś byli aktorami, a teraz są świętymi. No cóż, zacny pielgrzymie, chociaż nie wolno mi używać mego przyrodzenia, to nie znaczy, że pragnę je sobie odmrozić. Spotkamy się później w gospodzie Pod Słonem. Tradycyjnie błogosławię tam wino.

- Jeśli znajdzie się wino do pobłogosławienia, uszanuję ten sakrament - obiecałem i oddalił się. Przyziemnie myślący człek z tego biskupa, pomyślałem. Niezwykłe, ale tym bardziej go polubiłem.

Fabian nauczał demony, jak mają się zabawnie przewracać. Niezbyt im to szło.

- Pamiętajcie tylko, że napotkacie możliwie najświętszą osobę, i to powinno doprowadzić was do całkowitej paniki. Asztarot i Anabal z prawej, Beryt i Belial z lewej. Wykorzystajcie widły, przewracajcie się na nich i kłujcie jeden drugiego. - Belial poślizgnął się na lodzie i mało nie przyszpilił Asztarota. Widzowie ryknęli śmiechem. - Świetne! - pogratulował mu Fabian. - Zatrzymaj to. - Belial wydawał się niepewny, czy uda mu się powtórzyć ten numer. Asztarot nie miał pewności, czy mu na tym zależy. Beryt nagle czknął, kolejny niezamierzony wyglup. Wszystko to było niezwykle prostackie i bez polotu.

- Ruszcie się, demony, stać was na więcej - zbeształ ich Fabian. - Na niebiosa, gdyby tylko ten zapijaczony bęwał, Feste, mógł to widzieć. On dopiero by was nauczył przewrotek.

Wspomniany takimi słowy miałem bardzo mieszane uczucia.

Demony w końcu przebrnęły przez gębę piekła. Jezus wygłosił kolejną bezbarwną i nic nie znaczącą mówkę i pomaszerował za nimi.

- Panie Andrzeju...?! Gdzie pan Andrzej?! - krzyknął Fabian.

- Tu jestem! - odkrzyknął chudy jak patyk szlachcic. Wgalopował na rynek, niezdarnie dosiadając równie jak on wycieńczonego czworonoga. Stworzenie nagle się zatrzymało, zrzucając jeźdźca przez łeb, prosto na chór. Szczęśliwie jego członkowie spodziewali się czegoś w tym stylu, gdyż zgodnie z duchem tych dni rozstąpili się, robiąc mu miejsce, na które runął. Wstał, poprawił przyodziewek i pokuśtykał do zniecierpliwionego Fabiana.

- Proszę o wybaczenie - powiedział. - Miałeś mi podać końcówkę.

- Końcówka dla ciebie była godzinę temu - warknął Fabian. - Każdy inny, jak miasto długie i szerokie, potrafił tu przyjść, ale nie pan Andrzej. Och, on łaził i błądził po lesie, wypatrując swojego cudownego kamyczka, żeby mógł ciągnąć swoje marne życie dłużej, niż jest mu pisane. Demony! - krzyknął nagle.

Pan Andrzej podskoczył, gorączkowo się za nimi rozglądając, podczas gdy chór wybuchnął śmiechem. Demony wyszły na podium.

- A więc, panie Andrzeju, kiedy one wyjdą z ust piekieł, chcę, żeby towarzyszyły im jakieś dymy - polecił Fabian.

- Oczywiście - zapewnił go Andrzej. - Mogę ci wyszykować czerwony dym, czarny albo śliczny żółty, nad którym pracowałem. Tyle że, niestety, kolorowy dym zawsze będzie wyglądał tylko jak kolorowy dym.

- Czerwony będzie w sam raz. A drugiego potrzebuję na wejście hrabiego. Hrabio Sebastianie?

- Witaj, Andrzeju. - Sebastian pomachał z ust diabła. - Wpadniesz dziś wieczór na babeczki z bakaliarni?

- Tak, dziękuję - odparł szlachcic. - Tego roku staram się wykorzystać wszystkie dwanaście wieczorów. Może tym razem mi się poszczęści.

- Dobrze. Potem chodź ze mną do Słonia. Muszę coś łyknąć, żeby się rozgrzać. - Odwrócił się i wrócił do piekieł.

Zauważyłem, że Izaak popatruje sprzed swego kantorku. Napotkał moje spojrzenie i skinął na mnie. Przyłączyłem się do niego i obserwowaliśmy próbę spod okapu małego domu.

- Niezbyt to doskonała osłona, ale wiatr wieje z północy - powiedział. - Żałosny spektakl, nie uważacie?

- Och, mam wrażenie, że na dwunasty dzień się wyrobią. A widownia jest bardzo wyrozumiała wobec tego rodzaju widowisk. Jak się wam podoba? Podejrzewam, że dla kogoś waszej wiary niewiele znaczy.

Przyjrzał mi się równie bacznie jak pierwszego wieczoru w gospodzie.

- A co niby mam na to odpowiedzieć? Jako ktoś mojej wiary nigdy nie krytykuje niczego, co ma związek z waszą wiarą.

- Pytam tylko z ciekawości. Jako żyda musi was to obrażać. Wszyscy wasi prorocy i patriarchowie skazani na piekło i po wiekach zbawieni wyłącznie dzięki komuś, w kogo nie wierzycie.

Roześmiał się.

- Żyd musi tolerować takie obelgi. Nie ma wyjścia, skoro się chce żyć w chrześcijańskim świecie. Są gorsze inwektywy. W tym widowisku przynajmniej uznaje się nas za godnych zbawienia. Patrzcie, to musi być Mojżesz.

Odwróciłem się i przyglądałem ubranemu jak Izaak mężczyźnie, ze sztuczną brodą i parą kamiennych tablic pod pachą.

- Panie, Twa mądrość jest ogromna! - krzyknął. - Z Synaju zeszła wiekopomna. Ja, Mojżesz...

- Nieźle deklamuje - pochwaliłem wysiłki mówiącego.

- Zwróćcie uwagę na rogi - zauważył Izaak. Wytężyłem wzrok i ledwo je dostrzegłem ukryte w kudłach peruki.

Izaak łypnął na mnie kątem oka, oceniając moją reakcję.

- Taki zwyczaj? - spytałem. Wzruszył ramionami.

- Złudzenie optyczne.

Znów uniesiono anioła, żeby wyrecytował epilog. Kiedy zakończył go słowami „I do raju udał się”, chór rozpoczął coś, czego nie znałem.

- Co to ma być? - zdziwiłem się głośno.

- Psalm dwudziesty czwarty - odparł Izaak. - Po łacinie.

- Znać łacinę? - spytałem nieco zdziwiony.

- Oczywiście. Podróżuję do wielu chrześcijańskich krain. Nie mówię wszystkimi językami tubylców. Ale cała wykształcona szlachta mówi po łacinie. Umowa zawarta po łacinie w Konstantynopolu będzie honorowana po łacinie w Brugii i wszędzie po drodze. Najużyteczniejszy język w handlu.

- Musicie mówić wszystkimi językami handlu. Roześmiał się.

- Znam łaciński, hebrajski, arabski i bilansowy. Wszystkie. Na pewno nie macie dla mnie wieści z Wenecji?

- Żadnych. Westchnął.

- Wygląda na to, że stamtąd wiatry wieją. Tu się mówi, że żadni chrześcijanie na pewno nie uderzana innych chrześcijan. Nie będąc chrześcijaninem, nie jestem o tym przekonany.

- Czy twoja wiara cię wspiera?

- Oczywiście. A wiara muzułmanów wspiera ich. I gdy udany handel przynosi nam wszystkim profity, okazuje się, że wszyscy możemy świetnie żyć jedni obok drugich. Czy to nie niezwykle? Może o to chodzi.

- A jednak nasz Zbawca wypędził przekupniów ze Świątyni.

- Wygląda na to, że znaleźli schronienie w Kościele. I starają się odzyskać Jerozolimę. Dlaczego? Z powodu jej świętości czy strategicznego położenia? Bez względu na przyczynę jest winna śmierci zbyt wielu ludzi. A to jeszcze nie wszyscy. Lecz taki jest ten świat.

- Cyniczny pogląd.

- Czyżby? Mój świętej pamięci pan udał się na ostatnią wyprawę krzyżową i na dwa

lata oddalił się od żony i rodziny. Wielu naszych najlepszych ziomków poszło wraz z nim i wielu nie powróciło. On wrócił i poświęcił część swych łupów na tamta, kupę marmurów, przy okazji pozbawiając dachu nad głową kilkanaście rodzin. Czemu to uczynił? Żeby kupić sobie miejsce w niebie po tym, jak zarobił na miejsce w piekle?

- Głęboko porusza mnie wasz cynizm. Tamten człowiek zatrudnił was, nie patrząc na waszą wiarę. Ilu innych książąt tego królestwa byłoby stać na taki czyn?

- Czy mam go chwalić za to, że był neutralny, a nie nienawistny? Czy też za to, że jego chciwość przewyciężyła chrześcijańskie skrupuły? Jestem wdzięczny za stałe zatrudnienie. Byłbym wdzięczniejszy, gdyby pozwolono mi posiadać własność i prowadzić własny interes. Ale taki jest świat.

Próba dobiegła końca. Uczestnicy zaczęli się rozchodzić, podczas gdy Fabian wrzeszczał, udzielając nagan, na co przeważnie nie zwracano uwagi. Sporo osób skierowało się ku południowo-wschodniej bramie. Pomyślałem o zaproszeniu biskupa i ogarnęła mnie wielka chęć przyłączyć się do nich.

- Wybieram się do Słonia na poświęcenie wina - powiedziałem. - Przyłączcie się do mnie?

- Z całym szacunkiem, ale muszę odmówić. Poświęcamy wino w inny dzień. Kiedy przystąpię do modlitwy, nie zapomnę pomodlić się o bezpieczny powrót twojego brata.

Ukloniłem się, co go mile zaskoczyło, i do Słonia „udałem siem”. Może nie był to raj, ale biorąc pod uwagę biskupa i wino w tej okolicy, miejsce mu najbliższe.

Wszedłem, gdy biskup kończył poświęcenie sporej baryłeczki, w otoczeniu pana Tobiasza, hrabiego Sebastiana i Aleksandra. Odszpunktowano baryłkę i zgromadzeni wierni zostali zaopatrzeni w pucharki.

Przyłączając się do nich, trafiłem obok hrabiego. Szybko przedstawiłem się jako Oktawiusz, zanim miał szansę przypomnieć sobie mnie jako kogoś innego. Na szczęście skutkiem wcześniejszej zabawy z kielichami miał nad nami przewagę, jeśli chodzi o spożywanie błogosławionego trunku, ale ta jedynie doprowadziła go do stanu głębokiej melancholii.

- Kupiec, co? - spytał. - Podróżujący, jak mniemam.

- Całkiem sporo.

- Szczęściarz. Naoglądaliście się świata. Też mi się kiedyś zdawało, że się go naoglądam. Najdalej udało się mi tu dotrzeć.

- To miasto wydaje się całkiem miłym zakątkiem. Zaśmiał się, jakby bity kundel zawył.

- Och, uroczym. Zostańcie do pełni lata. Przepiękne. Każde lato dokładnie to samo. Znaczy się miasto. A ludzie? - Wyżłopał swój puchar i napełnił go z dzbana. - Starzeją się. - Pochłonał połowę pucharu. - Nigdy nie żeń się młodo - rzekł nagle.

- Nie mnie wysłuchiwać takich rad.

- Dlaczego? Nie jesteś żonaty?

- Nie jestem młody.

Przyjrzał mi się uważnie i zasłoniłem pucharem twarz, odchylając głowę. To było dobre wino.

- Byłeś na ostatniej krucjacie? - spytał.

- Nie - odrzekłem.

- Ani ja. Chciałem jechać. Byłem młody i przepelniony szlachetnym wigorem. „Zostajesz - obwieścił sam wszechpotężny książę. - Ktoś musi zostać i strzec dam. Zaopiekuj się siostrą w moim imieniu”. I pomknął w świat, a z nim najlepsze rębajły, podczas gdy ja zostałem z babami i dziedarnią na głowie, wykonując drobne obowiązki administracyjne, a niewiele ich było. Głównie zajmował się nimi jego intendent.

- Klaudiusz?

- Nie, ten zjawił się potem. Inny, staruch. Potem pada trupem, a moja siostrunia, nawet nie pytając mnie o zdanie, przejmuje rządy. Spisała się. Nie krytykuję, ale od tamtej chwili nie tylko miałem baby na głowie, ale babę na karku. A potem wrócili mężowie, bohater w bohatera. „Och, świetnie się spisałeś, pilnując miasta, Sebastianie. I słyszałem, że twoja siostra pomagała. Dobra robota, chłopcze”.

Wychylił puchar do dna i znów go napełnił. Postanowiłem nie dotrzymywać mu kroku.

- Wiesz, jestem teraz hrabią. Skinąłem głową.

- Przez małżeństwo - dodał. Znów skinąłem.

- Wtedy pięknie to wyglądało. Zawrót głowy. Nawet sobie nie zdawałem sprawy, co się dzieje, a potem się wydało, że wcześniej cały czas pożądała mojej siostry. Oczywiście potem nie, ale myślała, że Wiola jest mną czy ja Wiolą, czy jakoś tak. Wszystko poleciało jak z bicza strzelił. Ożeniłem się z kobietą, która myślała, że jestem kimś innym. Poślubiłem ją zaledwie po jednym dniu zalotów. Miałem siedemnaście lat. Od tej pory nie wychyliłem nosa poza to miasto. Dostałem za żonę starszą od siebie. I jej pieniądze, i tytuł. Nie żeń się młodo. Wiem, wiem, jesteś stary, ale możesz opowiedzieć o mnie innym. Niech mój los posłuży za przestrożę młodym, spragnionym przygód. Powiedz im, niech śmiało ruszają w świat po cholerne przygody, nawet gdyby miał ich szlag trafić. Muszę spuścić urynę z pęcherza. -

Wstał i zataczając się, wyszedł.

Otwarto następną beczułkę i następną. Aleksander wygłosił toast, potem Tobiasz i kolejno inni szanowani obywatele. Przez całą noc wznosiliśmy toasty, honorując się nawzajem. W pewnym momencie skończyliśmy, ale zabijcie mnie, nie pamiętam kiedy.

## Rozdział VII

*Te kobiety, które nakładają róż na policzki, a belladonę na powieki, które twarzą posypują pudrem... których żadna liczba lat nie przekona, że są stare.*

Święty Hieronim, *Listy*

Na dół zszedłem tuż przed południem. Nogi mi się trzęsły. Po obudzeniu potrzebowałem długiej chwili, zanim przypomniałem sobie, gdzie jestem, dlaczego tu jestem i kim niby jestem. Aleksander przywitał mnie przyjaznym pomrukiem, a Tryton przybiegł z miską owsianki. Wtedy przypomniałem sobie, jaki dzień mamy.

- Chodź tu, chłopcze - rzekłem, gdy szykował się do odejścia.

Spojrzał na mnie, na jego obliczu z wolna ukazały się zrozumienie i niepokój. Ująłem go mocno za ramiona, odwróciłem i zdrowo palnąłem w łeb. Pisnął jak szczenię.

- Długiego życia i radości, Trytonku - powiedziałem. Aleksander mi zaklaskał.

- Dobra robota, panie - rzekł. - Nic nie mówiłem, bo nie wiedziałem, czy w waszym kraju obchodzą ten zwyczaj.

- Obchodzą. I podejrzewam, że Agata jest na niego zbyt dorosła.

- Ociupinę, ale już.

Mieliśmy Dzień Świętych Niewiniątek, święto, w które dzieci dostają klapsa na szczęście. Ze względów praktycznych postanowiłem ograniczyć mój udział w tych obchodach do jednego domu i zakarbowałem sobie w myślach, że należy kupić drobne podarunki Agacie i Trytonowi.

- Wygląda na to, że zasnęłam.

- Wy, panie, i reszta miasta - potwierdził Aleksander. - Mam wrażenie, że wczoraj całe się tu stłoczyło, pod jednym dachem.

- Ale ty wyglądasz wcale, wcale.

- To jedyny wieczór w roku, kiedy nie biorę kropli wina do ust. Za duże szaleństwo. Muszę powiedzieć, że chór wydawał się w dobrej formie.

- Tak. Może przed występem powinieneś wysłać im baryłkę. To podniosłoby ich umiejętności.

- To wyście się powinni do nich przyłączyć, panie. Nie macie się co wstydzić waszego głósiska.

- Doprawdy? - spytałem, ukrywając niezadowolenie. - Nawet nie pamiętam śpiewów.

- O, tak. Kiedyście już zaliczyli kilka kolejek, rzecz jasna. Wygląda na to, że znacie wszystkie piosnki świata i parę innych na dokładkę.

- Zbyt wiele życia przepędziłem w tawernach. W jakim języku śpiewałem?

- Chyba w niemieckim. W każdym razie brzmiał jak niemiecki.

No cóż, dzięki za to Bogu. Dość złego, żem odłonił cząstkę moich błazeńskich umiejętności, śpiewając, ale przynajmniej zachowałem akcent jaki trzeba. Złożyłem moje tradycyjne postanowienie dnia następnego, że nie będę tak żłopał, chociaż w tej mierze należało się spodziewać tradycyjnego sukcesu.

Nie miałem żadnego ustalonego planu działań na ten dzień, co zgrabnie współgrało z brakiem planu na całą wyprawę. Kolejne stukanie do bramy księżnej wydało mi się bezużyteczne. Może powinienem złożyć wyrazy szacunku Sebastianowi i Oliwii. I była najwyższa pora na ciche nocne wyprawy.

Na rynku szalała gromadka dzieci, bawiąc się w berka i tłukąc ile wlezie. Kilkoro malców ślizgało się na zamrożonej kałuży, przy murze. Prześcigwali się, który najdłużej utrzyma się na nogach, zanim wpadnie w wielką przyzmę śniegu. Spora grupka tłoczyła się gdzie indziej, piszcząc ze śmiechu. Tknięty nagłym przeczuciem, szybkim krokiem udałem się w tamto miejsce.

Był kompletnie łysy i bielidłem malował również czaszkę. Wokół oczu naniósł czerwone i żółte trójkąty, co się komponowało z łatami jego stroju. W prawym uchu nosił emaliowany kolczyk z trupią czaszką, na serdecznym palcu prawej dłoni sygnet, który ostatni raz oglądałem w izdebce ojca Ge-ralda. Powieki pomalował ciemnym szkarłatem, czego nie dało się nie zauważyć, gdyż miał je zamknięte. Było to o tyle istotne, że jakby nigdy nic żonglował czterema maczugami.

- Wiecie, czemu trzymam oczy zamknięte, dziatki?! - krzyknął tak przeraźliwie, jakby go ze skóry łupano.

- Czemu? - spytały chórkami.

- Bo boję się spojrzeć! - odparł, na co zapiszczały, gdy otworzył jedno, jęknął ze zgrozy i zaraz znów je zamknął. Maczugi dalej fruwały tymi samymi torami.

W pobliżu stał uwiązany osioł, śpiący i kompletnie niezainteresowany tym, co się działo. Na głowie miał wymięty kapelusz z zielonego filcu. Błazen powoli ruszył ku zwierzęciu, a maczugi za nim. Otworzył oczy, nie zmieniając układu, sięgnął po kapelusz i



nałożył go sobie na głowę. Tłumek, nie wyłączając mnie, zgotował mu owację. Błazen skłonił się nonszalancko i z powrotem odłożył kapelusz na osli łeb, znów włożył go sobie na głowę i tak w kółko, coraz szybciej i szybciej, aż wydawało się, że zamiast rąk ma migającą w oczach obręcz. Bardzo się musiałem przyłożyć, aby go nie zniecierpieć przy pierwszym spotkaniu. Oczywiście, kiedy byłem młodszy, potrafiłem zrobić tę sztuczkę. Nie tak płynnie i nie tak szybko, ale potrafiłem.

- Ty, *signore*, chodź i pomóż mi - rozkazał dziesięciolatkowi.

Chłopiec, ociągając się, ruszył na wezwanie, aż znalazł się obok błazna. Zielony kapelusz spoczął na jego głowie, a potem czerwony na głowie błazna i żółty na łbie osła. Maczugi wciąż wlatywały w powietrze, a kapelusze w dziwnej kolejności przefruwały z głowy na głowę. W końcu wszystkie trzy wylądowały na glacy błazna, maczugi osiadły łagodnie w jego dłoniach, czwarta w ostatniej chwili uchwycona nad głową chłopca. Błazen ujął jego dłoń i skłonili się razem. Chłopiec zanosił się od śmiechu jak opętany. Pędem wrócił do koleżków, a deszczyk miedziaków okrył błazna.

- Witaj, Orsyno! - krzyknął. - Nazywam się Bobo, a to mój ukochany Fez. - Osiół w dalszym ciągu miał go w nosie. - Przybyliśmy z Toledo, aby was zabawić. Mój przyjaciel Fez jest małym osłem. A ja...

- ...wielkim! - wydarły się radośnie dzieci, co błazen skwitował spojrzeniem pełnym urazy.

- W Toledo o tej porze roku jest ciepło i słonecznie, a kobiety pachną piżmem i korzeniami. Naturalnie nie mogłem tego znieść i przybyłem tu ze względu na klimat. Dlaczego? Bo jestem błaznem. Pozwólcie, niech wam pokażę, jak jest w Toledo.

Wyjął z sakwy przeróżne chusty i peruki. Następnie odstawił szybką pantomimę, udając przechadzające się piękne panie i służące, żołnierzy i księży, Maurów i Żydów, zmieniając tożsamość wraz z chustami i cudownymi minami. Baczenie się mu przyglądałem, ciekaw, co dałoby się ukraść, zgadując, od kogo on ukradł. Rzadka sposobność oglądać kolegę podczas ulicznego pokazu.

Pracował z godzinkę, z niezłym zyskiem, jak się zdało, po czym się uklonił i zebrał swoje pomoce. Wesoło rozmawiał z mieszczanami, pozwalając dzieciom głaskać Feza, i zaczął na powrót ładować sakwy na grzbiet zwierzęcia. Podszedłem do niego jakby nigdy nic.

- Zacny błaznie, jakie wieści ze świata przynosisz? - zagadnąłem go.

- Ze świata, panie? Obawiam się, że to obszar poza mną.

- Ciekawe wyznanie. Jesteś za teorią, że świat jest okrągły czy że płaski?

- No, cóż, panie - odparł. - Wierzę, że jest zarazem okrągły i płaski.

- A z jakiej to przyczyny, błaznie?

- Zgrabnej, panie, ale wymaga ona demonstracji. Och, mam coś, co jest okrągłe i płaskie, i nadaje się do demonstracji.

Wyjął drobną monetę i przyjrzał się jej uważnie.

- Otóż to, panie. - Ruszył i towarzyszyłem mu krok w krok. - Ze wszystkich moich obserwacji wynika, że chociaż człowiek rządzi światem, to człowiekiem rządzi pieniądz. Jako że to większy musi ogarniać mniejszego, tak więc pieniądz ogarnia świat. A ponieważ pieniądz jest zarazem okrągły i płaski, tak więc i świat musi być taki sam.

- Ale nie człowiek.

- To prawda, panie. Człowiek zasobny w pieniądz zwykle okrągłeje, podczas gdy pozbawiony go spłaszcza się coraz to bardziej. Być może nie jest to spostrzeżenie, które przypadłoby do gustu Arystotelesowi, ale wynika z obserwacji świata.

- Zaiste, mówisz jak błazen. Ale jak to mówią, *stultorum numerus...*

-.. *Infinitus est*. W samej rzeczy, panie. - Spojrzał na mnie, uśmiechając się, gdy skręciliśmy w boczną uliczkę. - Więc to ty jesteś wielki Feste - rzekł.

- Nigdy tak mnie nie nazywaj! - skarciłem go ostro. - Wybacz - natychmiast przeprosił stropiony. - Rzecz w tym, że gdy usłyszałem, z kim czeka mnie praca, ogarnęła mnie niewyobrażalna ekscytacja. Taka współpraca z nadwyżką wyrównała mi nieobecność na święcie głupców. Jakiego imienia teraz używasz?

- Jestem Oktawiusz, kupiec z Augsburga. Zatrzymałem się w gospodzie Pod Słoniem, przy porcie. Jestem jedynym lokatorem piętra, więc gdybyś mnie potrzebował lub chciał mi zostawić wiadomość, śmiało możesz się tam wślizgnąć. Widzę, że nosisz sygnet ojca Geralda.

- Tak - potwierdził, spojrzawszy na niego. - Rzadko stosuje aż takie środki ostrożności. Hasło i odzew już nie wystarczają?

- Może nie. Jak na tajne stowarzyszenie jesteśmy haniebnie nieodporni na infiltrację. Ile ojciec Gerald ci powiedział?

- Trochę. Oczywiście znam główne fakty. Wystarczająco często je recytowałem. Jak długo tu jesteś?

- Od Wigilii.

- Wyruszyłem wieczorem tego samego dnia co ty, ale towarzyszył mi *senor* Ślamazara. Pewnie bez niego byłbym szybciej, ale za nic nie chciałbym zrezygnować z numeru.

- Naprawdę? On tylko stoi jak kół.

- Tak, ale nie masz pojęcia, ile czasu zajęło nauczenie go tego.

- Ładny ten numer z kapeluszami.
- Dziękuję ci. Normalnie używam pięciu maczug, ale jest diabelnie zimno.
- Pokaz masz za sobą. Narzuć płaszcz.

Otarł czoło i pogrzebał w rzeczach, aż znalazłszy opończę i chustę, opatulił się nimi. Cieplesza czapka zastąpiła filcowy kapelusz. Teraz wyglądałby jak pospolity człowiek, gdyby nie upiornie biała skóra.

- Czym się malujesz? - spytałem.
- Białą ołowianą.
- Doprawdy? To niezwykle. Większość z nas uważa, że przy długim używaniu jest trująca.
- Może. Ale nie liczę na długi żywot, więc mogę się prezentować najlepiej jak się da.
- Skąd ten pesymizm?
- Specjalistka przepowiedziała mi przyszłość. Nie mam dożyć czterdziestu lat. W tej chwili liczę sobie trzydzieści osiem. Rzeczona specjalistka była znana z dokładności swych wyliczeń. Nawet własną śmierć przepowiedziała co do dnia.
- Niezwykłe.
- Nie tak bardzo. Kiedy nastał, powiesiła się. Niby oszustwo, a może jednak nie. Za jedno przynajmniej należy ją szanować. Żadnych kompromisów w sprawach zawodowych. Tak więc wolę być martwym błaznem w świetnym makijażu niż starym błaznem bez niego. Ale przejdźmy do spraw bieżących. Czego się dowiedziałeś?

Z grubsza opisałem moje odkrycia i spekulacje. Całość zajęła chwilkę. Pokręcił głową.

- Nawet nie możesz udowodnić, że został zamordowany - podkreślił.
- Jeszcze nie.
- I nawet nie masz pojęcia, czy ten Malwolio w ogóle tu przebywa.
- Och, przebywa. Nie mogę tego udowodnić, ale czuję to głęboko w kościach.
- Głęboko w kościach to jest szpik i czuję, że mi zamarza. Gdzie powinienem się zatrzymać?
- Gdzieś, gdzie mnie nie ma. Najlepiej w bursie.
- A co każeś mi czynić?
- Miej oczy i uszy szeroko otwarte. Spróbuj się dostać za bramę pałacu. Nie mogłem ich przekonać, żeby mnie wpuścili.
- Mają dzieci?
- Dwoje, chłopca i dziewczynkę. Chłopiec jest chory. Podejrzewam, że przydałoby im

się trochę rozrywki.

- Zaraz się tam udam.

- Warto by wysondować księżną. Jeśli księcia w taki czy inny sposób zwabiono w śmiertelną pułapkę, może wcześniej coś wspomniał żonie.

- Warto by spróbować. Mógłbyś mi opisać tego Mal-wolia?

- Mniej więcej mojego wzrostu, trochę młodszy. Prawdopodobnie przebywa tu od jakiegoś czasu w przebraniu i uwił sobie wygodne gniazdko. Zgaduję, że tam, skąd łatwo mu przeniknąć do najlepszych domów i potrzebnych informacji.

- Jacyś podejrzeni?

- Jest Żyd imieniem Izaak, pomocnik intendenta księcia. Jest kapitan straży miejskiej, którego ręce świerzbą, żeby mnie skrócić o głowę.

- Szybko mu podpadłeś. Większość ludzi wpiery musi nas nieco poznać. Pozwól, że podsunę ci sugestię, opartą na tym, co mi powiedziałeś.

- Tak?

- Co powiesz o biskupie? Zastanowiłem się nad tym.

- Powiedziałbym, że nie miały na tyle czasu, aby osiągnąć taką pozycję w Kościele.

- Czas nie ma tu żadnego znaczenia. Ktoś w Rzymie dostaje sakrę biskupią, wyrusza w drogę, a do Orsyno przybywa Malwolio. Tu nikt nigdy nie widział prawdziwego biskupa. Przed naszym przebierańcem wszystkie drzwi stoją otworem. Idealna sprawa.

- W porządku, czemu nie? Ale inne możliwości też mogą wchodzić w grę, a nie mamy tyle czasu, aby je wszystkie sprawdzić.

- Dlaczego? Orsyno oddał ducha przed miesiącem i od tej pory nic się nie wydarzyło.

- On czeka.

- Czeką na co?

- Na przybycie błazna. Szliśmy pod górę.

- Feste się nie zjawia, ale przyjeżdża Bobo - powiedział, myśląc na głos. - Malwolio uzna, że cech nie wiecie czemu wysłał mnie zamiast ciebie. Ja jestem na widelcu, przyciągam jego atak. Przy odrobinie szczęścia spuźnię i łapiemy go.

- Przy odrobinie szczęścia.

- I wydajemy władzom.

- Nie. Znika z powierzchni ziemi. Odwrócił wzrok.

- Rozumiem - powiedział cicho. - Jedną z tych misji.

- Przeszkadza ci to? Skrzywił się.

- Zabijałem wcześniej. Jestem pewien, że ty też. Ale zawsze mi się wydawało, że to

sprzeczne z naszymi zasadami.

- Odpowiada za śmierć dwóch z cechu.

- Może. Niewykluczone. Prawdopodobnie. Ale zemsta powinna być Pana, nie błazna.

- Jest zagrożeniem dla cechu. Potraktuj to jako samoobronę. Jeśli to dla ciebie zbyt brutalne, przynajmniej pomóż mi go złapać, a ja zajmę się resztą.

- W porządku. Udam się prosto do księżnej. O zachodzie słońca spotkamy się Pod Słoniem. Śmieję się, jakbym powiedział coś śmiesznego.

Wesoło zachichotałem, podczas gdy obok przejechał strażnik, przyglądając się nam.

- Mógłbyś się głośniejszym śmiać - tonem narzekania rzekł Bobo.

- Nie było na tyle śmieszne - powiedziałem. - Do zachodu słońca. Uważaj na siebie.

Rozstaliśmy się. On ruszył w kierunku bursy, ja na północny zachód.

Dwór Oliwii wychodził na północny odcinek murów i stał pośrodku bram od strony lądu. Przedstawiłem się pokojówce, która zniknęła w domu, po czym znów się pojawiła i zaprosiła mnie do środka. Szybkość, z jaką mnie przyjęto, znacznie odbiegała od tego, do czego przywykłem w tym mieście, i ledwo miałem czas ułożyć moją legendę.

Hrabina była obecna. Hrabia również, ale jedynie ciałem, gdyż odsypiał na piętrze wczorajsze uroczystości. Chmara dzieci mrowiła się w pokojach i na korytarzach, tworząc tak gęsty wir, że policzenie ich przerastało moje umiejętności.

Siedziała na górze poduszek, przy kominku, szydełkując spokojnie. Wielobarwne jedwabne draperie zakrywały zarówno ściany, jak i hrabinę, a nieosłoniętą woalem twarz powlekała taka ilość rózu i antymonu, że Bobo skonałby z zazdrości. Wskazała mi zdobioną na arabską modłę poduchę. Skłoniłem się i usiadłem.

- To ty jesteś tym śpiewającym Niemcem, o którym mówi się naokoło - powiedziała, bacznie mi się przypatrując.

- Obawiam się, że nazbyt się rozswawoliłem - rzekłem przeprasząco.

- Krąży wiele plotek na twój temat - zauważyła. - Nie ma w tym niczego niezwykłego, gdyż jesteś ostatnim przybyszem, który do nas zawitał.

- Drugim pod względem świeżości. Ale proszę, powiedz mi, pani, co mówią te plotki?

- Och, że jesteś przemysłowcem, bajecznie zamożnym kupcem, który przybył zainwestować w naszej mieścinie, łowcą posagów, który zainteresował się księżną, nowym intendentem księcia. Obstawiam, że jesteś weneckim szpiegiem.

Roześmiałem się. Nie mogłem się powstrzymać. Wciąż mi się przyglądała, wygodnie usadowiona, nie przepuszczając ściegu.

- To ostatnie to coś więcej niż plotka. Ten pogląd głosi kapitan Perun, który, tak się

składa, jest moim wielbicielem.

- Jak każdy mężczyzna, który ma oczy do patrzenia, szlachetna pani.

To wywołało lekki uśmiech.

- Cóż za zgrabny komplement, *signore* Oktawiuszu. Być może czeka cię tu wiele uśmiechów losu.

- Czy teraz mówimy o perspektywach w interesach?

- Być może. Jeśli taka twoja wola. Lecz porozmawiajmy również o innych sprawach. Byłeś ostatnio w Wenecji? Umieram z ciekawości. Co ostatnio się tam działo, co się mówi?

Podczas rozmowy z Dominem zaopatrzyłem się w odpowiedni zapas informacji i mogłem udostępnić kilka wybranych wieści, których przekaz zajął mi znacznie więcej niż połowę godziny. Zadała kilka pytań, pozornie powierzchownych, ale po prawdzie głęboko wnikających w istotę weneckiej polityki. W końcu skinęła głową usatysfakcjonowana.

- Rzekłabym, że zasłużyłeś na nagrodę. Hej, Julio! Coś do jedzenia i picia. - Pojawiła się taca z daktylami oraz figami i dzban wina. Hrabina z apetytem zaatakowała owoce. - Plotkowanie to ciężka praca - obwieściła z napchaniem policzkiem. - Trzeba głęboko w nich kopać, żeby się doszukać prawdy. Teraz przejdźmy do twoich interesów. Nowy szlak korzenny, czy tak?

- Jesteś, pani, wybornie poinformowana.

- Muszę być. Trzeba nie byle jakich dochodów, żeby utrzymać ten dwór. I jeszcze większych, jeśli ma się wykierować tych smyków na ludzi.

- Twierdzisz, że sama tu zarządzasz?

- Oczywiście.

- Mniemałem, że tym zajmuje się twój mąż.

- Poniękad. Kiedy jest trzeźwy. Ale obecnie coraz rzadziej się to zdarza.

- Szkoda, że nie może poświęcić więcej uwagi tobie. Dziecięca menażeria przewaliła się przez komnatę, wrzeszcząc, bijąc się i gryząc.

- Och, wydaje mi się, że poświęcił mi dość uwagi - stwierdziła sucho, gdy kilkoro mniejszych osobników przetoczyło się jedno przez drugie, wyjąc ile tchu w piersiach. Ścigał je zastęp znużonych guwernantek, zaganiając do następnego pokoju. - Chce uciec od tego wszystkiego. Może mu pozwolę. Jeśli taka będzie jego wola, wyruszy na następną wyprawę krzyżową. Trochę mniej narzekania w domu może dobrze zrobić nam wszystkim. A więc korzenie, czy tak?

- Tak, ale powiedziano mi, że muszę zaczekać na obiór regenta.

- W takim razie równie dobrze możesz ze mną porozmawiać. - Znow puściła w ruch

igłę, ze spokojem patrząc mi w oczy i królując na swej wysepce puchu.

Proszę, proszę, pomyślałem. Kolejna konkurentka, i to mocna.

- Czy pozwolą na wybór regentki zamiast regenta? - zastanawiałem się głośno.

- Dlaczego nie? - spytała. - Są historyczne precedensy. Irena, Teodora.

- To było w Bizancjum. Mają odmienne zwyczaje.

- Doprawdy, czemu wychowanie młodocianego księcia miałoby być tak trudne? Już zajmuję się całą czeredą.

Z oddali doleciał łomot i wrzask.

-1 wykonujecie, pani, kawał dobrej roboty - skomplementowałem ją. - No cóż, to w żaden sposób nie wiąże się z moją osobą. Jeśli ty zostaniesz regentką, z przyjemnością będę negocjował z tobą. Ale czemu ty, pani, nie księżna?

Konspiracyjnie pochyliła się ku mnie.

- Jest obcego pochodzenia, to po pierwsze, a po drugie, nieco dziwna. Czy znasz historię tego, jak została księżną?

- Tak - powiedziałem szybko, aby zapobiec kolejnemu międleniu znanych mi od podszewki wydarzeń.

Niby chmurnie wydeła usta, ale mówiła dalej.

- W każdym razie Pięć Rodzin chce przekazać odpowiedzialność rodzonemu orsynianinowi. A tak się składa, że jestem najbogatsza w tym gronie. Czy mam mówić dalej?

- Całkowicie rozumiem. A co wasza łaskawość myśli o lądowaniu tu dwóch statków z korzeniami, aby uniknąć weneckich ceł?

- Czy przywiozą również cynamon?

- Spodziewam się, że tak.

- Więc wraz z rozsądną opłatą dla księcia i miasta domagam się tylko corocznie jednej skrzyni cynamonu. Po prostu ubóstwiam cynamon.

- Załatwione, szlachetna pani. I może jakieś egzotyczne pachnidła przy następnym wyładunku, aby wzmocnić twój już nieodparty urok.

- Mój drogi Niemcze, zdumiewasz mnie. Sądzę, że wyślę mojego małżonka do Jerozolimy i zatrzymam cię przy sobie.

- Każde z nas ma swą Ziemię Świętą do podbicia, szlachetna pani.

Chrapliwy ryk przeleciał echemi przez cały dom, przytłumiając przeraźliwe krzyki dzieci. Oliwia niemal nie zwróciła na niego uwagi.

- Sebastian wstał - rzekła krótko. - Może lepiej się oddal.

- Ale poznaliśmy się zeszłego wieczoru - zaprotestowałem.

- Zaręczam ci, że nie zachował tego w pamięci. Mój intendent cię odprowadzi. Może zechcesz z nim przedyskutować szczegóły swej propozycji. Mam na myśli propozycję względem korzeni. Fabianie!

Przybył tak szybko, że wiedziałem, iż słyszał każde słowo. Ona również o tym wiedziała i było jej to obojętne.

- Potraktuj dobrze tego cudzoziemca - poleciała. - Jego pragnienia mogą nam przysporzyć niemałych zysków.

- Oczywiście, pani hrabino - powiedział, składając imponująco głęboki ukłon.

- *Signore* Oktawiuszu, wspomniałeś o kolejnym przybyśzu z obcych stron. Błagam, może byś się z nami podzielił tą ostatnią ploteczką.

- Oczywiście, łaskawa pani - powiedziałem, unosząc się i kłaniając w odpowiedzi. - Błazen z Toledo pojawił się na rynku. Nadzwyczaj zabawny i zręczny żongler. A nuż mógłby zabawić twoje dzieci.

- A nuż - powtórzyła, marszcząc czoło. - To nie najlepsza wróżba.

- Czemu to, pani?

- W moim życiu błazni pojawiali się wraz ze śmiercią. Zauważyłeś to, Fabianie?

- Wasza hrabiowska mość mówi najświętszą prawdę - odparł z niebywałą służalczą zapytany. - Ta pijaczyna Feste po śmierci brata pani hrabiny i teraz ten człek po śmierci księcia.

- Dwaj błazni i już widzisz, pani, związek? - spytałem ze śmiechem. - Ja potrzebowałbym o wiele więcej dowodów, żeby przyjąć to za znak.

- Niemniej jednak to dziwny zbieg okoliczności - powiedziała z uporem. - Znajdź tego człowieka, Fabianie, i dowiedz się, w jakim celu tu przybywa.

Skłonił się, po czym odprowadził mnie do wyjścia.

- Czy zawsze jest taka przesądna? - spytałem, gdy byliśmy przy bramie.

- Nie lekceważ jej - ostrzegł. - To pierwsza głowa w mieście, może nie licząc księżnej.

- Doprawdy?

- Tak. A jeśli chodzi o rozumienie mechanizmów władzy, nikt jej nie dorówna. Wiesz, gdzie zatrzymał się ten błazen?

- Coś wspominał, że zapuka do furty bursy. Może ty potrafiłbyś mu pomóc znaleźć lepsze lokum. Z mego doświadczenia wynika, że pozyskanie błazna bywa przydatne.

- Pozyskanie każdego bywa przydatne - powiedział, zawieszając znacząco głos.

Rzuciłem mu monetę, na co odpowiedział ukłonem, którego głębokość odpowiadała wysokości łapówki.



- Miło mi zawrzeć z tobą znajomość, *signore* - dodał. - Dwa statki, jak się dorozumiewam. Jakiej ładowności?

Po drodze do rynku rozwinąłem sieć łgarstw. Miał kantorek nieopodał Klaudiusza i Izaaka, tylko znacznie wytworniej wykończony. Dobry smak musiał go nielecho kosztować, ale znał się na swojej robocie. Zastanawiałem się, czy zastąpi intendenta księcia, jeśli hrabina zostanie regentką.

Wróciłem do Słonia i samotnie zjadłem lekką kolację w kącie oberży. Udawszy się na górę, zastałem Bobo wygodnie drzemiącego na mym posłaniu. Łagodnie go kopnąłem, na co zgrabnie zeskoczył na podłogę, dzierżąc sztylet w dłoni.

- Musisz się lepiej spisywać, mój chłopcze - zadrwiłem z niego. - Prawdziwy skrytobójca do tej pory by cię wyfileto-wał, opanierował i wrzucił na patelnię.

- Nie tak przyrząda się błazna - zaprotestował. - Nam najlepiej służy marynata. A zresztą nie widział mnie wchodzącego, a skoro nikt nie wie, że jesteś błaznem, założyłem, że będę mógł się tu bezpiecznie zdrzemnąć. Jaka wydała ci się hrabina?

Opowiedziałem mu o mej wizycie.

- Czy ktoś tam mógłby być Malwoliem?

- Nie widziałem reszty domowników - wyznałem. - Ale przy kolejnych odwiedzinach mogę poznać ich więcej. Powiodło ci się u księżnej?

- Tak i nie. Z przyjemnością mogę stwierdzić, że miałem występ przed dziećmi pani, nawet młodym księciem. Chyba odzyskuje zdrowie. Jego opiekunka podziękowała mi wylewnie, gdy skończyłem. Powiedziała, że pierwszy raz od śmierci ojca widziała uśmiech na twarzy chłopca.

- Z radością to słyszę. Czy mówiłeś z księżną?

- Złożyłem jej wyrazy szacunku. Nosiła gęstą woalkę i była milcząca. Nie odezwała się, ale na końcu zapłaciła mi srebrną monetą i kazała podać jedzenie w kuchni. Niezwykle elegancka dama. W kuchni wiele się nie dowiedziałem. Medyk był z wizytą u chłopca, ale przybywa do niego każdego dnia. Dworzanie nie mają o nim dobrego mniemania. Jeden powiedział, że w nocy, której Orsyno zginął, a Marek zachorował, księżna potrzebowała godziny, zanim udało się go znaleźć. W końcu zwleczono go z posłania jakiejś dziewczki stajennej. Pewnie przekazała mu tyle chorób, że potem miał pełne ręce roboty, lecząc się z nich. Pozostaje im ratować chłopca tęgimi rosółkami, co pewnie przynosi lepsze wyniki niż wszystko inne.

- Dobrze byłoby się z nią spotkać - powiedziałem. - Myślę, że trzeba ją ostrzec.

- Niełatwe to - stwierdził. - Jest za szczelną osłoną pozycji, murów, bram i woali. Jak

mamy do niej dotrzeć?

- Na otwartym terenie - podsunąłem.
- Ale nigdy nie jest tak, żeby jej ktoś nie towarzyszył.
- Mam przeczucie. Chcesz się dołączyć?

Wyjrzał przez okno. Słońce zeszło poniżej horyzontu, nadal śląc promienie ku dalekim chmurom.

- Jest zimno, ciemno i zaraz znów będzie śnieżyć. Oznacza to pewnie, że wychodzimy na dwór.

- Tak.
- Bo jesteśmy durnymi błaznami.
- Właśnie.

Wkrótce potem tkwiliśmy na dachu, z którego był widok na północną stronę pałacu. W środku światła przygaszono, okiennice przymknięto. Wkrótce słaby blask kominków był jedynym dowodem życia za murami.

Bobo dygotał pod opończą.

- Czy kiedykolwiek była chłodniejsza zima? - narzekał. - Wyjaśnij mi, dlaczego tu jesteśmy, zanim się spalę z gorąca.

- Wiola, którą znam, była kobietą niezwyklej namiętności - wyjaśniłem. - Oddała się Orsynowi cała, bez wahania. Powiedziano mi, że od jego śmierci codziennie udaje się na jego grób, ale nie widziałem, by to czyniła. Spodziewam się, że chadza tam nocą i potajemnie. Będziemy ją śledzić i spróbujemy do niej przemówić.

- I jej straż posiecze nas na kawałki. Czemu po prostu nie przekazać jej listu?

- List mogą przeczytać niepowołane oczy.

- A pogwarke o północy usłyszeć niepowołane uszy. Czy ujawnisz się jako Feste?

- To nie byłoby ujawnienie się, jedynie przedstawienie jako ktoś, kim byłem jakiś czas.

- A kto zniknął. Czy wróci? - zapytał.

- Zostanie wezwany. Wywołany przez złośliwego ducha. Znów zadygotał.

- Powinniśmy zabrać butelkę wina, żeby odpędzić zimno - powiedział.

- Zabraliśmy - rzekłem i wyjąłem spod płaszcza rzeczony naczynie.

Przekazywaliśmy je sobie z rąk do rąk, niespiesznie rozkoszując się zawartością.

- Gdzie mieszkałeś jako Feste?

- **Tam**, przy starym kościele.

Popatrzył na rozpoczętą budowę, szkielet rusztowań widoczny za wykończoną fasadą.

- Wygląda dostojnie, ale nieco przewiewnie - ocenił. Przybyła północ, ale nie Wiola.
- Wracamy - zarządziłem w końcu i zesliśmy na palcach.
- Coś tam zostało? - nagle spytałem.
- Tak - powiedział, potrząsając butelką.
- W takim razie wypij i śpiewaj - rozkazałem i rozpoczął pijacką śpiewkę.

Dołączyłem do niego, bełkocąc i chwiejąc się, gdy natrafiliśmy na Peruna i jego nie dość szybkiego wierzchowca.

- Ach, kapitan! - krzyknąłem i skłoniłem się nisko, rozkładając się na śniegu.
- Dobry wieczór, wasza dostojność - powiedział Bobo. - Trochę przesadził.

Prowadziłem go do jego kwatery, ale zapomniał, gdzie ona jest.

Powstałem na nogi, wypluwając śnieg i nieco się kołysząc.

- Pod Słoniem - rzekł Perun. - A twoja w bursie. Jeśli podczas następnej rundy trafię na któregoś z was, zakuję w kajdany.

Ukloniliśmy się i poszliśmy dalej.

- Kiedy się to skończy, musimy razem popracować - szepnął Bobo. - Zabiorę cię ze sobą do Toledo. Jeden gra durnia, drugi błazna.

- Kto mówi o graniu?

## Rozdział VIII

*Z największą roztropnością unieście się z ziemi ku niebiosom, a potem opadnijcie ku ziemi i połączcie moce stworzeń wyższych i niższych. Tak osiągniecie wielkość całego świata i opuści was wszelka niewiedza. Z Zaleceń Hermesa Trismegistosa*

Ależ pomogę ci - zaproponowałem.

Pan Andrzej rozciągnął się jak długi na zlodowaciałej kałuży, siejąc wokół drewno na opał. Wziąłem się do zbierania kawałków gałęzi, podczas gdy on rozcierał nos.

- Tym razem cały - oznajmił radośnie. - Trochę szczęścia w nieszczęściu. Dziękuję ci. Mój sługa załatwia mi dziś do południa kilka spraw i sam musiałem nazbierać drewna. A teraz muszę je pozbierać jeszcze raz.

Już wykonałem większość roboty. Łaskawie schylił się po ostatni kawałek i skinął na mnie, nawet się nie siląc, by odebrać resztę ładunku.

- Jak mniemam, pragnąłeś ujrzeć moje laboratorium. Wpadnij teraz, a potem możemy coś przekąsić.

Skinąłem głową, udając entuzjazm. Zaprowadził mnie do skromnego domu koło

północnej bramy, a następnie okrążył fatalnie skleconą przybudówkę, z której walił gęsty dym i dolatywały rozliczne hałasy.

- Pięknie dochodzi - rzekł, wachając z uznaniem. Wskazał nad drzwi i zobaczyłem przybity gwoździami toporny żelazny krzyż. - Odgania demony. Cudownie działa. Od kiedy go zawiesiliśmy, żaden się nie pokazał.

- A wcześniej miałeś z nimi sporo kłopotów? - spytałem dociekliwie.

- Nie - przyznał - ale ostrożności nigdy za wiele. Mamy tu do czynienia z mrocznymi i niebezpiecznymi mocami. Działają na demony jak płachta na byka. Nie ma sensu kusić losu.

Kopnięciem uchylił drzwi i schylając się, weszliśmy do środka.

Jezu, Panie ognia, pomyślałem, kiedy rozejrzałem się po otoczeniu. W ciasnej szopie płonęło ich wiele. Ogrzewały niewielkie piece i paleniska, szklane kolby i retorty, naczynia z brązu, maczające żelazne dzioby w takim czy innym cuchnącym roztworze pelikany. Ognie pod ałembikami, flaszami otwartymi i zakorkowanymi, pełnymi roztworów, które bulgotały, syczały i pryskały. Dymy, opary, wapory najprzeróżniejszych kolorów mieszały się w powietrzu, szczypiąc moje zalane łzami oczy, paląc skórę, chociaż nie osmalił jej żaden ogień. Doglądało tego kilku malców, którzy ze strachem unieśli wzrok, gdy weszliśmy. Pewnie tuż przed chwilą zerwali się do pracy. Wszyscy byli pokryci sadzą i tak odymieni, że nie zdziwiłbym się, gdyby byli uwędzeni niczym szynki. Jeden miał napad kichania, który ciągnął się przez całą naszą wizytę i pewnie miał się ciągnąć po wieczność. W tej szopie maltretowano wszystkie zmysły, razem i osobno. Jej pan i władca rozglądał się wkoło, szczerząc zęby. Jego blade oblicze było odbiciem nagiej czaszki, która odpowiadała mu takim samym grymasem ze stojącego w głębi postumentu.

- Trochę więcej dREW w tym palenisku, Lucjuszu - poleciał. - Nie, najpierw zanurz polano w wodzie. Ma się żarzyć powoli. Filipie, nie płacę ci za przyglądanie się tym miechom, tylko za poruszanie nimi. Dziękuję. Łap, przyniosłem z myślą o tobie.

Rzucił kawałek drewna chłopczynie, który zwinnie je schwytał i położył na stosie obok swego stanowiska. Zrzuciłem tam resztę mojego ładunku.

- Intensywność żaru to zawsze trudna sprawa - poinformował mnie. - Zasady wyłożone przez boskiego Hermesa Trismegistosa bywają przerażająco niejasne, zwłaszcza że tak naprawdę nie wiadomo, jak zmierzyć stan gorąca. Pozostaje wsadzić rękę w płomień, czego drugi raz już na pewno nie uczynię. - Mówiąc to, odruchowo potarł lewą dłoń i dostrzegłem starą bliznę po oparzeniu, marszczącą skórę za mankietem.

- Ale przecież musiał się niejasno wyrażać - powiedziałem. - W innym wypadku każdy mógłby dotrzeć do jego odkryć, nie tylko wybrana garstka. Tego rodzaju snop światła

na szlak poszukiwań zniwelowałby wszelką wzniosłość, która winna towarzyszyć działaniom odkrywcy.

- Oczywiście, oczywiście. No, ale co, przyjacielu Okta-wiuszu, jak ci się to podoba? Same najnowsze urządzenia i pełny zasób substancji do wypróbowania. Poświęciłem mnóstwo lat i fortunę, aby dojść do tego punktu. Ale liczę na to, że niebawem osiągnę nagrodę za me trudy.

- Już? Więc myślisz, że znalazłeś Kamień? Wskazał fragment stołu zasłany kamieniami wszelkiego rodzaju, rozmiarów i barw.

- Być może nawet teraz tam leży. Być może spoczywa bezpiecznie pod śniegiem i czeka aż do przyjścia wiosny. Rzecz w tym, że jestem przygotowany, kiedy się znajdzie.

- Rozumiem. W takim razie nie interesuje cię zbadanie tego? - spytałem, wyjmując z mieszka zwyczajnie wyglądający kamień.

Wyrwał mi go skwapliwie i uniół do zwisającej z sufitu lampy, której światło nadaremnie usiłowało się przebić przez dym.

- Skąd go masz? - zapytał, nie przestając go obracać w dłoniach.

- Z Al Kajrawan, z włości Almohadów - odparłem.

- Czyżby przybył aż stamtąd? - Nie posiadał się ze zdumienia.

- Nawet z dalszych regionów. Przywiozła go karawana z serca Afryki, gdzie wcześniej podczas świętej ceremonii zakopał go potężny mag, skrapiając krwią ofiarnych zwierząt i poronionych embrionów. Tak przynajmniej opowiedział mąż, który mi go sprzedał.

Często miałem okazję się przekonać, że gdy przypiszesz najbardziej cudaczne opowieści afrykańskiemu interiorowi, każdy Europejczyk chętnie w nie uwierzy.

- Ale czy nie zbadalesz go?

- Niestety nie, panie Andrzeju. Podróże bardzo oddaliły mnie od mojej pracowni, a nie natrafiłem na nikogo, kto by dysponował niezbędnymi urządzeniami. Możesz sobie wyobrazić mój zachwyt, kiedy cię spotkałem.

Zaczerwienił się z dumy. Po raz pierwszy, od kiedy przybyłem do miasta, ujrzałem kolory na jego twarzy.

- Mogę? - spytał nieśmiało.

Skinąłem głową. Podbiegł do stołu tak pośpiesznie, że strącił na podłogę trwający tam właśnie eksperyment. Płomienie na krótko skoczyły w górę, a Lucjusz w tył, pełen grozy, gdy jego porcięta zajęły się ogniem. Pozostali chłopcy podbiegli i ugasili pożar zarówno na podłodze, jak i na Lucjuszu, po czym ze spokojem wrócili do pracy, jakby tego rodzaju wydarzenia były w pracowni chlebem powszednim.

Andrzej ostrożnie umieścił kamień na ceramicznym talerzu, po czym sięgnął po glinianą flaszkę i polał kamień kilkoma kroplami czystego płynu. Nic się nie wydarzyło.

- Jak na razie wszystko w porządku - mruknął. - To była *aqua fortis*\* i wytrzymała próbę. Teraz... - Sięgnął po wypełnioną rtęcią flaszkę, ostrożnie wyjął korek i upuścił kroplę rtęci na kamień. Nic się nie wydarzyło. Na próbę przetoczył kamień po talerzu. Wciąż żadnej reakcji. Westchnął i zdjął go małymi szczypcami. - Niestety, oszukano cię, bracie Oktawiuszu - poinformował mnie. - Nie rozpuszcza się pod wpływem rtęci, a bez rozpuszczenia nie ma sublimacji, a bez sublimacji nie ma mowy o separacji, cyrkulacji, fermentacji i tak dalej. Mam nadzieję, że nie zapłaciłeś za niego zbyt wiele.

- Więcej, niż jest naprawdę wart, teraz to pojmuję. Jednakże próba była warta wysiłku. Porażki bywają niezwykle kształcące.

- Gdyby to była prawda, byłbym najbardziej wykształconym człowiekiem w całym chrześcijańskim świecie - rzekł, śmiejąc się dobrodusznie. - Niestety, wielu wykorzy-

\* „Woda mocna” - wodny, pięćdziesięcioprocentowy roztwór kwasu azotowego, którym w alchemii sprawdzano rozpuszczalność badanej substancji. stoję naszą łatwowność, wiedząc, że namiętne dążenie do doskonałości często prowadzi nas na manowce.

- Zaiste. Spotkałem się z wieloma chytrymi podstępami. Krucyfiksy z podwójnym dnem, drażone kamienie wypełnione złotem, stopy powstałe z rozpuszczenia srebra w wodzie mocnej, tak że tylko złoto pozostawało...

- A więc to tak... - przerwał mi z żałością; nagle wstał, porwał kolbę znad płomienia i wyrzucił ją przez okno. - Jestem ci winien kolejną podziękę. Właśnie zaoszczędziłeś mi kilku tygodni próżnych wysiłków. Gdybyś tylko przybył kilka dni wcześniej, być może zaoszczędziłbym też nieco pieniędzy. - Sięgnął po stojące na przyściennym stoliku nocne naczynie i zwrócił się do swoich pomagierów. Skulili się. - Czyja to kolej? - spytał.

Kilku wskazało Lucjusza, który był na granicy łez.

- Błagam, panie Andrzeju, dopiero co wychodziłem - wykrztusił.

- Bzdura - odparł chudy szlachcic. - Wypij trochę wody i napełnij go, chłopcze.

Nieszczęśliwy chłopczyzna zabrał naczynie i wyszedł na dwór, podczas gdy inni chłopcy ukradkiem chichotali złośliwie.

- Gdybym głębiej się nad tym zastanowił - mówił dalej pan Andrzej - zdałbym sobie sprawę, że to nie może być ten Kamień. Bo czyż nie jest napisane, że Kamienia nie da się znaleźć, poszukując go, lecz jest wszędzie wokół nas? Że nie znajdziecie go, rozglądając się na lewo i prawo, lecz potkniecie się o niego na skrzyżowaniu dróg?

Gdyby tak było, wówczas przyniesiony przeze mnie kamień byłby doskonałym kandydatem na Kamień.

- To jedna z przyczyn, które zachęciły mnie do zainteresowania się alchemią - wyznał.  
- Potykam się jak nikt. To jedna z moich wielkich zalet. I zawsze słyszę, że nie potrafię dojrzeć tego, co jest oczywiste dla wszystkich. Lecz to musi znaczyć, że to, co jest niewidoczne dla innych, musi być oczywiste dla mnie! - Cały się rozjaśnił, doszedłszy do tej triumfalnej konkluzji.

- W żadnym razie nie potrafię zaprzeczyć temu rozumowaniu - rzekłem z całą szczerością.

W tym momencie Lucjusz powrócił z pełnym naczyniem i podał je panu Andrzejowi, który natychmiast je opróżnił. Skrzywił się.

- Co żeś ty pił? - spytał. - Nie skorzystałeś z rozpuszczanego śniegu, który ci podsunąłem?

- Eee... tak, panie Andrzeju - wydukał chłopiec. - Hm... - mruknął z powątpiewaniem szlachcic. - To bardzo ważne, żebyś pił tylko same najczystsze roztwory, chłopcze. W innym wypadku brudy spłyną z całą resztą. Och, wybacz mi, okropny ze mnie gospodarz. Masz ochotę na kilka łyków?

- Nie dzisiaj, dziękuję.

- Ma właściwości lecznicze, wiesz. Kto wie, w jakim byłbym stanie bez tego? A teraz, chłopcy, sprawdźmy, jak się ma nasz czerwony dym.

To obwieszczenie spotkało się z pierwszymi oznakami radości chłopców. Każdy zgarnął garść proszku, który przed nim leżał, i wybiegli na dwór. Andrzej sięgnął po wysoką świecę, zapalił ją od jednego z pieców i udał się za nimi. Chłopcy stanęli rzędkiem, każdy trzymając przed sobą talerz z proszkiem jak ofiarę. Pan Andrzej szedł od jednego do drugiego i zapalał proszek. Z talerzy unosiły się dymy i płomienie, wzbudzając dzikie śmiechy i wrzaski zachwyconych dzieci. Z talerza Lucjusza buchnęła szczególnie gęsta chmura czerwonego dymu i wszyscy uznali, że to on został zwycięzcą.

- Dobra robota, chłopcy - zawołał pan Andrzej. - Skorzystamy z przepisu, którego używał Lucjusz. Do Nowego Roku każdy z was ma wytworzyć dwie pełne garście tego proszku i potem zsypujemy wszystko razem. Zrobimy taki ogień piekielny, że sam diabeł zdębieje!

Chłopcy entuzjastycznie potraktowali jego przemówion-ko i biegiem wrócili do środka. Lecz gdy my dwaj szliśmy do domu, zauważyłem, że wszelkie odgłosy pracy ucichły.

- Byłem zaskoczony, widząc cię o tak wczesnej porze w mieście - powiedziałem, gdy

weszliśmy do domu, ponurej, sypiącej się budowli, która pewnie od niepamiętnych czasów nie widziała miotły ani ścierki. Pokój i wszystko w nim cuchnęło stęchlizną i rozkładem. Wszędzie walały się ubrania, butelki, zwoje, talerze. Przebiegł szary, wyleniały kot, równie wychudzony jak jego pan. - Myślałem, że przedpołudnia poświęcasz na poszukiwania.

- Nie, kiedy przychodzi śnieg - wyjaśnił, tłukąc poduszkę, by ją jako tako ukształtować. Ułożył ją na siedzisku przeznaczonego dla mnie krzesła. - Wtedy to ma niewielki sens. Zaczekam na wiosnę i poświęcę się moim eksperymentom i postowi.

- Postowi?

- Tak. Jeśli ktoś chce być wart nieśmiertelności, musi się oczyścić. Poza moimi eksperymentami, które będą musiały mi wystarczyć za całe pożywienie, zamierzam medytować i modlić się, a także studiować wielkie traktaty. Czy widziałeś nowy przekład Morienusa\*?

- Nie, ale czytałem oryginalny egzemplarz *Liber Platonis Quartorum*.

- Naprawdę? Umiesz czytać po arabsku? Nabyłem tłumaczenie Gebera\*\*, ale chciałem porównać pewien ustęp z oryginałem. Czy mógłbyś?

Wyjął kuferek i otworzył go, posyłając w powietrze chmurę kurzu.

Znalazł strony, których szukał, i wskazał mi je. Pochodziły z *Ksiąg o równowadze*. Jedna karta była po arabsku, jedna po łacinie, ale obie wydzielaly tę samą oleistą woń. Wystarczyło mi rzucić na nie okiem i orzekłem:

- Powiedziałbym, że łaciński tekst jest dokładniejszy. Tylko tłumacz pomylił się, wprowadzając cyfry rzymskie zamiast arabskich. Widzisz?

- Tak,- tak. Te proporcje są bez sensu.

W oryginale również, ale nie zamierzałem mu tego mówić. Zaczął grzebać w kredensie i w końcu wygrzebał kawałek przedpotopowego sera.

- Obawiam się, że bardzo nietęgi ze mnie gospodarz - powiedział. - Chleba i sera?

Uprzejmie odmówiłem.

- A jak ci idą interesy? - spytał.

- Ciężko, gdy stary książę zmarł, i w ogóle - wyznałem. - Jak myślisz, kiedy wyznaczą regenta?

\* Morienus, nazywany Pustelnikiem z Jerozolimy - mityczna (?) postać z V w., której przypisuje się traktaty na temat alchemii.

\*\* Imię zlatynizowane, właśc. Abu Musa Jabir ibn Hajjan (ok. 712- - ok. 815) wybitny arabski matematyk, chemik, alchemik, astronom, inżynier, farmakolog i lekarz. Przez wielu uważany za ojca chemii.



Wzruszył ramionami.

- To dla mnie nie ma żadnego znaczenia. Podejrzewam, że stanie na Oliwii, ale niektórzy optują za Wiolą, nie przywiązując wagi do jej cudzoziemskiego pochodzenia.

- Która, twoim zdaniem, byłaby lepsza?

- Moim zdaniem? - Był zdumiony i pochlebiało mu, że ktoś jest ciekaw jego opinii na jakikolwiek temat. - Myślę, że nie powinni się wtrącać do rządów księcia. Marek jest nad wiek uzdolniony i jeśliby potrzebował rady, zawsze może jej zasięgnąć u matki lub ciotki.

- Lub intendenta - podsunąłem.

Andrzej miał zdziwioną minę, ale po chwili się rozjaśnił.

- Tak, oczywiście. Wciąż o nim zapominam. Nie zwracam uwagi na służbę. Służba to tylko służba. Nadymają się do tego stopnia, aż się im wyda, że są równego stanu co my, szlachta, ale to wyłącznie służba, nic lepszego.

- Z tego, co słyszałem, intendent księcia prowadzi niezwykle przykładne życie, dnię poświęca służbie, a noc modlitwie.

Dziwnie na mnie spojrział.

- Tak słyszałeś, hmm? No cóż, niech odprawia swoje modły, ja będę odprawiał swoje. Ale jestem gotów służyć chłopcu, jeśli zezwoli mu rządzić. - Chodził po pokoju, przestępując przez porozkładane graty i nawet nie patrząc pod nogi. Nagle rzekł: - Wszyscy myślą, że robię to dla złota. W przekonaniu ludzi Kamień Filozoficzny służy trans-mutacji taniej rudy w nieogarnione bogactwo. Dlatego ten, kto pragnie się wzbogacić, nigdy go nie znajdzie. Pozostanie poza jego zasięgiem jak woda poza zasięgiem Syzyfa.

- Tantalą - poprawiłem go. - Syzyf to ten, który toczył głaz pod górę. Ale metafora i tak jest trafna.

- Tantalą, oczywiście. W każdym razie nie chodzi o złoto, a o czystość, nieśmiertelność, doskonałość. Złoto to jedynie pospolity, przyziemny symbol. Gdy tylko będziemy w stanie stworzyć złoto z śmieci, wtedy to samo będzie dotyczyło również nas. A Bóg wie, że jeśli gdzieś jest ludzki śmieć, to ja nim jestem.

- Zaczny panie Andrzeju... - napomniałem go.

- Nie, nie. Jestem boleśnie świadom moich braków. Wystarczająco długo z nimi żyję. Mam dość długie uszy, co znaczy, że słyszę, co ludzie o mnie powiadają, i całkiem słusznie. Tak więc podróż mojego życia była i jest poszukiwaniem doskonałości. Szukałem jej poprzez naukę i szukałem jej poprzez męstwo na bitewnym polu. W tym ostatnim wypadku żałośnie zawiodłem. Sam Orsyno musiał mnie ratować z najędźniejszej niewoli. - Wyrzwał przez okno w kierunku górskiego grzbietu na wschodzie i zadygotał. - Zawdzięczam mu życie - dodał

cicho. - I teraz, gdy nie żyje, nie mam jak spłacić mu długu. Ale mogę się przysłużyć jego synowi i zrobię to. No cóż, muszę powrócić do mych poszukiwań. Jakies dobre plotki z miasta, zanim wyjdę?

- Słyszałeś o nowym błaznie? Westchnął.

- Boże drogi, to ci grymas losu. Czasem mam wrażenie, że jedynym celem mojego życia jest dostarczać pokarm błaznom. Ciekawe, ile czasu mi zostało, zanim się do mnie dobierze.

Ogarnęło mnie niejakie poczucie winy, gdy sobie przypomniałem, jak Feste kosztem chudeusza wyżywał się w złościwościach. Klepnąłem go po ramieniu, przyginając do podłogi, i pożegnałem się.

Wróciłem do Słonia, szukając czegoś, co zmyłoby kwaśny smak w ustach. Kropelka piwa wdzięcznie dokonała tej sztuki i poszedłem do mej izdebki, oddać się chwili rozważań. Ostrze na gardle, gdy przestąpiłem próg, przekonało mnie, by nieco odłożyć realizację tego zamysłu.

- No i kto teraz jest nieostrożny? - zachichotał Bobo, z powrotem wsuwając sztylet do rękawa.

- Nie ja jestem celem - słabo zaprotestowałem, podczas gdy serce tańczyło mi w piersiach.

- Zabawne, że o tym wspominasz - rzekł, nagle poważniejąc. - Dziś miałem wrażenie, że ktoś mnie śledzi.

- Widziałeś go?

- Nie całkiem. Tylko zarys głowy w kapturze, wystającej zza rogu. Kiedy próbowałem się mu przyjrzeć, zniknął, ale oceniając po tym, jak wysoko trzymał głowę, to musiał być postawny mężczyzna. - Uśmiechnął się szeroko. - Wiesz, to mógł być każdy. Perun sprawdzający, co robię, albo któryś z jego podwładnych. Albo w ogóle byle kto.

- Czy ktoś cię tu śledził?

- Nie, tego jestem pewien. Ale plan ojca Geralda może odnosić jakiś skutek. I jest coś jeszcze. Rozglądałem się po stoczni, ciągnąłem za język miejscowych i wiem, że w październiku pojawił się w mieście obcy. Zajął pokój w zamtuzie. Trzymał się samotnie, ale mówią, że był wysoki z czarną, siwiejącą brodą.

- W domu raj fury?

- Tak, i co najbardziej podejrzane, nie okazywał żadnego zainteresowania dostępnymi tam uciechami. Wyjechał w połowie listopada.

- Co się zbiega ze śmiercią Orsyna.

- Właśnie.

- Mogliśmy przepłoszyć naszą zwierzynę. Powinienem zacząć za tobą chodzić. Może udałoby mi się go wypatrzeć.

Energicznie potrząsnął głową.

- Nasza główna przewaga polega na tym, że nie wie o tobie - argumentował. - Jeśli zobaczy, że mnie osłaniasz, zacznie coś podejrzewać. Potrafię o siebie zadbać. Prędzej go odkryję, jak nie będziesz się szwendał po scenie wydarzeń.

- Słuchaj, naprawdę... - zacząłem protestować, ale uniósł rękę.

- Ojciec Gerald wybrał mnie do tej misji, bo jestem dobry. Jeśli mamy pracować razem, musisz zacząć na mnie polegać. Znam twoje dawne osiągnięcia i szanuję je, ale musisz mi pozwolić wykonać robotę po swojemu.

Byłem wściekły, po części z powodu oceny ojca Geralda, który nie mając do mnie zaufania, zesłał mi na kark takiego żółtodzioba, ale głównie dlatego że miał rację.

- Doskonale - powiedziałem, siląc się na spokój. - Przynajmniej zrobię ci tę przysługę i pozwolę ci się tu zdrzemnąć, kiedy będę strzegł drzwi. Nawet młodszy muszą od czasu do czasu przymknąć oko.

Zgodził się.

- Są jeszcze inne wieści - dorzucił. - Ten Fabian mnie zaangażował i mam zabawić dwór Oliwii. Poza tym chciałby, żebym mu pomógł przy widowisku i innych rozrywkach.

- Z pewnością ktoś by się mu przydał. Widziałem próbę. Dobrze. Wygląda na to, że w pokonywaniu bram jesteś lepszy ode mnie. Dowiedz się, czego tylko zdołasz. Teraz mam sugestię na dzisiejszą noc. Chcę się rozejrzeć po kantorku intendenta księcia. Chcę, żebyś sprawdził to miejsce, zobaczył, kiedy pustoszeje i czy jest tam tylne wejście.

- Załatwione. Włamujemy się natychmiast.

- Nie, zrobimy to jutro. Chcę jeszcze raz spróbować nawiązać kontakt z Wiolą

- Próbuj. A kiedy zakończę mój wyborczy występ przed urwisami hrabiny i udam się do jej ciepłej, miłej kuchni, może nawet zażyć towarzystwa jej ciepłej, miłej kucharki, będę myślał o tobie przycupniętym na zimnych dachówkach, dygocącym w lodowatym północnym wietrze. I uронię łzę, może dwie.

- Tyle, ile jestem wart - zgodziłem się z nim. - Zdrzemnij się, błaznie, zanim zmienię zdanie i pozwolę Malwoliowi cię znaleźć.

Wyciągnął się na moim łóżku i w jednej chwili zasnął. Kolejny element szkolenia w cechu. Pracujemy o dziwnych porach i uczymy się spać, kiedy się tylko da. Pogrążony w głębokim śnie rozluźnił usta i jego wieczny uśmiech zniknął. Biel ołowiana idealnie

wygładziła mu rysy. Podziwiałem ten efekt, myśląc zarazem o fatalizmie, który się za nim krył. Powolne łagodne samobójstwo już z maską śmierci na twarzy. Nie da się jednak ukryć, że moja mąka nie pozwalała mi osiągnąć takiego samego braku wyrazu.

Obudził się odświeżony i gotowy do popołudniowych występów.

- Opracowałem numer z tym Chudogębskim - poinformował mnie. - Nie przyszło ci coś do głowy, po tym jak obejrzałeś jego pracownię?

- Daj mu żyć - spróbowałem.

- Co proszę? - spytał zdziwiony.

- Daj mu spokój. Skarżył się, że przez całe życie jest pośmiewiskiem błaznów. Czemu się od niego nie odczepić?

- Nie wiem, czy dobrze rozumiem - rzekł wolno Bobo. - Wczoraj zrugaleś mnie, bo wahałem się popełnić morderstwo z zimną krwią. Teraz skrupuły nie pozwalają ci nabijać się z tej próżnej papugi. Naprawdę czujesz jakieś współczucie wobec bezwartościowego pasożyta, który w życiu nie zrobił nic, aby zasłużyć na swoją pozycję, i marnuje majątek na czarną magię? Mój bracie błaznie, mój towarzyszu spod jednego znaku, mój kolego i czcigodny nestorze, gdybym pozostawił w spokoju tak narzucający się cel udręczenia, sprowadziłbym podejrzenia na siebie samego i hańbę na naszą profesję. Nawet on nie oczekiwałby podobnej powściągliwości.

- Cofam sugestię - powiedziałem. - Tak mi się bąknęło. To się nigdy więcej nie powtórzy. I jeszcze raz nazwij mnie nestorem, a dam ci takiego kopa, że wylecisz przez to okno.

Wyszczrzył zęby.

- Tak lepiej. Jeszcze jakieś pomysły?

- Och, na razie powstrzymam się od dawania ci rad. Zrobił, jak mi się wydawało, tradycyjny tolekański gest o uniwersalnym znaczeniu i wyszedł.

To była przeraźliwie zimna noc i spędzałem ją na dworze, siedząc w moim punkcie obserwacyjnym, nawet nie mając obok drugiego błazna, który dotrzymywałby mi towarzystwa. Flaszę zostawiłem w gospodzie. Obawiałem się, że przedobrzę i skończę w jakimś rynsztoku, skostniały trup z połamanymi kończynami. Ten obraz coraz częściej wyskakiwał nieproszony w mojej wyobraźni. Zastanawiałem się, czy ktoś mnie pochowa, czy położy kamień nagrobny na miejscu mego spoczynku. Zastanawiałam się, czy będzie na nim moje imię. Zastanawiałem się, jakie ono będzie. Jedynym pocieszeniem była mi myśl o ludziach, którzy się za mnie pomodlą, jeśli jeszcze będą wśród żywych.

Próbowałem odpędzić te ponure myśli. Słyszałem rozkwitające w oddali śmiechy,

ucięte szczękami zamykanych okiennic. Zmieniłem pozycję nóg. Zaczynały mi drętwieć. Wpatrzony w książęcy pałac wciąż nie mogłem niczego dostrzec, jedynie migotanie światła zza piór okiennic. Próbowałem zlokalizować komnaty Wioli, furtę czy bramę, którą się wyslizgnie, aby płakać przy jego sarkofagu. Co powinienem jej powiedzieć? Czy w ogóle będzie chciała słuchać? Czy jeszcze będę ją obchodził, czy będę obchodził kogoś z nich?

To tamten śmiech i głucha cisza potem tak mnie przygnębiły. Oto ja, błazen z racji wyszkolenia i skłonności, marnowałem się na tym dachu, zamiast jak należy spożytkować moje umiejętności w tych najweselszych dniach roku. Nie pamiętałem takich świąt Bożego Narodzenia, aby moje wymyślne żarty, gry słowne, improwizowane scenki czy najgłupsze upadki nie doprowadzały zarówno szlacheckich, jak i pospolitych rodzin do konwulsyjnego śmiechu. Spędzałem niekończące się teutońskie noce, zabawiając teutońskich rycerzy niekończącymi się opowieściami. Uczyłem prowansal-skie dzieciaki najróżniejszych koziołków, ucząc się od nich nowych. Przewodziłem świętu głupców.

Może ojciec Gerald wymyślił ten plan, abym wrócił do korzeni. Chciał mi unaocznić najlepszą część mojego „ja”, przypomnieć mi o jej istnieniu. Tak długo wegetowałem na dnie antałka, że groziło mi, iż zostanę w nim pochowany, i to niebawem.

Zrobiłem noworoczne postanowienie, że przestanę się nad sobą uzalać. Oczywiście nie znaczyło to, że komuś innemu zrobi się mnie żal, ale to mi odpowiadało. Na razie miałem zadanie do wykonania. Bardzo proste zadanie.

Powstrzymać śmierć.

## Rozdział IX

*Bóg wybrał właśnie to, co głupie w oczach świata, aby zawstydzić mędrców.*

1 Kor 1,27

Cóż za wspaniały ogień buzuje w tej ich kuchni - zaświer-gotał Bobo, złośliwie błyskając okiem. - Trzymają go przez całą noc, tak żeby rano od razu można było wypiekać chleb. Przez lata wycięto całe lasy, aby tylko hrabina i wszyscy domownicy mieli smaczne śniadanko.

- Miło słyszeć, że się dobrze bawiłeś - mruknąłem, tłumiąc ziewnięcie. Było wczesne popołudnie i dopiero co się podniosłem. Aleksander przezornie wieczorem zostawił dzban wina, który miał mi pomóc przepędzić chłód z kości, pozostały po nocnej wyprawie, i przezornie opróżniłem naczynie, nie przejmując się wcale noworocznym postanowieniem. Do diabła, do Nowego Roku było jeszcze trochę i, cholera, mogłem robić to, co mi się podobało.

No, może nie całkiem. Łeb tak mi pękał, że należało się o niego zatroszczyć. - Znalazłeś coś ciekawego? - spytałem.

- Niewiele. Nikt ze służby nie odpowiada rysopisowi Malwolia. Żaden z nich nie jest dość wysoki. Ten Sebastian to skwaszona chłopina. Nie uśmiechnął się nawet raz przez cały mój występ, a zapewniam cię, był absolutnym wyjątkiem. Reszta tarzała się po podłodze.

- Pił?

- Tak, sporo. Niezbyt szczęśliwy człowiek, ale wygląda na to, że jego żonę niewiele to obchodzi. Więcej łypała na kompanów najstarszego syna, niż przyglądała się występowi. Zdaje mi się, że nadal lubi chłopców. Ciekawe tylko, czy się ogranicza do łypania czy nie.

- Myślisz, że mogła zwrócić uwagę na księcia?

To go zaskoczyło. Przysiadł na krawędzi łóżka, żując kawałek suszonego mięsa i rozważając moje słowa.

- Wątpię - rzekł. - Wygłosiła kilka mocno niepoehlebnych uwag pod adresem Jego Zwłokowatości. Pochlebiałem jej podczas występów, rzekłem to i owo o regencji, co niezmiernie się jej spodobało. Powiedziała, że rządziłaby o wiele lepiej niż on. Uznałem, że to niezbyt właściwa wypowiedź, biorąc pod uwagę, jak niedawno zmarł.

- Został zamordowany - poprawiłem go i spiorunowałem mnie wzrokiem.

- Nie zapomniałem - wycedził. - Tylko do tej pory nie ujrzałem jeszcze żadnego dowodu. W każdym razie mój występ tak się udał, że Fabian zaproponował mi stanowisko na dworze, pełną gębą, z własnym kątem do spania. Przyjąłem je. W tych okolicznościach to bezpieczniejsze miejsce niż bursa.

- To brzmi rozsądnie. Przy okazji muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem tego, jak opanowałeś język - skomentowałem.

- Och, nie wiedziałeś o tym? Urodziłem się w Spala-to. Mówię płynnie, a akcentu używam jedynie ze względu na przybraną maskę, jak ty. Mam rację, no nie? To jedna z przyczyn, dla których ojciec Gerald wybrał mnie do tej misji. No i ze względu na mój wyjątkowy talent.

- Czy dzięki niemu udało ci się również zajrzeć do kantorku Klaudiusza?

- Oczywiście. Jest tam zaułek i tylne wejście, które znakomicie powinno posłużyć naszym celom. Żyd wyszedł o zachodzie słońca. Krótco po nim stara służąca i kantor opustoszał.

- Opustoszał? A sam Klaudiusz?

- Musiał wyjść wcześniej albo skorzystał z tylnego wyjścia. Nie mogłem obserwować obu jednocześnie. Ale wyszedł, przysięgam. Nie palił się kominek, żadna świeczka i kiedy

zaszedłem od tyłu, zerknąłem przez okiennice parteru i piętra. Nikt tam nie zostaje.

- To było trochę ryzykowne, nie uważasz? Zbyt to machnięciem ręki.

- Wszedłem i zszedłem w jednej chwili. Gdyby mnie ktoś widział, uznaliby, że zaszedłem tam, bo pęcherz mnie przycisnął.

- W porządku. To równie podejrzane jak my włamujący się tam nocą. Spotkamy się w zaułku godzinę po zachodzie słońca. Przyniosę latarnię.

- Dobrze. Czego właściwie szukamy?

- Nie mam pojęcia. W takim razie do zobaczenia. Zszedłem na dół, otrzymując nieco szyderczy aplauz za późne przybycie. Klaudiusz zajadał przy stole i zaprosił mnie, abym przy nim usiadł. Poczulem się dziwnie. Nigdy nie śniadałem z człowiekiem, do którego miałem się włamać.

- Jakież wiadomości o bracie? - spytał z udawaną, jak podejrzewałem, troską.

- Żadnych - odparłem.

- I pewnie dalej ich nie będzie - uznał. Miał usta pełne chleba. - O tej porze roku statkom trudno się tu dostać. Mają przeciwne wiatry. Kto zimą udaje się na północ?

- Chyba żeby wylądował gdzieś w Grecji i podróżował konno.

- To byłaby lekkomyślność - oświadczył. - Drogi są niebezpieczne, a w głębi łądu pogoda również nie rozpieszcza. Będzie nawet gorsza, kiedy twój brat znajdzie się w górach.

- Wspieram go swą wiarą - oświadczyłem pobożnie. - Zjawi się tu.

Oderwał kolejny kawałek chleba i zgarnął nim porcję potrawki. Mój żołądek cierpiał jeszcze bardziej niż głowa i na widok żarłocznie pochłanianego jadła wcale nie poczułem się lepiej.

- Dokąd się udasz? - nagle spytałem. Zdziwiony podniósł ku mnie wzrok.

- Co masz na myśli?

- Jeśli utracisz stanowisko po wprowadzeniu regencji. Dokąd się udasz?

Wzruszył ramionami.

- Nie zastanawiałem się nad tym. Po prostu poproszę o listy polecające i zniknę. Coś znajdę. Proponujesz mi stanowisko?

- Dopóki mój brat nie przybędzie, nie jestem w stanie. Ale jeśli chcesz, będę o tobie pamiętał.

Skończył posiłek i wstał, szykując się do odejścia.

- Kolejny raz, *signore*, rozpoczynamy negocjacje nieprzygotowani. Odłóżmy je na odpowiedniejszą porę.

Skłonił się i wstałem, aby odpowiedzieć tym samym.

Powlokłem się przez bramę na rynek, mrużąc oczy w bezlitosnym słońcu. Plac był prawdziwym jądrem wymiany handlowej i amatorskich wysiłków teatralnych. Ujrzałem mojego kolegę po fachu instruującego cały zastęp błaznów, jak śmiesznie upadać. Powstrzymałem się od tego, by tam pomknąć i pokazać, jak się to robi, ale z przyjemnością skonstatowałem, iż na tym obszarze błazeńskich usiłowań moje umiejętności przewyższają jego. Nie miał na tyle giętkiej talii, aby robić przerzuty bokiem, fiflaki, salta połączone ze śrubą, gdy ja mimo wszystkich jego kpinek z mojego wieku byłem w stanie je wykonać. Małostkowe to współzawodnictwo między nami, ale nieuniknione, gdy jeden błazen wpadnie na drugiego.

O wiele ciekawsza była seria prób prowadzona przez pana Andrzeja i jego młodego pomocnika, Lucjusza. Słuchał w napięciu, podczas gdy Sebastian deklamował tyradę ze sztuki. Pod jej koniec Fabian, który nadzorował próbę, krzyknął: „Puf!” Andrzej skinął głową i odmierzył trzy kawałki płótna, szybko je splótł i zanurzył w dzbanie. Tak przygotowaną linię położył w metalowym korytku i dał znak Sebastianowi, aby powtórzył monolog.

Kiedy tamten mówił, pan Andrzej wziął od Lucjusza świecę i zapalił koniec warkocza. Płomień liznął drugi koniec chwilę po zakończeniu monologu.

- To za późno, panie Andrzeju - napomniał go Fabian. - Płomień ma wybuchnąć wraz z ostatnią sylabą. Chcemy wypłoszyć grzech z naszego miasta.

- Jak się wam uda, pomrzemy z nudów - mruknął Sebastian.

- Jedna chwila - poprosił Andrzej. Odmierzył nieco krótsze kawałki płótna i powtórzył zabiegi ze splataniem i zanurzaniem. - Jak brzmi ostatnie słowo?

- Koniec świata - zaintonował grobowym głosem Sebastian.

- Powtórz jeszcze raz swój kawałek - polecił mu pan Andrzej.

Sebastian przystąpił do deklamacji, a Andrzej słuchał z zamkniętymi oczami i licząc akcenty w wersach. Znow zapalił warkocz i patrzył, jak płomień biegnie wąską ścieżką. Ogień i monolog skończyły się jednocześnie i pan Andrzej rozradowany uniósł wzrok na Fabiana i szepnął:

- Puf!

- Niebywale, panie Andrzeju, udało ci się to zgrać - uszczypliwie pogratulował mu Fabian. - Istny bożonarodzeniowy cud. Dobrze. Drugi płomień wybucha po spadnięciu bramy. Sebastianie, ty...

- Dla ciebie „hrabio”, ty nadęte psie gówno - warknął Sebastian.

Fabian przez chwilę miał taką minę, jakby gotował się zdzielić pięścią swego pana, ale wziął głęboki oddech i powoli go wypuścił.



- Proszę o wybaczenie, panie hrabio - powiedział. - Pan hrabia wkracza w paszczę piekła i wtedy potrzebuję drugiego wybuchu, nieco większego, tak żeby Jezus mógł zniknąć ze sceny i przygotować do sporu. Większego puf!, jeśli można tak powiedzieć.

- Zapalę samo niebo - obiecał Andrzej i Lucjusz zachichotał na tę wizję.

Kupiłem pół chleba i gomółkę sera, po czym wdrapałem się na schody nowej katedry, skąd miałem dobry widok na cały rynek. Rusztowanie zakryto wielkimi płótnami, które łagodnie łopotały na wietrze. Zajrzałem za nie i znalazłem się twarzą w twarz z biskupem, który wytrzeszczył oczy. Skłoniłem się.

- Dobrego dnia, pielgrzymie - powiedział zaskoczony. - Szukałeś mnie?

- Bynajmniej, Wasza Ekscelencjo, ale jestem zachwycony, znajdując cię. Przybywam w podwójnym celu. Pragnąłem obejrzeć tę wzniosłą budowlę i równocześnie na czas posiłku znaleźć niejaką osłonę od wiatru. Czy miałbyś ochotę na nieco chleba i sera?

Rozjaśnił się.

- Z wielką przyjemnością. Ja również jestem tu w podwójnym celu. Po pierwsze, sprawdzam, czy dobrze zamocowano zasłony, a po drugie marzę, jak to będzie wyglądało, gdy budowa dobiegnie końca. Oby Bóg sprawił, żebym dożył tego dnia. Chodź, popatrzmy na zapowiedź ostatecznego efektu.

Przeszliśmy próg, obejrzeć niedokończoną kryptę i fundamenty, sklepienia w dole i w górze. Nieukończone łuki obramowywały niebo jak na próżno błagające dłonie.

- Gotyk - stwierdziłem. Skinął głową.

- Taki mamy teraz styl, prawda? Nie będzie w skali waszych niemieckich katedr. Ale po prostu nie mamy tu tylu wiernych. Jednak będzie o wiele lepsza od starej świątyni.

- Stara mi się podoba. Zaprasza cię do siebie i czujesz się jej częścią. Te nowomodne budowle skaczą ku niebu i wrzeszczą na ciebie: „Patrz na niebiosy i padaj na twarz”. Kazał ci się pożegnać z jakąkolwiek nadzieją oglądania raj.

Spojrzał na mnie trochę smutno.

- Mój synu - powiedział łagodnie. - Oglądamy raj, głosząc chwałę Pana. Cóż może być bardziej chwalebne?

Uznałem, że nie będę się wdawał w żaden spór na ten temat. Jeszcze krótko porozmawialiśmy, po czym podziękowałem mu za oprowadzenie i wróciłem na schody wejściowe. Przyglądałem się stawiającym dekorację robotnikom. Nakładali czerwoną farbę na głowę diabła, tak że jej piekielny charakter potęgował się z każdym ruchem pędzla. Nieopodal grupka dzieci malowała na płótnie swoje wyobrażenie raj. Ktoś tu umiał zająć pędzaki. Siedziałem i jadłem, przy tym zerkałem na boki, sprawdzając, czy ktoś obserwuje

Bobo. Lub mnie.

I oto ujrzałem kapitana Peruna, jak zwykle siedzącego na koniu. Jeszcze nie widziałem, by ten człowiek dotknął stopą ziemi. Z nikłym uśmiechem na twarzy patrzył na wymuszone wyglupy demonów. Autentycznie rozbawiony? Czyżby główny strażnik Orsyno był zdolny do beztroski?

Czy mógł być Malwoliem? Znany mi intendent z pewnością mógł się wykazać jako żołnierz. Nie zbywało mu odwagi ani siły i w całym zamieszaniu połączonych sił ostatniej krucjaty łatwo mógł się zaciągnąć pod chorągiew księcia, nie ujawniając dawnej tożsamości. Jego obecne stanowisko było idealną wymówką, jeśli chciał mieć na oku Bobo. Obserwował wszystkich i kto mógł mu mieć za złe, jeśli skupił uwagę na pojedynczym osobniku?

Izaak wydawał się bardziej pasującym kandydatem. Broda, włosy i strój stwarzały skuteczniejsze przebranie, a jego stanowisko pozwalało mu dotrzeć do wewnętrznego kręgu dworu księcia. Pozbywszy się zaś pejsów, peruki i żydowskiego przebrania, normalnie ubrany i gładko ogolony, mógł w nim stół, a na nim miednica, w której leżały talerzyki i miski.

Na chwilę zastygliśmy, nasłuchując. Wiatr wył, dom wzdychał i trzeszczał, ale nie słyszeliśmy żadnych odgłosów ludzkiej krzątania. Uniosłem latarnię, wyjrzałem na korytarz. Byliśmy pod schodami.

- Sprawdź okiennice - szepnąłem. - Nie chcę, żeby ktoś na rynku zobaczył światło.

Skinął głową i wślizgnął się do izdebki.

- Dobrze spasowane - oświadczył. - Gdyby ten dom wpadł do morza, uniósłby się na falach.

Ruszyłem za nim, osłaniając płaszczem latarnię. Księga Izaaka - ogromny plik oprawionych w czarną skórę kart spoczywała na stole. Szybko usiadłem za nim, postawiłem światło, odpiąłem klamrę i otworzyłem księgę. Pierwsza strona była pusta. Druga też.

- Dziwne - mruknąłem.

Bobo zaglądał mi przez ramię. Przewracałem strony, aż dotarłem do pierwszych zapisków. Bobo się cicho roześmiał. Pismo było hebrajskie.

- Zacząłeś od końca - wytknął mi.

- Widzę! - syknąłem, odwróciłem księgę i zacząłem od początku. - Dobry sposób, żeby zniechęcić szpiegujące oczy. Miejmy przynajmniej nadzieję, że był uprzejmy używać naszego kalendarza. Nigdy nie mogłem się połapać w żydowskim.

Okazało się, że moje nadzieje nie były płonne. Na szczęście pismo miał staranne, wyraziste i dwie kolumny zapisków mogły służyć za wzorzec przejrzystości.

- Niech to cholera - zakląłem. - Na dodatek używa jakiegoś szyfru. Nie mogę się

dopatrzeć żadnego sensu w tych wyrazach.

Bobo chrząknął.

- Najmocniej przepraszam, ale czy Hebrajczycy nie używają liter również jako cyfr?

Tak może jest i w tym wypadku, zwłaszcza że nie widzę tu żadnych cyfr łacińskich.

Przez chwilę patrzyłem na niego bez słowa.

- To męczące, ale zawsze masz rację - powiedziałem po chwili.

- Proszę o wybaczenie - rzekł, wzduszając ramionami.

Rozwiązawszy tę tajemnicę, przejrzałem rachunki dotyczące odprawionych ładunków oliwek, przyjętego ładunku egipskiej bawełny, wpłat rozmaitych konsorcjów, wypłat transportowcom, aż natrafiłem na rozliczenia kwietniowe.

- Wiosną wzmógł się ruch z Wenecji - zauważyłem. - I to znacznie. Wygląda na to, że tego roku miejscowi nieźle się obłowili. Zaczekaj.

- O co chodzi?

- Wydaje mi się, że znalazłem ten drobny błąd. Spojrzał na wskazany przeze mnie zapis i cicho zagwizdał.

- Jeśli to jest drobiazg, to ciekaw jestem, od jakiej sumy według nich zaczynają się duże pieniądze.

Księżę, hrabina i pozostałe wielkie rodziny miasta utworzyli inwestujące w handel konsorcjum. Większość zapisków w księdze Izaaka dotyczyła działalności tego towarzystwa, która sięgała w głąb lądu, w dół i w górę wybrzeża, do Wenecji, Florencji i za morze. Sumę pieniędzy, za którą można by przez rok wykarmić miasto, wycofano w kwietniu i zapłacono...

- ...Alefowi - powiedziałem, wskazując na pojedynczą hebrajską literę.

- A kimże jest Alef, kiedy nie jest Alefem? - głośno zastanawiał się Bobo.

Czytałem dalej. Nie było dalszych uwag o Alefie, aż do dnia, w którym ostatni raz odwiedziłem kantorek. Identyczna suma wpłynęła na rachunek konsorcjum.

- No cóż, to wyrównuje saldo - powiedział Bobo. - Zero strat, zero zysku.

- Może Izaak i Klaudiusz spekulowali powierzonymi pieniędzmi - zasugerowałem.

- A może to ty teraz spekulujesz - zganił mnie Bobo. Popatrzyłem na niego ze zdziwieniem.

- Wybacz - powiedział tonem pozbawionym cienia skruchy - ale jaki to w ogóle ma związek z Malwoliem?

- Jeśli Izaak to naprawdę Malwolio...

- To wtedy kręci z Klaudiuszem, żeby okraść księcia, potem go zamordować, a po zamordowaniu oddać pieniądze? Z całym szacunkiem, *Herr Oktawiuszu*... - Nigdy ten zwrot

nie wyrażał mniejszego szacunku. - To śmieszne.

- Może spekulacja przyniosła zysk i konsorcjum odzyskało tylko wpłatę. Co się zaś tyczy związku z morderstwem... No cóż, nie widzę żadnego, chyba że to część szerszego planu zemsty.

- Nikt nigdy nie mści się z powodu pieniędzy - zaprotestował. - A kto wie, czy w ogóle je zwrócono? To tylko kupa kartek zaczerwienionych słowami i liczbami. To, że zapisano, że pieniądze zwrócono, wcale nie znaczy, że się tak stało. Księgowość to nowe źródło kłamstw na tym świecie. Mamy tu do czynienia ze sprzeniewierzeniem, po prostu i zwyczajnie, z czego wynika kolejny jasny wniosek, że ta parka miała najoczywistszy motyw, by zabić Orsyna, i wcale nie był tu potrzebny żaden Malwolio.

- Ale wiadomość przekazana mi w domu cechowym...

- Bez znaczenia. Ktoś po prostu z uprzejmości chciał cię powiadomić o śmierci księcia, ale wiadomość w trakcie przekazu uległa zniekształceniu lub posłaniec się nie popisał. Ty jednak, nie bacząc na nic, natychmiast wyobraziłeś sobie najbardziej złowieszczy scenariusz i na łeb, na szyję rzuciłeś się szukać mordercy. I skutkiem tego uciekła mi sprzed nosa szansa, aby wreszcie pierwszy raz od wielu lat uczestniczyć w święcie głupców, a na dodatek gram drugie skrzypce u boku błazna, który nie dość, że rzępoli, to na fałszywą nutę.

- Wybacz, ale...

- Kiedyś może, ale w tej chwili zastanawiam się, co my tu robimy.

- Siedzimy podejrzanego - odparłem. - Chodźmy na górę.

Zamknąłem księgę, zapiąłem klamrę, po czym ruszyłem do prywatnego sanktuarium Klaudiusza.

Nazwanie go skromnym pokoikiem byłoby aktem miłosierdzia. Ściśle biorąc, była to pusta cela, niczym nie przystrojone pomieszczenie z jednym krzesłem i stołem, na którym leżała wąska drewniana skrzyneczka wysoka na stopę i szeroka na osiem cali. Otwierała się od frontu, miała dzieloną pokrywkę, na zawiasach. Usiadłem, otworzyłem ją, ciekaw jedyne wartościowego przedmiotu w poza tym pustym pomieszczeniu.

To był ołtarzyk, jaki zwykle się zabiera w podróż. W środku była przepięknie odrobiona mozaika ukazująca Zbawcę. Błogosławił szczęsnego patrzącego, który uwolnił Go z tej ciemnej celi. Po bokach widniały miniaturowe malunki obrazujące sceny z dwóch żywotów świętych. Po lewej nawrócona przez świętego Pawła panna, cudownie ocalona od śmierci na stosie i powtórnie uratowana z groźnych szczęk lwów i niedźwiedzi. Po prawej skąpo odziana dziewczeczka tańcząca przed żołnierzami, następnie chyba nawrócona i spędzająca życie w pieczarze.

- Rozpoznałem świętą Teklę - powiedział Bobo. - Kim jest święta tanecznica?

- Myślę, że to święta Pelagia. Dziwny wybór. To musi pochodzić z Konstantynopola. Popatrz, jakie mają długie nosy. Bizantyjska rzecz.

- Zgadza się. I co z tego? Wiemy, że jest religijny. Przerwy w zarabianiu pieniędzy poświęca samotnym modlitwom tu, na górze. To prywatny przedmiot i nawet nie rzymskokatolicki. To z Kościoła greckiego albo nawet syryjskiego. A może jego właściciel jest nawróconym Turkiem? To nie ma żadnego związku z niczym.

Patrzyłem na ołtarzyk, podczas gdy Bobo plótł trzy po trzy. Przedmiot był dość głęboki, zbyt głęboki jak na puzderko, którego jedynym zadaniem było przechowywanie wizerunku Jezusa. Uważnie obmacałem brzegi. Rozległ się cichy trzask, postać Jezusa podzieliła się równo w połowie i mozaika rozchyliła się ku mnie. Przysunąłem lampę i zajrzałem do środka. Ujrzałem siebie. W skrytce było zwierciadło. Ni mniej, ni więcej.

- Co widzisz? - szepnął z przejęciem Bobo, więc wstałem, pozwalając z kolei zajrzeć jemu. Zrobił to, drgnął i roześmiał się cicho. - Widzę błazna - rzekł, spojrzawszy na mnie. - A ty, kogo zobaczyłeś?

- Starca - odparłem. - Zjeżdżajmy stąd.

Tej nocy miałem dziwny sen, którego niepokojące wspomnienie nie odstępowało mnie cały następny dzień. Bezksiężycową nocą biegłem przez las i wokół huczały ciche, złowrogie śmiechy. Gałęzie zahaczały o ubranie i rozrywały mi skórę. Potykałem się o sterczące korzenie, raniłem stopy o ostre kamienie. W końcu trafiłem na polanę, okrągłą, płaski teren w środku boru. Śmiech rozlegał się z jednej strony, potem z drugiej, ale nie mogłem dostrzec, kto się naigrawa.

Nagle coś frunęło pomiędzy drzew w moim kierunku. Złapałem ten przedmiot i obejrzałem go. To była maczuga żonglera. Odrzuciłem ją, ale z innego punktu okręgu nadleciała następna. Tę również odrzuciłem, lecz z różnych miejsc nadlatywały kolejne. Wirowałem jak derwisz, łapiąc je i odrzucając, coraz szybciej. Wiedziałem jednak, że wcześniej czy później którąś upuszczę.

## Rozdział X

*Mam czapkę i dzwoneczki, pomyślał,*

*Podaruję je jej i umrę.*

W. B. Yeats, *Czapka i dzwoneczki*

JLVolejny raz obudziłem się blisko południa, dygocąc z zimna. Albo ze strachu, albo

z przepicia lub niedopicia. Cholerna broda swędziała mnie, doprowadzając do szału. Mimo późnej pory opadałem z sił, budząc się co chwila, od kiedy naszedł mnie tamten nocny koszmar. Żałowałem, że nie trwał dłużej. Może bór wydałby mi tajemnicę tożsamości niewidocznego zonglera.

Był ostatni dzień starego roku i postanowiłem rozpocząć nowy jako czysty człowiek. Jedynym większym budynkiem, który przybył miastu poza wznoszoną dopiero katedrą, była publiczna łaźnia, ulokowana na północ od nabrzeży. Osiodłałem Zeusa i zmusiłem go do znacznie szybszego tempa, niż było trzeba, ale się zastał i potrzebował ruchu.

Podczas gdy katedra wzorowała swój gotycki majestat na wznoszonych na północy budowlach, łaźnia najwyraźniej za przykład wzięła wschodnie wzorce. Kiedy Orsyno bawił się w żołnierza Chrystusa, pewnie najął paru seldzuc-kich budowniczych. Niski kwadratowy budynek prowadził do ośmiokątnego, zwieńczonego prostą kopułą. Kosmyki pary uciekały otworami wentylacyjnymi, zapraszający znak.

Odstawiłem Zeusa do stajni przy łaźni, wszedłem do szatni i pozbyłem się ubrania. Bieliznę zostawiłem do wyprania, zabrałem czysty ręcznik z półki w kącie i poczłapałem marmurową podłogą do wiodącego do caldarium\* korytarza.

Grupka gości już wyciągała się na kamiennych ławach, masowana przez umięśnionych młodzianów i wchłaniając wszystkimi porami gorące powietrze. Para buchała z drugiego końca sali, po obu stronach huczały paleniska. Wdrapałem się na wolną ławę i dałem się wyklepać i bezlitośnie wybatożyć różgami, aż każdy cal mego ciała błagał o zakończenie tych tortur. Dałem napiwek masażystce i na miękkich nogach podążyłem do ostatniego pomieszczenia.

Był w nim okrągły basen liczący około trzydziestu stóp średnicy, pełen nagich mężczyzn, odzyskujących siły po grzechach, utrapieniach lub masażach. Wodę podgrzewano podłogowo. Współczułem łaźniobnym sługom, podtrzymującym ogień, zwłaszcza w tak zimną pogodę, ale woda była boska. Zanurzyłem się z głową i wytrzymałem tak, dopóki wystarczyło mi powietrza, po czym ułożyłem się na plecach i wpatrywałem w kopułę, zmyślnie udającą mapę nocnego nieba. Złoczone gwiazdki odbijały światło pochodni. Śliczne to było, ale podczas wielu letnich nocy leżałem, patrząc na pierwowzór tego malowidła, i w całym świecie nie ma dość złotka, aby oddać rzeczywistość.

Nabrałem trochę mydła, wziąłem szczotkę i wszedłem do jednej z siedmiu alków, w których były stosownych wymiarów balie. Zanurzyłem się i gdy posługacz zlał mnie kilkoma wiadrami gorącej wody, zabrałem się do siebie na po-

\* Sala kąpeli gorących. ważnie. Kończyłem już mycie włosów i brody, gdy basowy

głos krzyknął:

- Uważajcie, chłopcy. On może mieć wodowstręt!

- Witam, panie Tobiaszu - powiedziałem, nie podnosząc głowy.

- Niech mnie diabli, jak to nie znajomy kupczyk - rzekł. Oczywiście, był nagi i nigdy nie widziałem, aby jeden szkielet nosił tyle różowego cielska. Opadł do wielkiej balii, którą z pewnością stworzono specjalnie dla niego, i westchnął z zadowoleniem.

- Niebiańsko, no nie? - spytał retorycznie. Kiwnąłem głową.

- Jakby mnie kto pytał, to jest największa korzyść z wypraw krzyżowych - ciągnął. - Najlepsza rzecz, szczerze mówiąc. Bardzo czysti, ci poganie. Czystsi niż Żydzi, jeśli to w ogóle możliwe.

- Naprawdę? - spytałem.

- Oczywiście, nie myją się razem. To nieczyste, nieczyste! Ale łaźnie mają wspaniałe.

- Jedyne, czego tu brak, to dzban z winem - westchnąłem leniwie.

- Wina ci u nas dostatek - ogłosił, unosząc niebywałych rozmiarów bukłak. Odwrócił go do góry dnem, łyknął, po czym przekazał mi.

To nadal był stary rok. Napilem się.

- Jak wyglądała ta krucjata? - zapytałem.

- Kompletny idiotyzm - burknął. - Wyruszyliśmy nadęci wyobrażeniem naszej mocy i sławy, wylądowali ledwo żywi od choroby morskiej i całe miesiące leżeli w obozie, umierając z nudów i upału. Z przerwami na upiorną rzeź po jednej lub drugiej stronie. Na szczęście te należały do rzadkości. Nasza mała banda przeważnie zajmowała się plądrowaniem i rabowaniem na rzecz Rzymu, a księża czekali, by błogosławić zwożone łupy. Najwięcej ekscytacji przysporzył nam Andrzej, gdy dał się złapać w niewolę.

- I księżę go uratował?

Roześmiał się gromko. Balia zatrzęsa się, mydliny z obu stron chlusnęły na podłogę.

- Jeśli przez ratowanie rozumiesz to, że pomaszerował do muzułmańskiego miasta i zapłacił za wypuszczenie tego osła, to tak, uratował go. Ale więcej tam było targowania niż szczęku miecza. Oczywiście ostro się stawiali. Trzymali go przez miesiąc, żeby podbić cenę, ale go puścili. Niewiele ich kosztował, mało co je. Jak pamiętam, przemaglowali go jak się patrzy, próbując z niego wydusić coś sensownego, ale że ten człowiek przez całe życie nie zdobył ani jednej wartościowej informacji, więc w końcu się poddali i oddali go nam.

- Czy walczyłeś w bitwie, panie Tobiaszu?

- Walczyłem - powiedział i pociągnął zdrowo. - Wykazałem się w polu i nigdy więcej nie chcę się wykazywać. Rzym może się tłuc beze mnie. Mam dość ich wszystkich księży,

biskupów, dowódców, całej tej hałastry. Wróciliśmy, trąbiąc na lewo i prawo o naszych podbojach, choć dobrze wiedzieliśmy, że jesteśmy niedołączkami, oszustami i hipokrytami, Od tamtej pory nie poświęcałem się niczemu poważniejszemu i świętszemu niż picie na umór, gorące kąpiele i kochająca żona. I dzięki temu jestem szczęśliwym człowiekiem. - Odchylił głowę i spojrzał na sztuczne niebo. - Rozejrzyj się po tym mieście - rzekł ciszej, spokojniejszym tonem. - Gdy księżę wrócił, rozpoczął wznoszenie dwóch budowli. Jednej dla przyjemności, drugiej dla świętości. I którą wprawdzie ukończono? - Nieopodal łaźiebny nerwowo przestępował z nogi na nogę i Tobiasz zmierzył go groźnym spojrzeniem. - Ani mi się śni! - zahuczał. - Zajmij się swoimi sprawami i pozostaw mnie moim ablucjom. - Odwrócił się do mnie i puścił oko. - Boją się mnie panicznie, masz pojęcie? Nie żebym miał ich skrzywdzić, ale że zasnę, utopię się w balii i nawet cała ich czereda mnie nie wydzwignie. Jak się o tym pomyśli, to naprawdę milutki sposób opuszczenia tego łez padołu. A jakby jakaś szczuplutka dziewczka dosiadła mnie, kiedy będę wydawał ostatni dech, to obeszloby się i bez raję.

- Dziwię się, że głosząc takie ideały, jesteś gotów przyjąć odpowiedzialność, która wiąże się z regencją.

Rzucił mi kosę spojrzenie.

- Och, a więc słyszałeś o tym, co? No cóż, wbrew temu, co mogłoby się wydawać, kierują mną czyste motywy. Nie dbam o władzę ani bogactwo. Chcę tylko ochronić chłopca przed tą całą resztą. Tylko tak długo, dopóki sam nie może o siebie zadbać. Jak teraz znajdzie się w cęgach między mamcią i cioteczką to będzie nie lada szczęściarzem, jeśli zazna jakichkolwiek rozkoszy dzieciństwa. A przy mnie nauczy się chlać, kłać, gonić baby, wszystkiego, czego potrzebuje chłopiec, żeby się stać mężczyzną.

- Może mógłbyś się nająć jako guwerner - zasugerowałem. Roześmiał się.

- Na Boga, przedni pomysł. Powiniennem stworzyć własną szkołę. Akademia Kształconych Wałkoniów pana Tobiasza, „Pełnia mądrości, w tym znawstwo win!” Byłbym rektorem i głównym wykładowcą. Żadnej teorii, jeno praktyka!

- Pozwól, że natychmiast się do niej zapiszę - powiedziałem, wstając i wycierając się ręcznikiem.

Pozdrowił mnie uniesieniem ręki i złożył głowę na krawędzi balii, powracając do kontemplacji sufitu.

Chciałem odbyć rozmowę z Wiolą. Miałem niepokojące przeczucie, że Malwolio niebawem wykona ruch. Nie podjąłem jeszcze decyzji, czy powiniennem się ujawnić księżnej, ale ze wszystkich zainteresowanych osób była najbardziej godna zaufania.



No cóż, nadgorliwy sługa nie dopuszczał do zbliżenia góry z Mahometem. Obserwacja dworu nie przynosiła rezultatu, tak więc zdecydowałem się przyjrzeć jednemu miejscu, w którym mógłbym ją zaskoczyć. Wrzuciłem do torby jadła i napitków na cały dzień i ruszyłem z boczem do północnej bramy.

Cmentarz rozciągał się na panującym nad miastem płaskim, kamienistym ugorze. Kopanie tam grobu było tak upiornie uciążliwym zajęciem, że większość rodzin, które było na to stać, budowała mauzolea, co zwykłą koleją rzeczy prowadziło do ostentacyjnego współzawodnictwa. Miejsce ostatniego spoczynku księcia Orsyno byłoby skromną budowlą, gdyby znajdowało się obok, powiedzmy, Parteno-nu. Cmentarz z latami zrobił się nieco tłoczny i chodziły plotki, że niektóre wiekowe szkielety po cichu przenoszono do mniej pożądanых zakątków. Jak do tej pory nie było zażaleń.

Wszedłem w rosnącą nieopodal kępę drzew, zgarnąłem kupę zeschniętych liście i opatulwszy się w zapożyczony z gospody koc, zagrzebałem się w nich. Tylko oczy miały kontakt ze świeżym powietrzem, wyglądając spod kaptura. Niebawem się przekonałem, jak może przemarznąć i ta część ciała. Po tygodniach życia w luksusach miło było powrócić do skromnych i pozbawionych wygód warunków życia błazna.

Na wzgórzu pojawiło się kilka osób. Modlili się lub życzyli przodkom szczęśliwego Nowego Roku, ale nikt się nie zbliżył do grobowca księcia. Kiedy słońce zaszło, usłyszałem z miasteczka odgłosy zabawy. Dobra robota, Teosiu. Podczas tej misji dodałeś świętowanie sylwestra i Nowego Roku do listy niezazywanych przyjemności.

W ciemnościach, gdy cmentarz opuścili wszyscy oprócz zmarłych, ujrzałem wdrapującą się na wzgórze postać. Opuściłem moją kryjówkę i przycupnąłem za małym mauzoleum, skąd miałem dobry widok. To musiała być ona.

Ale ku mojemu zaskoczeniu był to Klaudiusz. Pobieźnie się rozejrzał i wszedł do budyneczku. Podpełzłem do drzwi i przyłożyłem do nich ucho. Usłyszałem cichy, bolesny płacz.

No, tak. To było tak proste, że każdy dał się nabrać. Usiadłem na niskim murku naprzeciwko i czekałem. Wyłonił się grubo po kwadransie. Twarz miał zalaną łzami, wzrok spuszczone. Powłókł się ku mnie, nie widząc na oczy.

- Dobry wieczór - pozdrowiłem go uprzejmie.

Mój Boże, był szybki! Nawet nie mrugnąłem, a już miałem jego miecz pod podbródkiem.

- Wiesz, to trzeci raz w tym tygodniu mam ostrze na gardle - powiedziałem z nutką narzekania w głosie. - Ale to pewnie sprawa tej brody. Od kiedy urosła, ludzi wprost

świerzbią palce, aby ją usunąć.

- Z rozkoszą bym ją zgolił - warknął. - A może jeszcze twoją głowę na dodatek.

- Pozwól, że ci to ułatwię. - Odpiąłem pas z mieczem i upuściłem na ziemię. - I jeszcze to. - Wyjąłem z rękawa sztylet i również go upuściłem. - Och, prawie zapomniałem. Za pozwoleniem. - Powoli sięgnąłem do cholewki buta, wyjąłem nóż i dorzuciłem go na kupkę żelastwa. - A teraz do dzieła.

- Co ty tu, do diabła, robisz? Czemu mnie śledzisz?

- Nie śledziłem cię - wyjaśniłem. - Czekałem tu przez większą część dnia. Aż się pokazałeś.

- To ani miejsce, ani czas na rozmowy o interesach, *Herr* Kupcze. - Jego miecz nie drgnął nawet raz.

- Och, mam wprost przeciwne zdanie. Wszystko zależy od rodzaju interesów. Myślę, że moglibyśmy sobie nawzajem pomóc, *signore* Klaudiuszu, ale jestem w nieco niewygodnej sytuacji. Przypadkiem trafiłem na jeden z twoich sekretów, ale by go potwierdzić, musiałbym wyjawiać jeden z moich.

- Mówisz zagadkami, kupcze.

- Przepraszam. To sprawa przyzwyczajenia. Muszę przyznać, że podziwiam twoje przywiązanie do nieżyjącego pana. Daleko wykracza poza zwykłą lojalność sługi.

- Obrażasz mnie. Był znakomitym panem. - Łzy wezbrały mu w oczach, ale nie potrafiłem ocenić, czy napędziła je wściekłość czy rozpacz.

- Najznakomitszym - zgodziłem się z nim. - I oddanym mężem. Czyż nie tak, księżno? Szybko się za siebie obejrzał i wrócił wzrokiem do mnie.

- Tu nie ma nikogo poza nami dwoma. Kogo nazywasz księżną?

- Ciebie - powiedziałem i oddech ugrzązł mi w gardle, gdy znów poczułem na nim ostrze. - No, no, Wiolu... Kiedy ostatni raz widziałem miecz w twoim ręku, był to najmar-niejszy pokaz szermierki.

- Kim jesteś? - szepnął... szepnęła.

- Jestem Feste, Wiolu. Siłą wyobraźni ogól mnie, odejmij mi lat, pomaluj twarz bielą i ujrzyj takiego, jaki byłem. Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie. Feste by tu nie wrócił bez uprzedzenia. Nie w przebraniu. Kim jesteś i czego chcesz?

- Poddaj mnie próbie, spytaj o coś, o czym mogliby wiedzieć tylko Wiola i Feste.

Zmarszczyła brwi, zastanawiając się.

- Kiedy po raz pierwszy ujrzałam Feste - powiedziała, zacinając się - śpiewał

Orsynowi, mojemu małżonkowi. Zaśpiewaj tamtą piosenkę, a rozpoznam twój głos.

To była próba jak należy i niezwykle stosowna do okoliczności. Odchrząknąłem.

- Ułóż mnie, ułóż mnie tu - zacząłem - gdzie mogiły i smukłe cyprysy. - Poleciały łzy, miecz wypadł z dłoni. - Uleć już, uleć, mój tchu, bo zabiły mnie lubej kaprysy.

- Feste - szepnęła i rzuciła mi się w ramiona, przylegając do mnie.

Cóż za dziwny widok przedstawilibyśmy w oczach każdego widza: dwóch brodatych mężczyzn w średnim wieku ściskających się w księżycową noc na przewiewanym wiatrem cmentarzu. Nic mnie to nie obchodziło. To były tylko maski. Pod nimi Feste ścisnął Wiołę... Teoś ścisnął Wiołę - trzymałem ją w objęciach i ani myślałem wypuścić. Ale mogłem tylko śpiewać.

*Niech ciernia mój całun i ciało*

*Ugości;*

*Nie ma serca, co smutniej skonało*

*Z miłości.*

*Mi/aju^f mijaju^ woń*

*Kwiatu, który ktoś rzucił na wieko;*

*Cyyja to, c^yja mi dłoń*

*Zgasłe oko ^akryła powieką?*

*Niech śmierć moja choć cud^e ro^pac^e*

*Uprości;*

*Niech na mym grobie niktju^ nie płacie*

*Z miłości.*

W końcu wypuściła mnie z objęć, uśmiechając się żałośnie.

- Podejrzewam, że potrzebne będą pewne wyjaśnienia. Z obu stron. Jaki cud cię tu sprowadza w tej maskaradzie?

- Nie posyłałaś po mnie?

- Czy posyłałam? Nie.

- Tak myślałem. Powiedz mi, księżno, jak umarł twój małżonek?

To było okrutne, ale musiało paść przez wzgląd na prawdę.

- Spadł z nadbrzeżnej skały.

- Wierzysz, że to był wypadek? Patrzyła mi w oczy. Nie chciała mówić.

- Nie - w końcu rzekła.

- Myślisz, że sam odebrał sobie życie?

- Nie wiem - powiedziała, krztusząc się słowami.

- Mogę go zobaczyć? - spytałem cicho.

To ją zaskoczyło, ale skinęła głową i zaprowadziła mnie do środka.

Na razie złożono go w prostym sarkofagu. Zamówiono ozdobniej szy, z terminem wykonania na lato, powiedziała. To bardzo mi odpowiadało. Odepchnąłem pokrywę i spojrzałem na trupa mojego niegdysiejszego przyjaciela i pana.

Długa, lodowata zima przechowała go dobrze dla moich celów. Twarz miał zmiażdżoną nie do poznania, chociaż krew starannie zmyto. Wiek również się na niej odcisnął, ale to nie twarz była głównym obiektem mojego zainteresowania.

- Ściągnęły mnie wieści o jego zgonie - rzekłem, przyglądając mu się uważnie.

Odwróciła głowę, ale wyczuwałem, że jest zaskoczona.

- Kto cię ściągnął? - spytała. - Dlaczego?

- Sądzę, że zwabiono mnie tu, abym zbadał okoliczności zamordowania twojego małżonka.

Spojrzała na mnie poblądła w migotliwym blasku pochodni.

- Zamordowania? Dlaczego by miano go zamordować? I czemu ciebie ściągnięto?

- Żeby się zemścić, szlachetna pani. Mogę? - spytałem, wskazując ciało. Skinęła głową. Delikatnie obmacałem ciemną twarz. - No i proszę. Wybacz, ale muszę ci to udowodnić. Dotknij w tym miejscu. - Ująłem jej dłoń i położyłem na ciemieniu. Czaszka ustąpiła pod naciskiem. - Pęknięta. Zmiażdżona.

- Spadł ze skały! - krzyknęła, wrywając rękę.

- Na twarz.

- Co? - spytała z niedowierzaniem.

- Mieszkaniec plaży, człek imieniem Hektor widział upadek. Księżę spadał, milcząc, bezwładnie, inaczej niż osobnik, który zlatuje przypadkiem, osunąwszy się z krawędzi. I Hektor widział, że upadł na twarz. Więc skąd tego rodzaju kontuzja?

- Hektor to zapijaczony staruch.

- Podobnie jak ja, księżno. Ale niezależnie od tego wzrok ma bystry i jeśli usuniesz z jego opowieści wszelkie ozdobniki, pozostaje prawda, naga prawda w oczach tego, kto ma dość cierpliwości, aby jej poszukać. Twój mąż nie żył, zanim spadł. I został uderzony w tył głowy.

- Ale Hektor widział go samego. Tak nam wtedy powiedział.

- Skała wznosi się pod takim kątem, że mogła zasłonić napastnika. Albo użył jakiegoś pocisku. Ale Orsyno został zamordowany, Wiolu.

Upadła na posadzkę. Myślałem, że zemdlą, ale usłyszałem szloch.

- Nie popełnił samobójstwa - wyrzuciła z siebie. - Wszyscy to sugerowali, że tylko jego pozycja uratowała go przed pochówkiem na niepoświęconej ziemi. Miałam nadzieję, że to nieprawda, ale myślałam, że się nigdy nie dowiem.

- Współczuję ci.

- Nie, nie rozumiesz. - Poddawała mi się, gdy uniosłem ją na nogi. - Bałam się, że to ja w jakiś sposób się do tego przyczyniłam. Ale nie. To była... - Znów się zachwiała. - Zemsta? Powiedziałeś „zemsta”. Czyżbyś... Chyba nie Malwolio?

- Myślę, że to możliwe - odparłem i na ile mogłem to uczynić, nie odsłaniając tajemnic cechu, opowiedziałem, co wiem o jego podróżach.

- I przybyłeś w przebraniu, aby nas ratować - powiedziała, zachłystując się ze zdumienia. - Ale ten drugi błazen, czy to twój towarzysz?

- W samej rzeczy. I byłbym niezwykle zobowiązany, gdybyś rozkazała swemu niezwykle skutecznemu służącemu, aby od tej chwili nie bronił nam dostępu do twego pałacu. To bardzo udroziłoby łączność między nami.

- Załatwione. Ale jak mnie przejrzałeś? To już drugi raz, wiesz.

Zamknąłem sarkofag i zabrałem pochodnię. Wyszliśmy na dwór i pozbierałem broń.

- Połączyłem drobne obserwacje - powiedziałem, gdy wracaliśmy do miasta. - Nabrały znaczenia wraz z twoim tu przybyciem. Kiedy teraz po raz pierwszy się z tobą zetknąłem, pachniałaś żywicą.

Odruchowo pogładziła brodę.

- Z daleka rozpoznam fałszywą brodę, chociaż ta jest całkiem przyzwoita, i w końcu zdałem sobie sprawę, dlaczego rozpoznałem tamten zapach. Używasz żywicy do podklejania brody, zgadza się?

Skinęła głową.

- A do tego dochodzi ten bardzo interesujący ołtarzyk w twoim kantorku na piętrze - dodałem.

Spiorunowała mnie wzrokiem. Wzruszyłem ramionami.

- Wybacz mi, wsadzałem nos w wiele innych kątów, które nie są moje. Ale nie potrafiłem sobie wyobrazić, dlaczego ktoś miałby ukrywać akurat lustro. Teraz to jasne. Używasz go podczas maskowania się. Przychodzisz tam i wychodzisz przebrana za starą służkę, a Klaudiusz pozostaje ukryty w skrzynce.

- Smutne w tym jest to, że potrzeba mi już bardzo niewiele starań, aby przybrać wygląd starej kobiety.

- Bzdura, księżno. Do tego dochodzi wybór świętych w ołtarzyku. Tekla i Pelagia.

Dwie kobiety. Silne, oddane kobiety, które uniknęły prześladowań, przebijając się za mężczyzn.

Odwróciła wzrok.

- To był podarek od męża - wyjaśniła, nie rozwijając tematu.

Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu.

- O tej porze bramy będą zawarte - zwróciłem jej uwagę.

- Skoro znasz tak wiele tajemnic, odsłonię ci jeszcze jedną - rzekła i skręciła z drogi w las.

Zaprowadziła mnie do gigantycznego dębu przy strumieniu. Nad brzegiem zwisały powykęcane korzenie. Zręcznie zeskoczyła, kryjąc się pod nimi. Dojrzałem głęboką jamę. Wiola odebrała ode mnie pochodnię i weszła do środka. Ruszyłem za nią.

- Każdy władca potrzebuje drogi ewakuacyjnej ze swej siedziby - powiedziała, gdy rozglądałem się po wyłożonym kamieniem tunelu. - Ta niegdyś doprowadzała wodę do rzymskiego garnizonu. Dom Orsyna zachował ją do innych celów. Jak pewnie zgadujesz, uznałam ją za szczególnie użyteczną. - Zapaliła świeczkę, która stała w ściennej półce, zgasła pochodnię i poprowadziła mnie dalej.

- Genialne - pochwaliłem ją. - Cały ten pomysł jest genialny. Najlepsze w nim jest to, że po tym, jak raz przebrałaś się za mężczyznę, nikt by nie uwierzył, że kiedykolwiek będziesz miała czelność znowu to zrobić.

- Dziękuję ci.

- Dlaczego? Co cię do tego doprowadziło?

Miałem dziwne wrażenie, słuchając jej opowieści z ust Klaudiusza, jakby była ukrytym za jakimś ekranem brzuchomówcą.

- Kiedy mężczyźni odjechali, a Sebastian markotniał, topiąc ponurość w beczce z winem, przejęłam zarząd nad sprawami księcia. Okazało się, że dysponuję niezgorszymi talentami w tym zakresie.

- Nie jestem zaskoczony.

- Kiedy wrócili, był pod wrażeniem, ale uważał, że byłoby niewłaściwe, gdyby w obecności księcia pana jego żona zarządzała sprawami księstwa. Pozostało mi sprawować obowiązki pani domu i żony i czułam się jak spętana. Roznosiło mnie. Potem, na rocznicę ślubu, dla żartu znów przebrałam się za Cezaria. Odniosłam spory sukces i nawet udało mi się zwieść wiele przybyłej w gości szlachty, nie tylko mężczyzn, ale i kobiety. Mój mąż był bardzo... - Przerwała i nawet w świetle świeczki widziałem jej rumieniec. - Był zachwycony tym kostiumem. Wydał mu się... podniecający. Po powrocie z krucjaty uległ napadom

melancholii, na które cierpiał, gdy go poznałam. Przebranie podnieciło go, obudziło wiele tego ognia, którego brakowało w naszym związku. To natchnęło mnie zadowoleniem, więc rzecz trwała. W końcu wymyśliłam Klaudiusza.

- Zdecydowałaś się na imię rzymskiego cesarza.

- Tak. Dziwne, ale przebranie spowodowało, że zaczął ze mną rozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną, omawiał sprawy wagi państwowej i handlu tak, jak nigdy nie omawiał ich z Wiolą. I szanował moje rady, chociaż potrafił je kompletnie zignorować, gdy padały z ust Wioli. Ileż wolności wraz z brodą, ileż władzy z kępki włosów. Tego rodzaju układ wydał mi się niezwykle intrygujący i kiedy zaproponowałam Klaudiusza na intendenta, zgodził się.

- Ale jak znajdowałaś na to czas?

- Och, to było skomplikowane, lecz kiedy się jest księżną, jedyne, czego się od ciebie wymaga, to kierowanie towarzyskimi wydarzeniami. Opiekunki i guwernantki odebrały mi wychowywanie dzieci, a szydełkowanie nigdy nie było moją pasją. Dysponując wolnym czasem, nie przelękałam się nawet spraw handlowych. Zatrudniłam Izaaka do prowadzenia ksiąg, a posiadłości świetnie zarządzały się same. Wielce się nam powodziło za intendenty Klaudiusza.

- Hu wiedziało o twoim podwójnym życiu? Oczywiście Izaak.

- Tak. Troje służby, w tym osoba odgrywająca mnie za welonem, kiedy okazja wymagała obecności nas dwojga. Oliwia. Uważałam, że przy jej pozycji i wysokości inwestycji w konsorcjum ma do tego prawo.

- I Sebastian?

- Nie. Przynajmniej ja nigdy mu o tym nie powiedziałam i prosiłam Oliwię o dyskrecję. Obawiam się, że nadal czuje do mnie urazę za to, że wyrosłam ponad niego. Nie mogę powierzyć własnemu bratu żadnych tajemnic.

- Zaczyna kapitan Perun?

- Kto wie, co on wie? Nigdy go nie lubiłam, ale Orsino życia sobie bez niego nie wyobrażał. Ma wielu informatorów. Może wie, inni może z czasem odgadli, ale nie potrafię powiedzieć na pewno. Ufam moim sługom, ufam Izaakowi, nie ufam już Oliwii i nie jestem pewna, komu mógł powiedzieć mój mąż. Jesteśmy pod pałacem.

Tunel się poszerzył, przechodząc w izbę z topornym stołem i niewielką szafką. Otworzyła ją i wyjęła prostą suknię i opończę. Zaczęła rozpinać tunikę, ale spojrzała na mnie.

- Jestem tak przyzwyczajona, że przebywam tu sama, że niemal byłam gotowa obnażyć się przy tobie. Zdaję sobie sprawę, że wy, kuglarze i aktorzy, niezbyt ściśle

przestrzegacie zasad moralności, ale bądź tak uprzejmy i się odwróć.

Skłoniłem się i stanąłem twarzą do ściany. W tej samej chwili znów poczułem na szyi ostrze.

- Dla twojej informacji - powiedziała - teraz bardzo wprawnie władam mieczem. Mąż wyuczył mnie wielu męskich umiejętności. Dzisiejszej nocy wiele zaryzykowałam, zaufawszy ci.

- A ja wiele zaryzykowałem, odwracając się teraz plecami, zgodzisz się?

- Zgadzam - powiedziała i schowała ostrze do pochwy. Usłyszałem szelesty. - Możesz się odwrócić.

Niektórzy starzeją się lepiej niż inni. Powinienem to wiedzieć, należałem do tych innych. Już nie mogłaby ujść za chłopca, ale absolutnie nie było żadnej przyczyny, aby ktoś tego od niej wymagał. Włosy miała krótko przycięte, lecz nadal w boskim kasztanowym odcieniu, bez śladu siwizny. Była szersza w talii niż wtedy, kiedy po raz pierwszy ją ujrzałem, ale przydatek ciała przydał jej kobiecości. Lecz to jej twarz jak zwykle przykuwała uwagę. Nie od pierwszego spojrzenia, ale po uważnym przyjrzeniu się, po tym, jak spostrzegłeś, że te oczy przenikają do głębi duszy, myślące, mądre, po tym, jak zauważyłeś, że te usta uśmiechają się z lekkim szyderstwem. Kilka zmarszczek to tu, to tam, trofea ciekawego życia.

- Możesz przestać się gapić i powiedz jakiś komplement - poleciła mi.

- Bez brody wyglądasz lepiej - powiedziałem i zaczęła się śmiać, po czym usiadła na ławie i ukryła twarz w dłoniach.

- O, Boże, Feste - szepnęła. - Ile przeżyłam podczas jednej nocy z tobą. Strach, ulgę, żalobę, rozbawienie. Nie potrafię wyrazić mojej wdzięczności za to, że uwolniłeś mnie od ciężaru tamtego strasznego przypuszczenia, a równocześnie nasunąłeś mi nowe, iż zostałem zamordowany. Co możemy uczynić? Wiesz, gdzie przebywa Malwolio?

- Nie - przyznałem. - Nawet nie wiem, za kogo mógłby się podawać. Ale jest blisko. Może chce zabić któreś z nas. Zachowaj ostrożność. Nie ufaj nikomu. Nawet Izaakowi. Czy możesz mi opowiedzieć o nocy, której zabito twojego męża?

- Mieliśmy kilka osób na uczenie.

- Znam listę gości. Czy wydarzyło się coś niezwykłego?

- Poza tym, że Marek zaniemógł, to nie. Nie było nikogo nieznanego.

- Co się wydarzyło po tym, jak Marek źle się poczuł?

- Coś w rodzaju pandemonium. Zanieśliśmy go do jego pokoju i pobiegłam szukać medyka, podczas gdy mąż zajmował się gośćmi. Trochę czasu zajęło mi odnalezienie tego szarlatana... każdej nocy doglądał innej dziewczki. Znalazłam go na strychu dziewczki stajennej i



ściągnęłam tutaj.

- A gdzie byli wszyscy pozostali?

- Do tej chwili wyszli. Mój mąż lubi... lubił co wieczór spacerować brzegiem nadmorskiego urwiska. Nie mógł znaleźć sobie miejsca, czuł się niepotrzebny, więc mu powiedziałam, żeby poszedł na swój spacer, wszystko jest pod kontrolą. - Przerwała na chwilę. - To ostatnie, co mu powiedziałam: idź na swój spacer, wszystko jest pod kontrolą. Tyle że nie było. Przynajmniej jeśli o mnie chodziło. A teraz są tylko te pozory kontroli. Oliwia zostanie regentką, Klaudiusz zniknie. Wiola będzie rządzona najpierw przez żonę jej brata pijaka, potem przez syna, kiedy ten osiągnie odpowiedni wiek. Nie jest to akurat takie życie, jakie bym wybrała. Ale też ile wyborów należy do kobiety?

- Dokonałaś ich więcej niż większość z nich.

- Czyżby? - powiedziała. Sciereczką starła resztki charakteryzacji. - Czasem się zastanawiam. Wydaje mi się, że w tym wszystkim było więcej przypadku niż moich wyborów.

- Przypomnij sobie ostatnie kilka miesięcy. Czy spotkałaś jakichś nieznajomych, kogokolwiek, czyje działania z perspektywy czasu mogłyby się wydać dziwne?

- Nie - powiedziała, zastanawiając się. - Poza tobą, oczywiście. Jaki masz plan?

- Bobo przyciąga uwagę Malwolia, ja zastawiam paście, a reszta z was ma oczy i uszy otwarte.

- Potrzebujemy więcej dowodów, Feste - zwróciła mi uwagę. - Są takie czynniki, które wolałyby, żeby mój mąż popełnił samobójstwo, poróżniwszy się z żoną. Dzięki temu byłoby łatwiej kontrolować Marka.

Zastanowiłem się przez moment.

- Jeszcze nie zbadałem miejsca morderstwa - powiedziałem. - Minęło kilka tygodni, ale napastnik mógł pozostawić jakieś ślady, które się zachowały. Masz ochotę się tam ze mną spotkać?

- W porządku. Jutro po południu. Wcześniej zarówno Wiola, jak i Klaudiusz mają obowiązki do wypełnienia. Feste?

- Tak, księżno?

- Przestałeś pisać.

- Niestety, w życiu, które akurat prowadzę, korespondencja to raczej sprawa przypadku niż regularności. Ale często o tobie myślałem. O was wszystkich. Moje wyrazy współczucia, księżno. Był dobrym człowiekiem i zasłużył na dłuższe życie.

Zaprowadziła mnie do drabiny i przez właz do piwnicy. Posłuchała przy drzwiach i

cicho weszła do dworu. Stał tam Malachiasz. Chciał się uklonić, ale mnie dostrzegł i cofnął się, opuszczając rękę do sztyletu przy pasie. Powstrzymała go gestem.

- W porządku, Malachiaszu. Wszystko ci wytłumaczę, ale wpierw zaprowadź tego szlachetnego pana do bramy. - Wskazał mi drogę, a Wiola dodała: - Z całym należnym szacunkiem. - Obejrzał się na nią, po czym skłonił mi się. - Dziękuję, *Herr* Oktawiuszu.

- Dobranoc, wasza książęca mość - powiedziałem, kłaniając się równie nisko jak Malachiasz.

Odprowadził mnie do bramy i otworzył ją.

- Czy mam rozumieć, że będziemy mieli zaszczyt poznać pana lepiej?

- Być może, mój dobry człowieku.

- W takim razie proszę przyjąć życzenia szczęśliwego Nowego Roku, panie.

- Dziękuję, Malachiaszu. Wszystkiego najlepszego dla ciebie i twojej rodziny.

Brama zatrzasnęła się za mną i spojrzałem ku gwiazdom, jasno mrugającym w pierwszej godzinie roku.

## Rozdział XI

*Haec reticere monet stultum, ne forte loquendo secretum prodat, quod reticendo tenet.*

(„Ta opowieść ostrzega Błazna, by siedział cicho, gdyż mówiąc, może zdradzić tajemnice, które milcząc, zachowa”).

Ezop

Kim on jest...?! - wrzasnął Bobo, zrywając się na równe nogi.

- Kim ona jest, chcesz powiedzieć - poprawiłem go z wyższością i opowiedziałem o tym, co nocą mnie spotkało.

Jak szalony przebiegł przez pokój i padł na łóżko, dławiąc się ze śmiechu.

- To cudowne, nadzwyczajne - obwieścił. - Na króla Dawida, gdyby nie była tak posunięta w latach, nalegałbym, aby złożyć jej propozycję wstąpienia do cechu, kiedy się to skończy. Co za marnotrawienie talentu!

- Nie jest taka stara - zaprotestowałem. - Wczesna trzydziestka czy gdzieś tyle. W każdym razie opowiedziałem jej o nas i Malwoliu.

- Myślisz, że to mądre? - spytał, znów poważniejąc. - Jak mamy być pewni, że można jej zaufać?

- Bo ją znam - odparłem po prostu. Na znak rozpaczy uniósł ręce.

- Nie ma dla mnie ratunku - rzekł. - Złożyłem moje życie w twoje dłonie, a ty je

zmarnowałeś z powodu ładnej buzi? Bo tak przy okazji ma ładną buzię?

- Bardzo.

- A, to w takim razie wszystko gra. Niezłomnie wierzę w pozory. Co teraz? Znow przespałeś pół dnia. Zaczynam podejrzewać, że się przemieniasz w puchacza.

- Wracam do terminarza błazna, to wszystko. Mam z nią, czy z nim, spotkanie. Po południu, przy urwisku. Szukanie dowodów.

- Brzmi sensownie. Każdy najmniejszy śladzik się przyda. Mój Boże, zaryzykowałeś, że bez trudu udowodnisz, iż miał zmiażdżoną czaszkę, jakby to było oczywiste. Skąd o tym wiedziałeś?

- Nie wiedziałem, ale biorąc pod uwagę, jak upadł, takie założenie wydało mi się oczywiste. Jeśliby został zamordowany, to najprawdopodobniej w ten sposób.

- A jeśliby się okazało, że ma twarde, niedziurawy łeb jak większość szlachty?

- W takim razie złożyłbym przeprosiny i chyłkiem wrócił do domu cechowego gotów znieść publiczną porcję klapsów.

Pokręcił głową.

- Podejmujesz ryzykowne działania, na które ja bym się nie odważył, *Herr* Oktawiuszu. Chcesz, żebym ci pomógł przy szukaniu?

- Nie. Gdyby ludzie zobaczyli, że spotykamy się jakby nigdy nic, to mogłoby wzbudzić podejrzenia. Moje spotkanie z Klaudiuszem nikomu niczego nie powie. Do zobaczenia rankiem, tutaj.

- Jak sobie życzysz. Przy okazji szczęśliwego Nowego Roku.

- I nawzajem, bracie błaznie - odparłem, ściskając mu dłoń.

Wyszedł tyłem, a ja udałem się na dół, do wspólnej sali.

- Szczęśliwego Nowego Roku, *signore* Oktawiuszu - zahuczał na mój widok Aleksander. - Czym możemy odświeżyć twoje podniebienie tego pięknego dnia?

- Szczęśliwego Nowego Roku, mój hojny gospodarzu. Dzbanem zimnej wody, chlebem i serem, jeśli łaska.

Na jego twarzy zawód połączył się z zaskoczeniem, ale mocno trwałem przy swoim postanowieniu. Przynajmniej przez jedno śniadanie.

Po tym, co wczoraj odkryłem, czułem uniesienie. Pierwszy dowód jak byk. Żegnajcie mętne przecucia. Ruszyła ostra rozgrywka. Ciekaw byłem, kiedy nastąpi kolejny ruch. I kto go zrobi.

Słońce szybko zachodziło, a Zeus i ja niebawem mieliśmy wyruszyć ku północno-zachodniej bramie.

- Widzieliście, żeby *signore* Klaudiusz tędy przejeżdżał? - spytałem strażnika.

- Nie, panie.

- No to gdyby jechał, powiedzcie mu, że zapraszam go na wspólną przejażdżkę. Nie ma zmiłuj, muszę ruszyć to zwierzę.

- Powiem, panie.

Wyjechaliśmy za bramę. Od spadnięcia śniegów droga była rzadko używana. Nic nadzwyczajnego - ten trakt służył kupcom, a o tej porze roku raczej rozsiadano się przy kominku niż wybierano w dalekie kraje. Chodzący na mszę wieśniacy korzystali z północnej drogi.

Lekko spałem Zeusa, by nieco przyspieszył, na co on z miejsca ruszył pełnym galopem, pędząc w górę wzniesienia, jakby na szczycie czekała na niego grzejąca się klacz. Nie było tam żadnej czworonogiej bogdanki i udało mi się z powrotem narzucić mu kłusa, zanim minęliśmy nasz cel i wylądowali w Capodistrii.

Droga odbijała od krawędzi urwiska i znikła między drzewami. Tak blisko morza rosły głównie wawrzyny i wiecznie zielone dęby. Skierowałem Zeusa w lewo, gdzie za szopą Hektora wyrastały głazy. Spojrzałem w dół, ale nigdzie go tam nie było, chociaż z jego wzniesionej z kawałków drewna rezydencji niechętnie unosił się rzadki warkocz dymu,

Punkt obserwacyjny Orsyna znajdował się u wierzchołka utworzonego przez skały trójkąta. Za nim, jakieś pięćdziesiąt stóp w głąb lądu, zaczynał się las, a raczej gęste zarośla dalej poprzerastane sosną aleppo. Doskonała kryjówka każdego wyzbytego zasad moralnych skrytobójcy. Przywiązałem Zeusa do najgrubszego drzewka, jakie udało mi się znaleźć, i zachowując ostrożność, zbliżyłem się do krawędzi urwiska.

Przemysłnie wybrane miejsce. Z niego Orsyno mógł spoglądać ponad przybrzeżnymi wysepkami na pełne morze. Stąd on i jego przodkowie oglądali zastępy Normanów, subtelnych Saracenów i najbardziej podstępnych ze wszystkich, weneckich kupców, których orężem podboju były taryfy celne i monopole.

Obejrzałem się za siebie i ujrzałem wznoszący w oddali grzbiet górski, przecięty tylko rzeką. Stała tam niewysoka wieża obserwacyjna, z której wiecznie czujne straże spoglądały zarówno w głąb lądu, jak i ku morzu. Tobiasz się kiedyś chwalił, że dostrzegł stamtąd pogranicze, ale nie bardzo mu wierzyłem.

Słońce zaczęło się kryć, nabierając oranżowego koloru i ogromniejąc na krawędzi świata. Przez cały czas mego pobytu w Orsyno ani razu nie oglądałem z urwiska zachodu słońca. Była to pora kolacji, czas, w którym błazny zarabiają na chleb lub mrą z głodu. Ileż lat oglądania widowni zza pomalowanych rzęs, skrywania za podwójną maską makijażu i słów, a

teraz rzadki moment samotności, chwala Pana w pełnej rozciągłości, fale uderzające w dole i wiatr szepczący za plecami. Wydało mi się, że mówi:

- Błaźnie.

Roześmiałem się. Teosiu, nie dość, że uzalasz się nad samym sobą, to jeszcze na głos. Sięgnąłem po flaszkę, wyjąłem korek, przytknąłem ją do ust i zaraz splunąłem, kiedy niespodziewany smak wody ukąsił mnie w język. Znowu roześmiałem się z siebie i wydało mi się, że wiatr dołączył się do tego śmiechu.

Ale to nie był wiatr. Jakiś człowiek śmiał się między drzewami, które za mną rosły, i przypomniałem sobie, że przyjechałem, gdyż inny człowiek został zabity przez kogoś ukrywającego się między nimi. Stałem tam, gdzie on stał, pozbawiony jakiejkolwiek osłony.

- Klaudiusz...? - zawołałem ostrożnie. Śmiech rósł tak jak śmiech w moim śnie i drząc, rozejrzałem się za kryjówką. Jakieś dwadzieścia stóp po mojej lewej ręce leżał wielki głaz. Zrobiłem krok ku niemu. Jednocześnie coś zaświstało mi koło ucha i poleciało ku morzu.

- Nie ruszaj się, błaźnie - rozkazał głos z przeszłości. - Chcę się przekonać, co czas z tobą zrobił.

Z tego, co wiedziałem, nawet błyskawiczne przeładowywanie kuszy zajmuje tyle czasu co szybkie policzenie do czterech. Zrobiłem tygrysi skok zakończony saltem i zwinięty w ciasny kłębek przekoziółkowałem po ziemi, lądując za wypatrzonym głazem, zanim dałoby się doliczyć do trzech i pół. Zaraz potem coś sucho trzasnęło o kamień.

- Ależ to irytujące - poskarżył się głos. - Najpierw wiatr znosi mi bełt, a potem ty nie chcesz stać w miejscu.

- Kim jesteś? - krzyknąłem. - Czemu chcesz mnie zabić?

- Nie wiesz?

- A ty wiesz, że igrasz z wiecznym ogniem, używając tej broni?

- Doprawdy? A czemuż to, powiedz?

- Kusza jest zakazana przez Kościół. Odłóż, zanim będzie za późno.

Rozległ się kolejny śmiech. Szedł echami od drzew, wyrażając autentyczne rozbawienie. Chociaż głaz zapewnił mi jaką taką kryjówkę, leżał zbyt daleko od drzew, abym mógł zaryzykować kolejne akrobacje. Ująłem sztylet w prawą rękę, a nóż w lewą. Liczyłem na to, że tamten wyjdzie na otwarty teren, ale wątpiłem, czy zdołam mu upuścić choć trochę krwi, zanim mnie zabije.

- Co za jasność myślenia w obliczu śmierci. Podziwiam. Ale uczyniono jeden wyjątek. Niewiernych można zabijać czym się da i jak się da. Myślę, że w oczach Rzymu podpasz pod tę kategorię.

- Jestem takim samym dobrym chrześcijaninem jak ty! - wrzasnąłem.

- W takim razie powinieneś się martwić o swoją nieśmiertelną duszę.

Wyrzależem zza głazu i grot uderzył tuż nad moją głową, zasypując mi twarz odłamkami kamienia.

- Kim jesteś? - znów krzyknąłem.

- Nie nudź, Feste. Znam cię aż za dobrze i ty znasz mnie. Teraz jestem co prawda starszy, ale i mądrzejszy.

- Czyż nie umiera mędrzec tak samo, jak i głupiec\*?

- Odważne słowa. Nawet błazen potrafi cytować Pismo dla swych celów. Oto coś dla ciebie: Cierń wpił się w rękę pijaka, a przysłowie - w usta głupców\*\*. Wszyscy umrzemy, błaznie, ale wielu umrze przede mną, obiecuję ci to. I wszyscy oni mieszkają za tymi wspaniałymi murami, czekając na śmierć. Ale śmierć czekała na twój powrót. I jak pies do wymiotów powraca, tak głupi powtarza szaleństwa\*\*\*. Niech ten ustęp z Księgi Przysłów teraz będzie twoją dewizą.

Ten człowiek to dopiero umie zrobić pożytek z Pisma, pomyślałem, próbując zgadnąć, gdzie się wynurzy. Usłyszałem powolne, ostrożne kroki kogoś idącego przez zarośla i zacisnąłem palce na broni, licząc na jeden celny cios.

- Biegnij, Feste! - nagle krzyknął Bobo.

Znak na zejście ze sceny to rzecz święta, więc pognałem do lasku, który miałem po lewej stronie, zanurkowałem w dziurę między krzewami i przetoczyłem się za najgrubsze drzewo, jakie dojrzałem. Usłyszałem niedalekie odgłosy walki, krzyk i oddalające się szelesty. Widocznie ktoś przedzierał się przez las. Potem zapadła cisza.

\* Koh 2,16. \*\* Prz 26,9. \*\*\*Prz26,11.

Czekałem. Słońce ukryło swoje oblicze za pasem przybrzeżnych wysepek. Wciąż czekałem, nasłuchując i niczego nie słysząc. W końcu udałem się tam, skąd dobiegły mnie odgłosy szamotaniny, gotów w każdej chwili użyć oręża. Szedłem ostrożnie, bezszelestnie, wypatrując człowieka, który mnie tu wezwał. Miecz pozostawiłem w pochwie - drzewa rosły zbyt gęsto, aby dało się machać długim ostrzem, a zresztą nie byłem zbyt sprawny w tego rodzaju szermierce. W otwartym terenie tamten miał przewagę. Ale operując nożem w lesie, byłem gotów pokonać samego diabła. Nikt nie mógłby mnie zatrzymać

I nikt mnie nie zatrzymał. Pokonanie sześćdziesięciu stóp zajęło mi kwadrans, ale nie napotkałem żadnej przeszkody. Malwolio oddalił się dawno temu, lecz Bobo ciągle tam był. Leżał na wznak, wpatrzony w wierzchołki drzew. Ociekał krwią z głowy. Czerwień wyraźnie odcinała się od pobielonej twarzy. Myślałem, że oglądam trupa, ale przetoczył oczami w

moim kierunku i słabo się uśmiechnął.

- W porządku, przekonałeś mnie - wyszeptał. - On tu jest.

- Możesz chodzić? - spytałem.

- Nie jestem pewien. Tamta wróżka może była zbyt optymistką.

Pomogłem się mu dźwignąć i opadł na kolana, ściskając rękami głowę.

- Chodź, mój koń czeka na ciebie.

- Niech to diabli, wszystko spałałem - stęknął. - Miałem go. Jeszcze krok i byłby mój. I wtedy zdarłem sobie gardło, ratując ci życie.

- Doceniam to, dzięki. Czemu mnie śledziłeś?

Zataczając się, wyszliśmy z lasu i niemal zaciągnąłem go resztę drogi do czekającego Zeusa.

- Rozkazy ojca Geralda - wycharczał Bobo. - „Postaraj się, żeby ten stary łobuz przeżył”, tak mi powiedział. „Kiedy polezie gdzieś sam, idź za nim. Nie chcę, żeby się wpakował prosto w jakąś pułapkę. Jest dla mnie więcej wart niż cała reszta”. Więc zabawiłem się w anioła stróża. Ale zawałem robotę.

Zeus popatrzył na nas złowrogo jak zawsze, ale moje spojrzenie musiało być na tyle ostre, że bez sprzeciwów wytrzymał ciężar nas dwóch. Ująłem rękę Bobo i oplótłem je wokół siebie. Uścisk miał słaby i wspomogłem nieboraka swoją dłonią, aż się skrzywił. Lekko strzepnąłem lejce i Zeus z powrotem popędził na złamanie karku.

Po drodze napotkaliśmy jadącego w górę wzgórza Klaudiusza. Ściągnął wodze.

- Co się stało? - zapytała.

- Malwolio próbował mnie zabić - wyjaśniłem. - Mój kolega po fachu powstrzymał go, ale za swe trudy zarobił uderzenie w głowę.

- Zawieź go do pałacu - rozkazała natychmiast. - Ja sprowadzę medyka. Malachiaszowi powiedz, żeby umieścił go w zachodnim skrzydle.

Wjechaliśmy przez bramę i rozdzieliliśmy się.

Malachiasz raz spojrział na Bobo i trzeba mu przyznać, że zachował się jak należy. Zaniósł go prosto do pokoju, w którym stało czyste łóżko. Zeusa przekazałem bojaźliwemu chłopcu stajennemu i poszedłem za rannym. Kiedy się pojawiłem, Bobo tracił i odzyskiwał przytomność. Płytko oddychał. Przyszła pokojówka, niosąc misę z wodą i ścierkę. Zaczęła zmywać krew. Cios trafił w sam czubek głowy.

- Ten, który go uderzył, musiał być wysoki - ocenił Malachiasz.

- Może - powiedziałem. - Nie widziałem go.

Bobo nagle krzyknął i złapał pokojówkę za rękę. Wrzasnęła i upuściła ścierkę. Usiadł,

nieprzytomnie rozglądając się po izbie. Kiedy mnie dostrzegł, opadł na posłanie.

- Wybacz, zacna damo - powiedział. - Proszę, rób dalej swoje, ale nie ruszaj tego, co mam na twarzy. Wolę umrzeć jako błazen.

- Żyj, żeby cię medyk obejrzał - rozkazałem mu.

- Słyszałem o tym medyku - mruknął. - Jeszcze skończy robotę, którą tamten drań zaczął.

- Czy on będzie żartował, póki go nie pochowają? - szepnął Malachiasz.

- Czemu to miałyby zamknąć mu usta? - odparłem pytaniem.

Medyk stanął w progu i niepewnie się rozglądał. Wskazaliśmy mu pacjenta. Energicznie skinął głową i usiadł na krawędzi łóżka, oglądając ranę.

- Ten człek jest zbyt blady - obwieścił, co doprowadziło Bobo do histerycznego śmiechu, mimo że sprawiało mu to ból. Medyk opatrzył i obandażował ranę. - Stracił trochę krwi - powiedział, skończywszy. - Takie uderzenia w głowę to diabelska sprawa. Ale może przeżyje, może da radę. Jeśli rana napuchnie, mógłbym mu upuścić krwi. Szkoda, że to nie wiosna. Wszystkie moje pijawki wyzdychały i trzeba czekać do odwilży na następne.

- Co, medyk, który nie umie utrzymać przy życiu własnych pijawek...?! - zawołał Bobo. - Umrę jak amen w pacierzu. Medyku, kiedy pijawka jest chora, jak można ją wyleczyć?

- Co na razie z nim robić? - przerwałem mu, głównie aby zapobiec apopleksji medyka.

- Pilnować. Jeśli zacznie oddychać płytko i nieregularnie, wezwać mnie. Dawać tyle wina, ile zechce.

- To mi się podoba - szepnął Bobo. - Z tego, co słyszałem, mają tu świetną piwniczkę. To znakomity medyk. Odwołuję wszystko, co o nim mówiłem.

- Pst - napomniałem go. - Jak nie będziesz grzeczny, pozwolę mu dobrać się do ciebie z nożem.

- Nie ma potrzeby, nie ma potrzeby - skwapliwie rzekł medyk. - Pozwólmy naturze wziąć sprawę w swoje ręce.

- Zawsze to czyni - powiedziałem i wyszedł. Usiadłem przy łóżku. - Więc jak się czujesz? Tak naprawdę.

- Przeżyłem wizytę medyka. To zawsze dobry znak. Tylko się boję, że jak zasnę, to umrę.

- Bzdura - powiedziałem z nieco nadmierną serdecznością.

Ujął mnie za rękę.

- Zostań przy mnie - poprosił. - Opowiedz mi swoje historyjki. Zaśpiewaj piosenkę,



której nie znam.

Wtedy dopiero strach mnie obleciał. Błazen nie dba o ostatnie namaszczenie ani o Kościół, ziemski czy niebiański, ale kiedy chce posłuchać piosenek, by ulżyły jego cierpieniu, to poważna sprawa. Śpiewałem nocy i jednoosobowemu audytorium. Od czasu do czasu bezdźwięcznie powtarzał słowa znanej mu pieśni, uśmiechał się, słysząc puentę nieznanego dowcipu, a kiedy indziej rozpogadzał się tak, jakby napotkał dawno nieoglądanego druha. W końcu zasnął i siedziałem przy łóżku, nasłuchując jego oddechu. Był powolny, ale regularny.

- Też powinienes trochę odpocząć - powiedziała Wiola, stając w drzwiach.

- Jak długo tu siedziałem? - szepnąłem, rozmasowując kark.

- Już nie wiem. Słuchałam twojego śpiewu. Dawno nie zaznałam tej przyjemności. I potrzebuję twojej rady. Co mamy zrobić w tej sytuacji? Czy powinniśmy zaalarmować miasto, że wiemy, że on tu jest? Przynajmniej powiedzmy kapitanowi Perunowi.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo nie wiem, komu ufać poza osobami w tym pokoju. Zamilkła i rozważała moje słowa.

- Myślisz, że Perun jest z nim w zмовie? - spytała.

- Może. Może nawet jest nim.

- Ale przecież wtedy byś go rozpoznał.

- W ogóle go nie ujrzałem. Jedyne słyszałem.

- W takim razie powinienes się tu wprowadzić. Byłbyś bezpieczny.

- Nie. To zwróciłoby uwagę zbyt wielu szpiegujących oczu.

- Wygląda na to, że część waszych planów nie wypaliła. Wie, kim jesteś.

- Prawda. Niestety prawda. Rozważę to. Jednak nadal mogę się swobodniej poruszać po mieście jako Oktawiusz niż jako Feste.

- Niech więc tak będzie. Ale moja oferta zachowuje ważność. Prześpij się trochę. Zaopiekuję się nim.

Skłoniłem się.

- Serdeczne dzięki, szlachetna pani. Za wszystko.

Zostawiłem tam na noc Zeusa i uzbrojony dodatkowo w pochodnię oświetliłem sobie drogę do Słonia. Strażnik przy bramie rozpoznał mnie i wpuścił bez odpytywania. Panował spokój. Musiało być blisko północy i nawet najbardziej zawzięci hulacy odsypiali swoje wyskoki.

Pod Słoniem nie było znaku życia, jedynie z pokoi oberzysty dobiegał chór

pochrapywał. Zanim wszedłem na schody, dobytek miecza. Korytarz był pusty. Szybko minąłem inne drzwi i gdy dotarłem do mojego pokoju, cicho się roześmiałem z mojego zdenerwowania. Pokój był pusty.

Tylko na łóżku leżała para żółtych pończoch z podwiązkami na krzyż\*.

Niebawem waliłem do bram pałacu, ściskając moje rzeczy. Wyszedł śpiący i poirytowany Malachiasz.

- Dzień dobry - przywitałem go radośnie. - Powiedz księżnej, że zmieniłem zdanie.

Kiedy wstało słońce, zajrzałem do pokoju Bobo. Dostrzegł mnie i uniósł dłoń na przywitanie.

- Jak pacjent? - spytałem.

- Jedna noc za mną - powiedział chrapliwie. - Ale głowa mnie wykańcza.

- Moja mnie też.

- Co cię dręczy?

- Noworoczne postanowienie.

- Ach. Ja zwykle dostaję delirki drugiego dnia.

- Ze mną podobnie. Przyjrzyj się temu. - Rzuciłem na jego posłanie bełt do kuszy.

Obejrzał go z ciekawością.

\* Takie nosił Malwolio, myśląc, że podoba się w nich Oliwii.

- Gdzie to znalazłeś? - zainteresował się.

- Przy urwisku, na którym zostaliśmy zaatakowani. Zaskoczony usiadł prosto. Zaraz pożałował tego ruchu, gdy poraził go ból. Opadł na posłanie.

- Jeśli w dalszym ciągu będziesz tak ryzykował - powiedział wolno - to nie gwarantuję ci długiego życia.

- Nigdy cię nie prosiłem o takie gwarancje. Poza tym uznałem, że nasz gość nie wróci tak szybko na to miejsce. Co myślisz o tym bełcie?

- Że to bełt do kuszy. Co mam myśleć?

- Pochodzisz z Toledo.

- Och, i nagle jestem ekspertem od broni - burknął. Jednakże przyjrzał mu się dokładniej. - Dobra, zwróć uwagę na to. - Wskazał paskudnie ostry czubek grotu, który miał romboidalny kształt. - Takie zakończenie nazywa się „szydło”. Rozbija oczka kolczugi z odległości stu kroków. Nie miałeś na sobie kolczugi, co?

- Chyba nie.

- Hmm, mój chłopcze, ten bełt przeszyłby cię na wylot i doleciał do Genui. Jeśli chodzi o jego miejsce pochodzenia, to nie mam zielonego pojęcia. Nietrudno zrobić coś

takiego. Mógł powstać w każdej kuźni między Toledo a Damaszkiem.

- Dzięki - powiedziałem, odbierając pocisk.

- Właśnie coś przyszło mi na myśl. Jest inny rodzaj grotu bełtu, kwadratowy w przekroju. Strąca z konia rycerza w zbroi płytowej, zmieniając go w bezradnie przebijającego kończynami robaka. Może tak wykończono Orsyna.

- Zmiażdżona czaszka i sprawca nawet nie zostawił śladów - mruknąłem. - A przy jasności bełt można odszukać na plaży. Albo uwiązać do niego linkę i ściągnąć go z powrotern. Oczywiście dobrze wycelowany kamień też załatwiłby sprawę.

- Albo wyrzucony z procy. Ale kusza to celniej sze narzędzie. To mogła być jego ulubiona broń. Broń tchórza.

- Możemy go o wiele oskarżyć, ale chyba nie o tchórzostwo.

Spojrzał na mnie dziwnie.

- Można by pomyśleć, że go podziwiasz - zauważył.

- Bynajmniej. Ale jego spryt robi na mnie wrażenie. Ta zemsta to jakieś szaleństwo. Jak długo ją planował? Przebranie, rozpoznanie, infiltracja. To wszystko dowodzi niezwykłego umysłu.

- A potem chybił, kiedy miał cię na widelcu.

- Nie. Chybił celowo. Pierwszym strzałem tylko się ze mną zabawiał. Ale byłoby mniej zabawnie, gdyby mnie zabił, wpierw się nie drażniąc.

- Może - powiedział, wciąż sceptyczny. - Jednak w wydarzeniach tej nocy było coś dziwnego. Nie mogę sobie uświadomić, w czym rzecz, ale kiedy moja łepetyna znów będzie pracować jak zwykle, dojdę, o co chodzi.

- Spróbuj teraz pomyśleć. Jak on wyglądał? Zamknął oczy.

- Zaszedłem go od tyłu. Miał na sobie mnisi kaptur, brązowy. Ustawił się w miejscu, w którym miał czystą pozycję strzelecką. Wtedy krzyknąłem. Okręcił się i uderzył mnie kuszą. Dojrzałem czarną bródkę w szpic i długie, schodzące do niej wąsy. Nie widziałem wyraźnie twarzy... miał słońce za plecami, kaptur zakrywał sporą jej część. Zobaczyłem gwiazdy za dnia, po czym długo oglądałem wierzchołki drzew. Wybacz, niewiele potrafię ci pomóc.

- Czy nie mógł to być żaden z naszych kandydatów?

- Broda nie pasuje do żadnego. Więcej, nasz szacowny przedstawiciel Ojca Świętego jest gładko ogolony. Albo Mal-wolio nie jest nikim z nich, albo któryś z nich przykleił sobie brodę z tej radosnej okazji, że miał cię naszpikować strzałami.

- Może tak było. Może zależy mu na tym, bym go ujrział w jego dawnej postaci,

dopiero wtedy będzie miał poczucie, że zemsta jest całkowita. Zastanawiam się, czy warto zajrzeć do klasztoru.

- Prawdopodobnie nie. Jeśli tam przebywał, w co wątpię, to już się zmył. Pewnie będzie się ukrywał aż do następnego posunięcia. A co ty zrobisz? Ujawnisz się?

- Jeszcze nie.

- Dlaczego? Nie ma wielkiego sensu się maskować, gdy on już wie, kim jesteś.

- Może nie. Ale coś mi mówi, że powinienem jeszcze przedłużyć tę maskaradę. Jeśli się rozstanę z Oktawiuszem, całe miasto się dowie, dlaczego to uczyniłem, i nigdy go nie złapiemy.

Długo się mi przypatrywał.

- Przepłaszając go, może ratujemy kilkoro ludzi. Nie zastanawiałeś się nad tym?

- Zastanawiałem. Ale to działanie na krótką metę. W końcu powróci. Jego szaleństwo uśnie tylko chwilowo. Oktawiusz pozostaje.

Zamknął oczy.

- Przeraża mnie czasem, jak igramy życiem niczego nieświadomych ludzi.

- Odpocznij. Rozpuściliśmy wieść, że rozwaliłeś sobie głowę, przewracając się po pijaku, i dochodzisz do siebie w pałacu. Nikt nie będzie tym zaskoczony. Mam przyprowadzić Feza?

- Dobry Boże, zapomniałem o nim! Nigdy mi tego nie wybaczy. Proszę, jeśliś tak łaskaw. I postaram się mocniej ruszyć głową, skoro nie ma ze mnie innego pożytku.

Zabrałem Feza ze stajni bursy i zaciągnąłem go do pałacu. Po drodze zatrzymał mnie przejeżdżający Perun.

- No, proszę, kupcze, wierzchowiec odpowiedniejszy dla twojej pozycji - rzekł. - Widziałem wielu, którzy z wielką pompą przyjechali na koniu, ale wyjechali na ośle.

- Znakomicie, kapitanie. Może znów powinniśmy się pościgać, ku rozrywce i zabawie miasta.

Nachmurzył się.

- Twój czas tu się kurczy. Nie skończyłeś jeszcze swych interesów?

- Nie, ale robię postępy. Dzięki za życzliwe zainteresowanie.

- Tak, wiem. Teraz dzięki chytrej sztuczce zamieszkujeś w książęcym pałacu.

- Proszę?

- Zatrudniłeś tego wesołka, żeby cię tam wprowadził. Ile trzeba zapłacić, żeby ktoś sam rozwalił sobie głowę?

Popatrzyłem na niego ze zdziwieniem.

- Czyżbyś był tak cyniczny, że nie chce ci się wierzyć, iż ktoś może być zdolny do miłosiernego uczynku? - spytałem.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Ohydny grymas.

- Nie wierzę w miłosierdzie - wyszczał. - Pamiętaj o tym, jeśli zamierzasz się tu jeszcze pałętać za pięć dni. - Zawrócił konia i odjechał.

## Rozdział XII

*Głupi uważa swą drogę za słuszną.* Prz 12,15

Wiek szość dnia spędziłem, przeszukując port, tawerny i zamtuzy, wypatrując mężczyzny z trójkątną bródką, ale na próżno. To było rozległe miasto, w którym można się łatwo zgubić lub też zapłacić za milczenie o swym lokum.

Koło południa przystanąłem Pod Słoniem, chcąc zawiadomić Aleksandra o zmianie miejsca zamieszkania i zapłacić rachunek. Byli tam panowie Andrzej i Tobiasz i przywołali mnie do swego stołu.

- Gdzieżeś ty się ukrywał? - spytał Tobiasz. - Ominęły cię wszelkie zabawy. Kąpałeś się na próżno czy jednak któraś z naszych dziewczeczek przytuliła cię do łona w Nowy Rok?

- Nie poszcęściło mi się - odparłem roześmiany. - Tylko się przepfowadziłem. Otrzymałem niezwykle uprzejme zaproszenie do pałacu księcia.

- Proszę, proszę, fortuna uśmiechnęła się do ciebie - pogratulował mi pan Tobiasz. - A jak się miewa Marek?

- Jeszcze się z nim nie spotkałem - wyznałem. - Ale słyszę, że nieco lepiej.

- Odwiedziłem go tego przedpołudnia - wtrącił się pan Andrzej. - Wyraźnie jest z nim lepiej, ale mam nadzieję, że będą go trzymali w domu do wiosny. Te zimowe wiatry mogłyby tylko przyspieszyć nawrót choroby.

- Bzdura - skarcił go Tobiasz. - To dla niego szansa. Niech pobawi się z kolegami na świeżym powietrzu, pojeździ konno. Nikt tak nie potrafi popsuć rekonwalescencji jak te wszystkie chuchające niewiasty. Mało go nie uhołubiły na śmierć. A co z Wiolą? Jak miewa się pani?

- Pozwolono mi tylko złożyć krótki hołd - powiedziałem.

- A jak o-o-na... - Andrzej przerwał, nie mogąc opanować jąkania.

Tobiasz wybuchnął śmiechem i grzmotnął go w plecy, mało nie rozgniatając biednego szlachetki.

- Tyle czasu minęło, a ten wciąż się jej boi - rzekł, dławiąc się ze śmiechu. - Kiedyś

się z nią pojedyńkował, kiedy jeszcze wszyscy braliśmy ją za mężczyznę. Niech mnie diabli porwą, jeśli to nie była najzabawniejsza rzecz, jaką oglądałem, parka wystraszonych szermierzy, każdy przekonany, że wybiła jego ostatnia godzina. A potem odkryliśmy, że bil się z dziewczęciem! Boże, ten błazen Feste odgrywał to dosłownie wieczór w wieczór, przez cały rok i zawsze nas to bawiło.

- Doprawdy, Tobiaszu, czemu nie potrafisz przestać rozpamiętywać przeszłości? - burknął Andrzej.

- Bo warto ją rozpamiętywać - odparł Tobiasz. - To był najlepszy okres w naszym życiu. To był okres, w którym się zakochałem i zdecydowałem tu zamieszkać.

- Ja wolę rozpamiętywać teraźniejszość - rzekł Andrzej.

- A ten kupiec jako spekulant rozpamiętuje przyszłość - zakonkludował pan Tobiasz. - Siedzimy tu we trzech jak te

Prządky, tyk że nie potrafisz uprząć ni niteczki. Ale wracając do tematu... jaka wydała ci się Wiola?

- Nie ujrzałem jej twarzy. Nadal nosi welon. Tobiasz spojrzał na Andrzeja i wzruszył ramionami.

- Każdemu, co mu pisane. Albo jej, należałoby rzec. Lecz to też niezbyt zdrowe. Za bardzo się pogrążyła w żalobie. Przeznaczyć na to miesiąc, potem rozejrzeć się za nowym oblubieńcem, mówię. Niebawem zamieni się w zakonnicę, zapamiętajcie moje słowa, i świat straci niezwykle powabną niewiastę. Mam nadzieję, że po moim odejściu Maria dobrze i długo się poryczy, odbębni całe dwa tygodnie godnej sza-cuneczku żaloby, a potem przewinie się przez wszystkie oberże w mieście, szukając zastępcy.

- Czemu miałabym tracić na ciebie dwa tygodnie, ty pijacki potępieńcze? - obwieściła Maria, stając w drzwiach.

- Dobry Boże, oto i moja jejmość! - zaryczał pan Tobiasz. - Chodź w me ramiona, miłości moja, i daj mi całusa.

- Przed tymi wszystkimi ludźmi! Nie dopuszczę do takiego skandalu - zaprotestowała, jednakże podeszła do naszego stołu.

- Czy bylibyście uprzejmi się odwrócić, gdy całuję żonę? - wykrzyknął, rozglądając się po izbie. Nie było takiego, co by nawet drgnął. Spojrzał na nią, wzruszył ramionami, a potem złapał ją w objęcia. - Prosiłem, gołąbeczko moja, grzecznie prosiłem.

- A, widziałam - rzekła. - Widzi mi się, że nie ma na to siły. - Objęła go, no, prawie go objęła i przycisnęła usta do jego ust z taką mocą, że udusiłaby większość mężczyzn, aby zaraz tchnąć w nich życie.

Zgotowaliśmy gorący aplauz temu niezwykłemu stadłu.

- Czy mogę ci przedstawić tego oto godnego kupca Oktawiusza? - spytał szlachcic, gdy po długiej chwili wreszcie wyzwolił się z objęć małżonki. - Moja kochająca żona, Maria.

Skloniłem się nisko i odpowiedziała mi uśmiechem; takim samym zjadliwym grymasem, jaki pojawił się na jej obliczu, gdy namówiono ją na podrobienie listu Oliwii, który miał zwieść Malwolia. Od tamtej pory przybrała na wadze, chociaż na de męża wciąż prezentowała się nader wiotko.

- Jako ten, który nigdy nie wszedł w święty związek małżeński, stoję w podziwieniu wobec tak idealnej wybranki - powiedziałem, unosząc puchar.

- Czy on pije miód? - spytała męża. - Pewnikiem, gdyż słodycz kapie mu z ust. Nie cierpię komplementarstwa, panie, chyba że kieruje się ono ku mnie, więc gadaj ile wlezie.

Znów się skłoniłem.

- A co się tyczy waszej hultajskiej dwójeczki, to żeście już się spóźnili na obiad. Nasza kolej na babeczki z bakaliami, Andrzej?

- O, tak - rzekł zapytany. - Tego roku stawię się niezawodnie. Spróbuję babeczek codziennie w innym domu przez cały dwunastodniowy okres.

- A gdy dopadnie cię niepowodzenie, co wtedy planujesz? - spytał pan Tobiasz.

To zaskoczyło Andrzeja, lecz odparł:

- Zrobię, co chciałem zrobić, ale tym razem skutecznie.

- Czy świąteczne babeczki naprawdę mają taką cudowną moc, że przynoszą szczęście? - spytałem.

- Przekonamy się - odparł. - A jeśli wyjdzie inaczej, nie szkodzi. Szczerze mówiąc, uwielbiam je same w sobie.

- Nigdy bym nie zgadła - powiedziała Maria, krytycznie przypatrując się jego wątlej postaci. - Mnie wystarczy na nie spojrzeć i zaraz przybywa mi sadła.

- Pamiętam, kiedyś tak o mnie mówiła - oznajmił pan Tobiasz, puszczając oko do całego zebranego towarzystwa. Zarobił za to żartobliwe trzepnięcie otwartą dłonią po ramieniu.

- I pomyśleć, żeś wierzyła, że wychodzę za eleganckiego pana - powiedziała ze smutkiem Maria. - Miło było cię poznać, *signore* Oktawiuszu. Masz stawić się u nas w tygodniu na obiedzie.

Ukloniłem się i małżonkowie wyszli.

W chwilę potem wpadł Fabian i mrugnął do mnie.

- Widziałeś gdzieś tego błazna? Miał mi pomóc w próbie, nauczyć demony, jak mają

się przewracać.

- Niestety, wpieryw sam powinien wziąć lekcję upadków - powiedziałem. - Słyszałem, że wczoraj wywinął kozła po pijaku i teraz kuruje się w pałacu.

- Nieszczęście - burknął zasepiony. - I to właśnie kiedy błazen byłby przydatny, i kiedy się faktycznie napatoczył. Postawić ci pucharek?

Nie było niczego innego, czego bym bardziej pragnął, ale grzecznie podziękowałem i wyszedł.

Tej nocy dostałem dreszczy i byłem zadowolony, że wcześniej mało co jadłem, bo niewiele brakowało, a jeszcze raz obejrzałbym swoje menu. Spałem źle, słysząc w snach ten sam złowieszczy śmiech. To śmiał się Malwolio, który stał się moim żonglującym partnerem w lesie, posyłając mi maczugi z taką prędkością, że zawstydziłaby brata Tymoteusza. Wiły mi się w rękach, kiedy je odrzucałem, i zobaczyłem, że to nie maczugi, tylko ludzie. Nasz duet żonglował żywymi istotami, podczas gdy Orsyno leżał już połamany i zmiażdżony u moich stóp.

Obudziłem się, czując żółć na języku i gorycz w sercu. Na miękkich nogach podszedłem do okna, szeroko otworzyłem okiennice, zgarnąłem garść świeżo spadłego śniegu i roztarłem go na twarzy. Dalej czułem się równie podle jak wprzódy.

Moim pierwszym obowiązkiem było odwiedzić rannego kompana. Kiedy Bobo mnie ujrział, uniósł słabowitą dłoń.

- Jak poszukiwania? - spytał.

- Marnie - powiedziałem. - Jak myślenie?

- Też marnie. Głowa mnie boli od myślenia, kiedy jestem zdrowy. Możesz sobie wyobrazić, co teraz czuję. Przynieśli mi trochę jedzenia. Masz ochotę?

Żołądek zaprotestował skurczem, ale wmusiłem w siebie nieco chleba.

- Zastanawiałem się nad jedną rzeczą - ciągnął dalej Bobo. - Jak ci się wydaje, skąd Malwolio się dowiedział, kim jesteś?

- Może odszukał mnie w domu cechowym, zanim tu przybył. Może jakiś jego szpieg przysłał mu mój rysopis. Może zdradził mnie ktoś w cechu.

- To przerażające przypuszczenia. Masz coś na ich poparcie?

- Wolę stawiać niczym nieuprawnione wnioski. Oszczędza się czas.

- Jest jeszcze jedna przeszkoda do przeskoczenia. Jeśli wiedział, kim jesteś, dlaczego tak długo czekał, zanim cię zaatakował?

Oderwałem piekielnie twardą skórę i chwilę ją żułem.

- Chodziło o sposobność? - zastanawiałem się głośno.



- Miał masę sposobności. Myślałeś, że nikt cię nie rozpoznał, więc wałęsałeś się niefrasobliwie po mieście i okolicach. Mroczny zaułek i szybki cios nożem. Kupiec oddaje ducha i żadnych podejrzeń.

- Ale wtedy nie miałby się czym pysznić.

- Święta prawda - przyznał mi rację. - Ale mógł żywić jakieś podejrzenia. Czemu czekał?

- Poddaję się. Co myślisz? Leżał, drapiąc się po czaszce.

- Dam ci znać, co myślę, kiedy następna myśl przyjdzie mi do głowy. Dziś nie liczę na więcej. - Zamknął oczy i niebawem głęboko oddychał.

Zupełnie jak błazen, który stawia zagadki i nie podaje rozwiązań. Zaczął chrapać, co całkowicie odebrało mi zdolność myślenia. Wyszedłem na palcach i ujrzałem zbliżającą się odzianą na czarno damę. Skłoniłem się.

- Dzień dobry, szlachetna pani. Rozejrzała się i dopiero wtedy uniosła woal.

- To prawdziwa księżna - powiedziała Wiola. - Jak twój towarzysz?

- Jeszcze nie wydobrzał, jeśli mam to ocenić. Czy Klaudiusz się dziś pokaże?

- W tym świętym okresie Klaudiusz zwykle udaje się do pewnej prywatnej kaplicy i nieustannie się modli. Obowiązki towarzyskie księżnej są ważniejsze niż handlowe intendenta.

- Sprytnie pomyślane. Możemy się przejść?

Skinęła głową i opuściła woal.

- Jak się miewa twój syn? - zapytałem, gdy szliśmy po schodach wiodących do głównego budynku.

- O wiele lepiej, dziękuję. Teraz odwiedza go Andrzej. To dar niebios dla Marka. Czyta mu, grają w szachy. To dobrze, że po tym, jak stracił ojca, ma przy sobie opiekuńczego mężczyznę.

- Nawet jeśli tym mężczyzną jest pan Andrzej?

- To nieuprzejme, Feste. Mimo wszystkich jego bzików to łagodna postać i jako taka zasługuje na pochwałę w tych niełagodnych czasach.

- Święta prawda, pani - przyznałem jej rację. - Markowi zostało tak niewiele dzieciństwa i teraz przedwcześnie narzucono mu ciężar tytułu.

- Bardziej martwi mnie to pierwsze. Jest jak ja... zdeterminowany, inteligentny. Kiedy będzie gotowy, sprawdzi się znakomicie jako władca tego miasta.

Próbowałem odgadnąć jej uczucia w tej mierze, ale ton jej głosu był równie zawoalowany jak twarz. Bez żadnego szczególnego celu przechadzaliśmy się po korytarzach,

podczas gdy wokół biegała służba, nosząc posłania, nocniki i świeże sitowie. Rozrzucone po podłogach oczyszczało powietrze z ciężkich woni.

- Co wtedy będziesz robiła? - spytałem. - Przyjmiesz rolę starzejącej się matki księcia?

- Ale ja jestem starzejącą się matką księcia. To łatwa rola do grania.

- A Klaudiusz?

- Klaudiusz w dalszym ciągu będzie służył księciu.

- A Wiola? Co z nią się stanie?

Zatrzymała się przy oknie i wyjrzała w kierunku morza.

- Kimże jest Wiola? Rolą bez znaczenia. Taka jej dola, taki jej los, Feste. Jak w wypadku większości kobiet, tyle że mnie udało się wziąć udział w jednej przygodzie.

Odwróciła się, ale niełatwo mi było dojrzeć wyraz jej twarzy.

- Biedny potworze - uzaliłem się nad nią. - Twoje życie nie musi się teraz skończyć.

- Naprawdę? Jakie czekają mnie widoki na przyszłość? Nie mam wielkich szans na powtórne zamążpójście. Mój majątek należy teraz do mojego dziecka. Czy mam starać się o pozwolenie i posag od jedenastoletniego chłopca? - Smutno się roześmiała i znów spojrzała ku morzu. - Wiesz, w sylwestra o północy jako mała dziewczynka spojrzałam w lustro, zastanawiając się, czy ukaże mi się przyszły małżonek.

- I co ujrzałaś, pani?

- Tylko siebie. To zresztą głupi przesąd.

Coś załśniło pod woalem, przez chwilę odbijało światło, a potem ześlizgnęło się po jej policzku.

- Za pozwoleniem, szlachetna pani - rzekłem, kłaniając się. - Teraz na jakiś czas muszę się oddalić.

- Był czas - powiedziała powoli - w którym Feste powiedziałby coś zabawnego, aby pocieszyć mnie w moich strapieniach.

- Kim jest Feste? - spytałem. - Jeśli Wiola jest rolą bez znaczenia, w takim razie Feste jest jeszcze bardziej pozbawiony znaczenia, gdyż Feste to tylko oszustwo.

- Nie ten, którego znałam - rzekła, nadal wyglądając ku morzu.

Znów się skłoniłem i zostawiłem ją tam.

Na rynku przeprowadzano kolejną próbę widowiska, dostarczając niezamierzonej uciechy widzom. Fabian wydzierał się na biedne demony.

- Naprawdę, to woła o pomstę do nieba! - krzyczał. - Żaden z waszej czwórki nie przewrócił się wiarygodnie. Astarte, słuchaj, wystarczy, że sobie wyobrazisz, że jesteś panem Andrzejem, i ci wyjdzie.

To dopiero była inspirująca wskazówka. Cała czwórka popatrzyła po sobie w przeblysku wspólnego olśnienia i jednocześnie upadli na tyłki. Chór ryknął śmiechem i Fabian zaklaskał.

- Dobra, a teraz, gdzie hrabia? - spytał, rozglądając się. Sebastiana nie było nigdzie w pobliżu. - Pewnie siedzi w oberży - mruknął, po czym dostrzegł mnie. - Dobry kupcze, byłbyś tak uprzejmy, zatrzymał się Pod Słoniem i powiedział Jego Eminencji, że jest tu potrzebny?

- Poinformuję go, że niebiosa i piekło czekają na niego - odparłem i pospieszyłem do gospody.

Był tam i, to od jakiegoś czasu, oceniając poziom upojenia trunkami, który osiągnął.

- Oto podróżujący kawaler! - zaryczał, kiedy wszedłem do środka. - Podejź i wypij, gdyż jutro możemy umrzeć. Albo co gorsza ożenić się. - Objął mnie ciasno ramieniem i przyłożył mi do ust puchar. - Pij, przekłety. Pij za zdrowie mojej żony.

- Wybacz - udało mi się wykrztusić. - Przysięgłem nie pić w nowym roku.

- To tak jak ja - wykrzyknął zaskoczony. - Jak łatwo się łamie przysięgi. Przysięgi na nowy rok, przysięgi kościelne, przysięgi małżeńskie. Coś mi się zdaje, że wpadłeś w oko mojej żonie, więc lepiej wypij jej zdrowie, jeśli nie chcesz mi się narazić.

- Wody, Aleksandrze - powiedziałem, posyłając rozpaczliwe znaki.

Agata przybiegła z kubkiem. Sebastian wytrącił go jej z ręki i krzycząc przeraźliwie, przykucnęła za ladą. Dostrzegłem, że oberżysta wyciąga spod fartucha krótką pałkę, ale obawiał się nią dzielić miejscowego notabla. Sebastian również to zauważył i zaczął się macać po boku, szukając miecza.

- Dość! - krzyknął, dobywając go i machając nim na prawo i lewo, podczas gdy najbliższy siedzący goście rzucili się na podłogę. - Ten gbur wypije zdrowie mojej żony, i to zanim upuszczę mu krwi i zamienię ją w wino. Wiecie, mogę to uczynić. Tego roku jestem Jezusem.

Nie darzyłem przesadnym szacunkiem mojego noworocznego postanowienia, więc uniosłem do ust pucharek, którym mnie maltretował.

- Za zdrowie twojej szlachetnej żony - powiedziałem i opróżniłem naczynie.

Spojrzał na mnie ze znużeniem i opuścił miecz.

- Niech was wszystkich diabli porwą - zacharczał i zaczął ronić łzy.

Fabian pojawił się w drzwiach i od razu dojrzał, co się dzieje.

- Och, dobry Boże, hrabio - westchnął. - Weźcie się w garść. Sprowadziliście na siebie wstyd na oczach wystarczająco wielkiej gromady. Chcecie, żeby reszta miasta ujrzała was w tym stanie?

- A jakie to ma znaczenie? - wybełkotał Sebastian.

- Spokojnie, czeka na was próba. Wielu na was liczy, panie hrabio. To zaszczyt odgrywać Pana Naszego. Zachowujcie się godnie.

Sebastian wyprostował się, marnie parodiując godną postawę.

- Nie zniosę takiego tonu od sługi - oświadczył wyniośle. - Prowadź mnie na próbę tak, jak przystoi człękowi twej pozycji.

Fabian długo stał jak wryty, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie. Sebastian poszedł za nim, a ja ubezpieczałem tyły, na wypadek gdyby się wywrócił.

Ale jak się okazało, nie byłem dość czujny. Wszedł prosto na pierwszą zamarniętą kałużę, na którą natrafiliśmy, i obie nogi wyskoczyły mu w górę, jakby go bies opętał. Tyle mi się udało, że złapałem go za głowę, zanim nią wyrznął o bruk. Fabian wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

- Patrzajcie, oto prawdziwa próba boskości - wykrztusił. - Chociaż Jezus potrafił chodzić po wodzie, jego odtwórca nie potrafi nawet ustać na lodzie.

Sebastian zaczął kląć i dźwigać się na nogi, szukając miecza. Znow się poślizgnął i Fabian zmierzył go wzrokiem, zaciskając usta z dokładnie odmierzonym wyrazem pogardy.

- Jesteście marnym cieniem mężczyzny, hrabio - oświadczył. - Dołączcie do nas, kiedy będziecie do tego zdolni. Pierwej spodziewam się drugiego przyjścia Chrystusa. - Odwrócił się, zrobił krok ku bramie i runął w miejscu na ziemię.

Teraz to hrabia nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Zachłystywał się i używając miecza jako podpórki, dźwigał się na nogi.

- Rusz się, bratku! - krzyknął. - Obaj pocałowaliśmy kocie łby, więc jesteśmy po równo. Jest ze wszech miar słuszne, aby upadłe dusze razem szły do piekieł. Dawaj rękę.

Tyle że Fabian się nie podniósł, a lód i śnieg wokół niego powoli zaczęły się czerwienić.

Porwałem hrabiego za ramiona i z siłą, o którą się nie podejrzewałem, zawlokłem go za niski mur.

- Co też... - zaczął, nie rozumiejąc, co zaszło. Dałem mu znak, żeby siedział cicho.

- Patrz - rzekłem, wskazując placem próg drzwi Pod Słoniem.

Hrabia poszedł wzrokiem za moim palcem i zbiegał na twarzy, gdy ujrzał wbity w drewno bełt kuszy. Wyrzależem za murek, ale nie dostrzegłem nikogo.

- Straż! - krzyknąłem. - Hej, straż!

Od bramy przybiegło dwóch, potem kolejni. Po chwili przygalopował Perun i nawet zeskoczył z siodła, tak straszliwy był widok, który miał przed sobą. Uniósł ku mnie wzrok.

- Kto to zrobił? - spytał ostro.

- Nie wiemy - odparłem. - Wychodziliśmy z gospody, kiedy się to stało.

- Wychodziliście? - Obejrzał się i dostrzegł ukrytego za murem Sebastiana. Przewrócił oczami. - Zabierzcie hrabiego do domu, do żony - warknął i dwaj żołnierze, uśmiechając się szyderczo, postawili Sebastiana na nogi.

- Ale ja mam próbę - zaprotestował.

- Już nie - ostro przywołał go do porządku Perun. - Jeszcze chwilka waszego czasu, panie hrabio. Czy ten człowiek był z wami, kiedy się to wydarzyło?

- Tak - powiedział Sebastian, zyskując moją natychmiastową wdzięczność.

- Ty, kupcze. Pokaż mi, gdzie stał, kiedy został trafiony.

- Tam, gdzie teraz leżą jego nogi. Runął jak podcięty.

- Podnieście go - rozkazał Perun i dwaj jego żołnierze unieśli świętej pamięci intendenta, tak że jego stopy zadyndały nad ostatnimi śladami, jakie kiedykolwiek miał odcisnąć. Kapitan obejrzał rany, wlotową i wylotową, podszedł do bełtu i stamtąd spojrzął na trupa. - Zastrzelony z wysoka - ocenił.

Wszyscy się odwróciliśmy i spojrzeliśmy w górę. Za murem wznosiło się otaczające fasadę katedry rusztowanie.

- Ruszajcie - powiedział Perun i czterech żołnierzy rzuciło się w tamtym kierunku.

Muszę przyznać, że sprawność jego działania w sytuacji kryzysowej wprowadziła mnie w podziw.

- Pojmijcie kupca i zaprowadźcie go do ciemnicy - rozkazywał dalej.

Moja ocena jego osoby uległa raptownej zmianie, gdy dwaj strażnicy założyli mi kajdany i niezwłocznie zawlekli we wskazane miejsce.

Umiejętność robienia koziołków jest wielce przydatna, gdy wrzucają cię do ciemnicy. Bez trudu zapanowałem nad moim ciałem i usiadłem na niskiej ławie. Drzwi zaryglowano. To był rodzaj celi aresztanckiej, na tyle dużej, że mogło w niej przebywać siedmiu nieszczęśników, jeśli na zmianę nabierali oddechu. Daleko jej było do niektórych prawdziwych lochów, które zwiedziłem. Jednakże nie dało się jej uznać za najodpowiedniejsze miejsce do spędzenia popołudnia, zwłaszcza że tym sposobem znalazłem się całkowicie na łasce Peruna. A pamiętałem, że łaskawość nie należała do jego mocnych punktów.

Strażnicy zabrali mi miecz i nóż, ale przegapili sztylet w rękawie. Przygotowałem go do szybkiego użycia, ale było zbyt wiele drzwi między mną i wolnością. Postanowiłem nie stosować tego środka perswazji.

Zanim Perun odryglował drzwi, dokładnie obejrzałem każdy kamień i przeczytałem każdy wydrapany na nich napis. Sam mnie rozkuł, po czym odwrócił się do mnie plecami i zaprowadził wąskimi schodami do swojej izby, nie zaszczycając ani jednym spojrzeniem. Powlokłem się za nim pokornie, nie czyniąc niczego, co nastreczyłoby wymówkę do samoobrony.

Zasiadł za zwykłym sosnowym stołem, na którym obok oliwnej lampki leżał stos map. Wskazał mi stołek po drugiej stronie stołu.

- Rozmawiam z więźniami w dwóch izbach - rzekł. - W tej mówią bez pomocy. W drugiej z pomocą.

- Ta mi się podoba - powiedziałem bezzwłocznie. - Bardzo mi się podoba. O czym chcesz porozmawiać?

Odchylił się i położył nogi na blacie.

- Zjawiając się tu, stworzyłeś fascynujący dylemat takiemu prostemu żołnierzowi jak ja.

- Nigdy bym cię nie nazwał prostym, kapitanie.

- To prawda - zgodził się ze mną uśmiechnięty. - Ale żołnierzem tak. Wyślijcie mnie w bój, a nie ma takiej zawilosci terenu i taktyki, której bym nie ogarnął. Przywiążcie niechętnego informatora do koła, a wylechtam z niego wiedzę w szóstą część godziny. Proste zadania, oczywiste cele, to lubię. Ale szersze intrygi to nie mój zakres. Nie jest tajemnicą, że uważam cię za szpiega. Spokojnie, spokojnie - skarcił mnie, kiedy zacząłem protestować. - Każdy, kto przybywa do miasta o tej porze roku, jest szpiegiem. Jasne, twoja legenda lepiej trzyma się kupy niż większość innych, ale podejrzewałbym samych Trzech Króli, gdyby w Wigilię pojawili się w Orsyno.

Przyglądaliśmy się sobie pilnie podczas tej rozmowy; oczy nam nieco biegały. Obaj wiedzieliśmy, że kłamię. Uważałem, że on również, ale tylko on wiedział, czy na pewno. Przywykłem wykręcać się od jasnej odpowiedzi, ale zza maski pobielonej twarzy. Okazało się to trudniejsze, kiedy mogłem ukryć swoje myśli tylko za minami. Tak więc gdy on obserwował mnie, usiłując przyłapać na kłamstwie, ja obserwowałem jego, próbując wysledzić jego kłamstwa. Weź jednego intendenta, dodaj czas, ciężki los, więzienie, wojny, szaleństwo. Czy suma da Peruna? Dostrzegłem niezauważone wcześniej szczegóły. Czy Malwolio miał tę niewielką bliznę nad lewym okiem? Tego kształtu nos? Nie potrafiłem sobie przypomnieć. Blizny można zarobić, nos może ulec złamaniu i przeobrażeniu.

- Przepraszam, że zepsułem ci święta.

- Och, wprost przeciwnie, dzięki tobie są ciekawe. Jak powiedziałem, mógłbym cię

zabrać do drugiej izby i wydobyć informacje, na których mi zależy, ale jest pewien problem. - Urwał, żeby zrobić większe wrażenie.

- Jaki to? - spytałem wreszcie, ciągnąc nasz dialog. Kiwnął z aprobatą głową.

- A taki, że nie wiem, dla kogo pracujesz - rzekł. - W tych niespokojnych czasach jest zbyt wiele możliwości.

Gdybym zacieśniając je, przypadkiem spowodował twoje zejście, mógłbym w dłuższej perspektywie sprawić miastu więcej złego niż dobrego. Czy Wenecja zaatakuje? Czy stawimy jej opór, jeśli do tego doszło? Czy nasz daleki węgierski pan poczuje się dotknięty? A co z Saracenami? I tak dalej. Nie palisz się mnie oświecić, prawda?

- Obawiam się, że jedynie jeszcze bardziej zaciemniłbym dostępny ci obraz sytuacji, kapitanie. Jestem kupcem, ni mniej, ni więcej.

- Dobrze powiedziane - pochwalił mnie, uderzając otwartą dłonią w stół. - I w stosownym czasie cię uwolnię. Wybacz mi, że tak dysponuję twoją osobą, ale zamierzam się tobą posłużyć do wyciągnięcia przynajmniej okruszka informacji.

- Jakiej to?

- Ciekaw jestem, kto ze szlachty na tyle cię ceni, by zażądać twojego uwolnienia. Zawsze dobrze znać powiązania w wyższych sferach.

- A nie powinno cię bardziej ciekawić, kto zabił Fabiana?

- W tej chwili moi podwładni przeszukują miasto. A ja prowadzę własne śledztwo.

- Jakim sposobem?

- Rozmawiając z tobą.

Staralem się przybrać wyraz stosownego zdziwienia, ale byłem zmęczony.

- Podejrzewasz mnie, że oprócz tego, iż jestem szpiegiem, również morduję?

- Nie - odparł.

- W takim razie jestem w konfuzji.

Dobry sztyletu i elegancko czyścił sobie paznokcie.

- Trzech ludzi wyszło rządkiem ze Słonia. Jeden został zabity bełtem z kuszy, wystrzelonym pod niezwykle ostrym kątem i z niezwykle dużej odległości. Albo kusznik był wyjątkowo zręczny, albo chybił i trafił Fabiana. Tak się składa, że ten intendent był irytującym osobnikiem, to pewne, ale nie na tyle, by narobić sobie śmiertelnych wrogów. Na to był za ostrożny.

- Więc myślisz, że bełt był przeznaczony Sebastianowi?

- Lub tobie. Powiedz mi, masz wrogów w Orsyno?

- Tylko ciebie i jak wiem, nie od czterech dni.

Zaśmiał się, po czym spojrział za mnie. Z korytarza rozlegały się głosy. Szybko wstał i złożył ukłon. Odwróciłem się. W progu ujrzałem upozowaną godnie hrabinę Oliwię. Wstałem i również się skłoniłem.

- Mój małżonek powiada mi, że aresztowaliście tego człowieka, kapitanie - powiedziała, uśmiechając się.

- Nie aresztowałem - zaprotestował Perun. - *Herr* Okta-wiusz uprzejmie zgodził się towarzyszyć straży do mojej placówki, gotów przedstawić biednemu słudze jej hrabiowskiej mości przebieg pewnego wydarzenia. Nie chciałem niepokoić waszej wysokości tą sprawą.

- Bardzo uprzejmie z waszej strony, kapitanie. Ale potrzebuję go wolnego. Obiecał mi trzy skrzynki cynamonu.

Z tego, co pamiętałem, była mowa o jednej, ale jakiegokolwiek protesty w tej kwestii nie wydały mi się sensowne.

- Doskonale, pani hrabino - powiedział kapitan. - Należy do szlachetnej pani.

Kolejno ukloniłem się jej i jemu. Usatysfakcjonowana skinęła głową i ruchem ręki wskazała, że mam za nią iść. Perun klepnął mnie w ramię i odwróciłem się.

- Ciekawe - skomentował. - Jesteś w łaskach u dwóch wielkich rodzin bez szczypty przypraw w zamian. Dobra robota. Tak przy okazji, nie musisz się martwić, że to ja mogę być twoim prześladowcą.

- Czyżby? - spytałem. - Dlaczego nie?

- Bobym nie chybił - wyjaśnił i uśmiechnął się ciepło. Ale w oczach miał lód.

To mnie przekonało. Wyszedłem tak szybko, jak potrafiłem.

- Dziękuję, szlachetna pani - powiedziałem, gdy zrównałem się z Oliwią.

- Przyjdzie czas, w którym cię poinstruuje, jak powinienes mi odpowiednio podziękować - rzekła. - A jeśli twój statek nie przybędzie, może przyjdiesz pracować dla mnie. Wiesz, potrzebuję nowego intendenta.

Znów się ukloniłem, a ona oddaliła się, jakby płynąc ponad ziemią.

Było ciemno, gdy dotarłem do pałacu. Malachiasz zostawił mi kawałek baraniny, za co mu wylewnie podziękowałem. Poruszając pracowicie szczękami, poszedłem do pokoju Bobo, kiwnąwszy po drodze dworzaninowi, który go pilnował. Nie spał, gdy wszedłem. Czytał przy świetle świecy.

- Fabian nie żyje - poinformowałem go. - Kusza.

- Wiem - rzekł. - To pierwszy, któremu daliśmy umrzeć. Kto będzie następny?

## Rozdział XIII



*Kto swemu sercu ufa - ten głupi.* Prz 28,26 rwolejna zła noc, jako że Fabian dołączył do Orsyna w moich snach. Patrzył na mnie z naganą. „Kiedyś byliśmy przyjaciółmi”, powiedział. „Ileż to razy śmiałyśmy się i upijali do nieprzytomności. Czemuś mi teraz nie pomógł?” Ale byłem zbyt zajęty utrzymaniem reszty maczug w powietrzu.

Może Bobo miał rację, pomyślałem rano. Jego krytyczne uwagi bolały, ale czasem trzeba błazna, żeby błazen się otrząsnął. Moje machinacje okazały się tyleż niebezpieczne, ile nieskuteczne. Na krótką metę lepiej zająć się ratowaniem ludzi. Na dłuższą nic nie miało znaczenia.

Patrząc z perspektywy na tę intrygę, widziałem jasno, że od samego początku zostałem wymanewrowany. Wszedłem w starannie ustawioną pułapkę i nawet świadomość, że tak jest, nie wystarczyła, żebym się z niej uwolnił. Mój współnik został usunięty poza główny bieg wydarzeń, a ja uwięziony w niebłazeńskim przebraniu i poddany kontroli Peru-na. I w dalszym ciągu nie mogłem wykluczyć, że jest Mal-woliem. Więcej, satysfakcja, z jaką się ze mną bawił, sprawiła, że wydawał mi się jeszcze bardziej podejrzany niż wcześniej.

Pogrzeb Fabiana odbył się do południa. Stałem, jak nakazywał szacunek, w głębi kościoła, po czym udałem się za resztą zgromadzonych na szczyt wzgórza. Hrabina miała na sobie żałobny strój tak dopasowany do figury, że byłem zaskoczony, iż nie podniosła zmarłych z grobów. Uśmiechała się i rozmawiała z mieszczanami, jakby to był bal. Sebastian wyglądał na skacowanego. Nie, więcej. Winnego.

Dostrzegłem Aleksandra i podszedłem do niego.

- Co się dzieje z hrabią? - spytałem.

- Myślę, że to wyrzuty sumienia po wczorajszych wyskokach - odparł. - Powiedział, że gdyby tylko stawił się na próbie o wyznaczonej porze, Fabian może by nadal żył. I okropnie się czuje, że śmiał się z nieboszczyka, kiedy ten już leżał martwy.

- To nie była jego wina. Nie wiedział o tym.

- Jednak przysiągł, że dochowa trzeźwości do dwunastej nocy po Bożym Narodzeniu, i w ramach pokuty sam poprowadzi próby.

- Drobna pokuta za przelotny żal.

- Dla niego najmniejszy okres trzeźwości to wielka kara, wiercie mi.

Z tym nie mogłem dyskutować.

Fabiana złożono w krypcie zastrzeżonej dla lojalnych sług hrabiny i zgromadzeni ruszyli z powrotem do miasta. Księżna szła w towarzystwie Klaudiusza, który odstąpił od niej

i zrównał się ze mną.

- Smutna sprawa - oświadczyła głosem Klaudiusza Wiola. - Można by się nawet posunąć do stwierdzenia: „głupia sprawa”.

- Zgadza się - powiedziałem z roztargnieniem. - Popelniłaś błąd, zostawiając mi wolną rękę.

- Nieprawda. Na czas świąt nie możemy wszyscy ukryć się w domach. Człowiek dość śmiały i zręczny i tak by sobie poradził. Nie możesz się winić.

- Mogę.

- No cóż, jeśli chcesz się uzalać nad samym sobą, to równie dobrze możemy się teraz poddać. Wysłuchaj mnie, *Herr* Oktawiuszu. Pozostań sobą jeszcze trochę. Jeśli on jest człowiekiem, jakiego zapamiętałam, i takim, jaki moim zdaniem się stał, wówczas sukces tylko zachęci go do podjęcia większego ryzyka. A wtedy będziemy mieli większą szansę go złapać.

- Ilu zginie do tej pory?

- Nikt, mam nadzieję. Zapominasz, że ci, na których życie dybie, to głównie mieszkańcy dwóch domów. Nasz jest dobrze strzeżony i zasugerowałam Oliwii, by w świede najświeższych wydarzeń również zastosowała nadzwyczajne środki ostrożności. Dałam jej do zrozumienia, że morderstwo mogło mieć coś wspólnego z jej sprawami finansowymi. Na myśl, że jej pieniądze mogą być zagrożone, zbiegła jak płótno.

- Co z Andrzejem? I Tobiaszem, i Marią? - Wyznaczyłam kilku wiernych dworzan, którzy będą mieli na nich oko. To wszystko, co mogę uczynić. Ale musisz go wkrótce znaleźć. Muszę strzec rodziny i nie chcę zbyt długo się ociągać z zawiadomieniem straży.

- Zrozumiałem. Postaram się nie sprawić ci zawodu.

- Proszę, przyłóż się do tego. Widzisz, ufam ci. - I wróciła do swojej roli.

A więc tak to wyglądało. Wybieram się na błażeńską po-hulanekę, a tymczasem Wiola ponownie składa życie w moje ręce. Nie zasłużyłem na jej zaufanie. Nie miałem wyników, które by je usprawiedliwiły. Nie pozostało mi nic innego, jak na nie zasłużyć.

Poszedłem do Bobo i zastałem go pogrążonego po uszy w szachowej rozgrywce. Grał z chłopcem o ciemnych włosach, oliwkowej cerze, wyraziście zarysowanej szczęce i inteligentnie patrzących oczach. Tak się składało, że widziałem wcześniej te oczy i tę szczękę. Bobo, widząc mnie wchodzącego, przyłożył palec do ust. Bardzo skoncentrowany na szachownicy książę myślał jeszcze chwilę, po czym zrobił ruch skoczkiem.

Bobo wydał jęk, którego pozazdrościłby mu najlepszy aktor, złapał się za głowę i osunął na posłanie. Marek roześmiał się triumfalnie.

- Dobra robota, panie - jęknął Bobo. - Zagrałeś niezwykle zręcznie i pokonałeś błazna.

- Dzielnie walczyłeś, *señor* Bobo - pochwalił go książę. - Grasz lepiej niż większość tutejszych. Mogę przyjść jeszcze raz?

- To byłby dla mnie zaszczyt. Ale ponieważ zaszczyty nie mają dla mnie żadnego znaczenia, pozwól sobie celniej powiedzieć, że byłaby to dla mnie przyjemność. A skoro mowa o przyjemnościach, to pozwól, że ci przestawię *Herr* Jakmutam Skądstam, kupca przypraw korzennych, o którym ci mówiłem.

Skłoniłem się.

- Szlachetny panie, ufam, że stan twojego zdrowia się poprawił.

- Tak, dziękuję ci, *Herr* Oktawiuszu - odparł idealną niemczyzną. - Witam cię z przyjemnością w naszym pałacu i mieście. Czy grasz w szachy? Nigdy do tej pory nie zmierzyłem się z Niemcem.

- Gram i z radością przyjmuję wyzwanie. Może dziś wieczór?

- To byłoby wspaniale. W takim razie po kolacji. - Ukłonił się i wyszedł.

- Co za inteligentne dziecko - stwierdził Bobo. - Zadał mi wiele ciekawych pytań względem naszej profesji. I nieźle gra w szachy.

- Oczywiście dałeś mu wygrać.

- Może jestem błaznem, ale nie idiotą. Naturalnie, że dałem mu wygrać. Ale niebawem będzie mógł się zmierzyć ze znacznie mniej pobłażliwymi przeciwnikami. Pytał mnie o ciebie.

- To znaczy o kogo?

- O Feste. Wyobraża sobie, że wszyscy zawodowi błazni znają się nawzajem, chociaż nie wie o istnieniu cechu. Powiedziałem mu, że znam Feste tylko z reputacji. Był zawiedziony, ale opowiedziałem mu kilka pieprznych historyjek, którymi będzie mógł błysnąć przed rówieśnikami, co znacznie poprawiło mu humor.

Usiadłem na stołku niedawno opuszczonym przez księcia.

- Potrzebuję resztek mózgu, które ci pozostały - powiedziałem.

- Dobrze. Od naszej rozmowy wpadło mi do głowy kilka pomysłów. Masz ochotę na grę?

- Czemu nie?

Rozstawił bierki, wybierając czarne. Wykonałem ruch pionem.

Odpowiedział tym samym.

- Powrót do początku mógłby coś przynieść - rzekł. - Opowiedz fakty i przemyślenia, powiedz, czemu twoim zdaniem Malwolio tu jest i kim mógłby być. Wejdź w rolę mędrca, a

ja będę Marchołem\*.

Szybko przesuwałam bierki, podczas gdy analizowałam na głos swoje myśli.

- Malwolio tu jest - powiedziałem. - Jest, ponieważ nikomu tutaj nie zależałoby na tym, aby mnie powiadomić o śmierci księcia. Jest, ponieważ księżę został zamordowany i Malwolio miał motyw, by popełnić zabójstwo. Jest, ponieważ Fabian został zabity, a należał do grupy, która go wystawiła do wiatru i ośmieszyła przed Oliwią. I jest, ponieważ go widzieliśmy i ponieważ próbował zabić mnie. Co do tego, kim mógłby być, to nie jestem o włos mądrzejszy, niż byłem, przyjeżdżając. Może być jedną z trzech osób bliskich dwóm najważniejszym rodzinom w mieście, a może być kimś zupełnie innym. - Zrobiłem rozradę, ukrywając króla za pionami. - To wszystko. Żałownie mało, wiem.

Przestawił wieżę.

- Nie popisałem się w tej misji - powiedział. - Ale że nie mogę ruszyć nogami, starałem się ruszyć głową. Co się tyczy twoich dowodów na obecność Malwolia, to pozwól,

\* Również Markolf lub Marolf - według legendy obdarzony sprytem „gruby a sprośny” błazen lub wieśniak, który zapędza w kozi róg króla-mędrca Salomona. że skomentuję je następująco: to zbiór, na który składa się hipoteza, fakt, pochopny wniosek i zamydlenie oczu.

- Mów dalej - ponagliłem go zaintrygowany.

- Hipoteza. Wiadomość przyszła od Malwolia i nikomu innemu nie zależało na tym, byś się dowiedział. Ale ktoś mógłby cię dobrze wspominać, wiedzieć, że kochałeś Orsy-na, i pomyśleć, że zadanie sobie nieco trudu, by przekazać ci wieści, może się okazać produktywnie. Lub też w grę wchodził inny motyw, bynajmniej nie mający żadnego związku z Malwoliem.

- Jaki motyw?

- Dojdę do tego. Ale jeśli twoje podstawowe założenie, mówiące, że Malwolio przesłał ci wiadomość, bo chciał cię zwabić w pułapkę, jest błędne, wtedy cała konstrukcja się sypie. Teraz fakt, podstawowy, zamordowanie Orsyna. W takim mieście jak to wielu miałoby motyw i środki, żeby to uczynić. W grę mogło wchodzić coś tak marnego jak zabójstwo w afekcie lub jeszcze gorszego, pieniądze. Ty tylko szukałeś Malwolia, gdy powinienesz szukać mordercy.

- Ale...

- Wysłuchaj mnie. Myślę, że ogarnęła cię taka obsesja na punkcie Malwolia, że stałeś się ślepy na wszelkie inne możliwości. Pochopny wniosek jest taki, że cała ta żalosna afera została zmontowana, aby cię tu zwabić. Uznałeś, że to odwieczna walka między tobą a

Malwoliem, kreaturą stworzoną w twojej wyobraźni. Stał się twoim alter ego, mrocznym skrytobójcą, ukrywającym się w lasach. Ale świat jest większy niż twoja niewielka drama. Możesz być tylko trzecioplanową postacią, a nie bohaterem. Fabian został zabity. Dlaczego Fabian? To nieuprawniony wniosek. On również jest postacią bez znaczenia. Dlaczego nie Tobiasz? Lub Oliwia?

- Oni nadal są na jego liście. On ma czas.

- Ale zabijając Fabiana, wystawia się na niebezpieczeństwo. Nie ma tu tajemnicy, jak ta otaczająca zgon Orsyna, to żaden grom z jasnego nieba. Na dodatek ściąga na siebie straż, co bardzo mu utrudnia działanie.

- Chyba że to Perun jest Malwoliem.

- Ze wszech miar słuszna uwaga - powiedział, gryząc wargę i wpatrując się w szachownicę. Przesunął królową. - Ale oto i zamydlenie oczu.

- Słucham.

- Wydarzenia na krawędzi urwiska. Mówisz, że widziałeś Malwolia. Ale go nie widziałeś. Jedynie słyszałeś. Ja natomiast widziałem mężczyznę, który wyglądał jak Malwolio z legendy, z brodą włącznie, ale też nigdy go wcześniej nie poznałem. Oto, co o tym myślę: myślę, że to nie był Malwolio.

Gdyby prawdziwy grom z jasnego nieba runął przez okno i mnie trafił, nie byłbym bardziej porażony.

- To jeszcze bardziej pochopny wniosek - zaprotestowałem.

- Trzeba było morderstwa Fabiana, bym przejrzał na oczy - odparł. - Weź pod uwagę strzał. Z rusztowania nowej katedry, sto kroków dalej, pięćdziesiąt stóp wyżej. Apollo by się biedził. A tu tymczasem ta sama kusza nie mogła cię przeszyć z o połowę krótszego dystansu i z zerowego kąta. I jeszcze wpierv cię ostrzegł tym swoim złowieszczym rechotem. Chciał cię powiadomić, gdzie się znajduje, i natchnąć przekonaniem, że próbuje cię zabić.

- Spudłował o włos - zaprotestowałem.

- Dokładnie wiedział, co czyni. Był tam, żebyś pomyślał, że Malwolio jest w Orsyno i stara się na tobie zemścić. Pamiętasz, co wczoraj powiedziałem? To nie ma sensu, że się tak ociąga z napaścią na Feste. Zwłaszcza że wie o istnieniu cechu i że zaraz po przybyciu zaczniesz go szukać. Zresztą nawet czas napaści był znaczący, kiedy się weźmie pod uwagę cały ciąg wydarzeń, nie widzisz tego?

- Nie, nie widzę - powiedziałem, wstając i szeroko otwierając okiennice. Bardzo potrzebowałem powietrza.

- Myślę, że widzisz, ale nie chcesz się do tego przyznać - rzekł łagodnie. - Zostałeś

napadnięty po tym, jak ujawniłeś się księżnej Wioli. Zostałeś napadnięty po tym, jak odkryłeś jeden z jej największych sekretów, może więcej niż jeden.

- Ale nie mogłeś tam zobaczyć Wioli! - zaprotestowałem. - On był wysoki! - Usiadłem, chciwie łykając zimne powietrze. Nie miałem pojęcia, czyj ruch, to straciło wszelkie znaczenie.

- Tak, był. I miał tę rzucającą się w oczy czarną bródkę. Ale czy po tak wielu latach Malwolio nadal miałby identycznie wyglądającą brodę? Nadal czarną? Czy ryzykowałby rozpoznanie, obnosząc się z nią? I czemu miałby to robić, kiedy chodziło mu tylko o to, żeby cię zabić? Poznałbyś go z brodą czy bez. Podejrzewam, że to był ktoś najęty przez Wiolę, dodatkowo przebrany dla niepoznaki. A wiemy, jak ona świetnie umie się posługiwać sztuczną brodą.

- Przestań - zaskrzeczałem. - To nonsens.

- Czyżby? - spytał, przesuwając figurę. - W takim razie pozwól, że cię zapytam. Podobno miała się z tobą spotkać przy urwisku. Miała?

- Spóźniła się. Klaudiusz miał jakiś interes do załatwienia.

- Jaki interes załatwia się o tej porze roku? To miasto zimą zamiera. Od Wigilii do Trzech Króli każdy siedzi w domu, przy zamkniętych okiennicach, jak najbliżej kominka i opowiada różne historyjki. Jej spóźnienie jest aż nazbyt wygodne.

- Ale głos Malwolia...

- Łatwy do naśladowania. „...i jak pies do wymiotów powraca” - zakończył, udatnie powtarzając tamten głos. - Ja to potrafię i ty też. Założę się, że wielu również na to stać. Jest tu legendarnym celem żartów, połowa miasta potrafi go naśladować.

Chciałem się napić wina. Chciałem się utopić w beczulce wina.

- Pozwól, że tak to przedstawię. Wiola zabija małżonka. Dlaczego... tego nie jestem pewien. Po tym, jak naoglądałem się różnych małżeństw, to dziwię się, że większość żon tego nie czyni. Miała możliwość. Orsyno, zamiast pełnić ojcowskie obowiązki, wybiera się na codzienny spacer, a ona niby szuka medyka. Podobno zajęło jej to godzinę. Dość czasu, aby pobiec nad urwisko, zrzucić go, znaleźć medyka i wrócić. Nikt niczego nie podejrzewa. Wtedy ni stąd, ni zowąd wraca Feste. I ku jej absolutnemu przerażeniu nie tylko grzebiesz w morderstwie, ale odkrywasz jej tajną tożsamość. Ale przedstawiasz jej swojego głównego podejrzanego i dzięki temu wie, jak odwrócić twoją uwagę. Tak więc aranżuje scenę z fałszywym Malwoliem, żeby jeszcze bardziej utwierdzić cię w przypuszczeniach. Zresztą nie trzeba cię utwierdzać. Od początku popchnięto cię w złym kierunku.

- Jak w tym wszystkim się mieści Fabian?

- Nie zapominaj, że był intendentem Oliwii. Ta cała afera w istocie może być finansowym szwindlem. Wiola mogła prowadzić jakieś mętne interesy, posługując się pieniędzmi Orsyna, być może za pośrednictwem tajemniczego Alefa. Pytałeś już ją o Alefa?

- Nie - powiedziałem z żalem.

- A być może Fabian był w to zamieszany, spisek sług. Tyle że w obliczu twojego śledztwa pozostawienie go przy życiu było zbyt niebezpieczne. Tak więc został zabity. A teraz aż cię kusi obwieścić drugie przybycie Malwolia. Przez następne dziesięć lat każdy będzie podskakiwał na ruch byle cienia, co znakomicie będzie odpowiadało szlachetnej pani. Gdzie była w porze śmierci Fabiana? Czy potrafi się wytłumaczyć?

To pasowało. Wszystko.

- W porządku, to prawdopodobne - przyznałem opornie. - Ale nie masz dowodów.

- Tego się nauczyłem z ust mistrza - powiedział, kłaniając mi się. - Mówię jedynie, że to lepsze wytłumaczenie niż powrót mściwego intendenta. Gdyby Malwolio naprawdę żywił taką nienawiść, przybyłby przed laty. Dlaczego teraz?

- Wspomniałeś o motywie, który kryje się za wezwaniem mojej osoby. Jaki on jest?

- Kolejny pochopny wniosek. To mogła być robota Oliwii.

Rozważyłem tę możliwość.

- Myślisz, że podejrzewała Wiołę, ale nie mogła sama jej śledzić?

- Właśnie. Tak więc wysłała anonimowego posłańca, wiedząc, że wcześniej czy później się pojawisz i zaczniesz szukać mordercy.

- To by znaczyło, że ona zna prawdziwy charakter cechu.

Wzruszył ramionami.

- Nie wydaje mi się, aby świat wciąż nie miał o nas pojęcia. To sprytna kobitka, siedzi w środku swojej pajęczyny i sprawdza każdą plotkę, która w nią wpadnie. To możliwe.

Wyjrzałem za okno, poza mur, ku rzece. Nie było prawdziwego ruchu. Zamiast dużych statków pływały jedynie łodzie rybackie. Miał rację, o tej porze roku handel zamierał.

- Niczego nie zauważyłem - powiedziałem. - Jak mogłem być tak ślepy?

- Naprawdę nie wiesz? - powiedział, uśmiechając się ze współczuciem.

Patrzyłem na niego przybity, łzy zasłaniały mi pole widzenia.

- Wybacz, ale to oczywiste. Jesteś w niej zakochany. Pewnie od chwili, w której pojawiła się w mieście, przebrana za chłopca. Była bliższa nam niż im, prawda? Ale ty musiałeś zrealizować plan jak dobry błazen, więc zrealizowałeś. A teraz wróciłeś ją ratować. Pewnie dostrzegła to, gdy się ujawniłeś, i od tej pory to wykorzystuje. Tak przy okazji, twój ruch.

- Wybacz, nie uważałem - powiedziałem, ocierając oczy i siadając przy szachownicy.  
- Czym się ostatnio ruszyłeś?

- Biskupem\*.

- Czym?

\* *Bishop* (ang.) - „biskup”, znaczy również „goniec”, „laufer”.

Wskazał palcem figurkę. Gapiłem się na planszę, czując chaos w głowie i śledząc biegnące w skos szachownicy linie ruchu biskupów.

- Biskup, oczywiście - powiedziałem. - I widzę, że przygwoździłeś moją królową. Zręcznie, bardzo zręcznie. - Ze złością przewróciłem króla. - Popisałem się, przegrałem z kimś, kto ma dziurę w głowie.

Roześmiał się łagodnie.

- To bardziej w twoim stylu. Co teraz robimy? Jeśli to nie Malwolio, w takim razie sprawa tak naprawdę nie dotyczy cechu. Moglibyśmy po prostu porzucić misję i z godnością się stąd wysmyknąć.

- Nie - oznajmiłem stanowczo. - Nadal jest morderca, którego należy złapać. Morderczyni, powinienem rzec.

Nie był zaskoczony.

- W takim razie może powinienem się więcej dowiedzieć o Alefie - stwierdził.

Wstałem i wyciągnąłem dłoń. Uściskał ją.

- Wybacz mi, że cię w to wszystko wplątałem - rzekłem. - Znalazłem nam najbardziej niebezpieczne lokum w całym Orsyno. Dasz sobie radę?

- Tak mi się wydaje - pocieszył mnie. - Jej się wydaje, że szukamy Malwolia. Nie będzie próbowała niczego pod swoim dachem. Ale uważaj, kiedy wyjedziesz za bramę pałacu.

Skinąłem głową i udałem się do stajni. Zeus spojrzał na mnie wyczekująco, gdy podszedłem do niego, niosąc siodło.

- Rusz się, stary Greku - powiedziałem. - Mamy zadanie do wykonania.

## **Rozdział XIV**

*Nawet gdy głupiec idzie drogą, brakuje mu rozważli.*

Koh 10, 3

Udało mi się wyhamować Zeusa do powolnego kłusa, kiedy podążałem w górę rzeki, mijając łąźnie i nabrzeża, gdzie słodka woda miesza się ze słoną. Ciepłą porą roku



skorzystałbym z promu do południowej drogi, ale zima była na tyle długa i tęga, że lód nie objął jedynie pośrodku wąskiego kanału, który Zeus bez ceregieli pokonał jednym skokiem, gdy tylko popuściłem mu nieco wodze.

Ruszyłem galopem na otwartym terenie, pokrytych śniegiem polach, na których gdzieś stały zbite stada owiec i kóz. Odgarniały pyskami zlodowaciałą pokrywę, szukając zamrzniętych korzonków. Po tej stronie rzeki wzgórza odsuwały się od morza, a zabudowania wieśniaków, nagie sady i puste warzywniki nie dawały żadnej osłony. Nie śledzono mnie i nie przejmowałem się tym, że może do tego dojść. Wszelkie zagrożenia miałem przed sobą.

Południowa droga przylegała do wybrzeża, a wiatr podrywał słone bryzgi, dodając kryształków lodu do już zimnego powietrza. Poczulem wielką ulgę, kiedy uprawne pola zostały za mną i drzewa odzyskały panowanie nad gruntem, zapewniając odpoczynek od wiatru, chociaż były to sadzone ludzką ręką, oczekujące wiosny, uśpione oliwkowe zagajniki. Zebrałem cugle i Zeus zwolnił. Zacząłem się rozglądać na boki.

Nigdzie nie dojrzałem śladów świeżej przeprawy, ale szukałem czegoś starszego. Chociaż nie szkoliłem się na leśnika, tyle razy spałem pod drzewami, że znałem je z imienia i charakteru. Nie wiedziałem dokładnie, czego szukam, lecz wiedziałem, że się dowiem, kiedy to znajdę. Przebyłem pięć czy sześć mil, pochłonięty szukaniem najwęższego rozstępu w gęstwinie, najniewinniejszego wgłębienia w pokrywie liści, ale niczego nie znalazłem. Uznawszy, że przetrząsnąłem wystarczająco szeroki obszar, zawróciłem Zeusa i z powrotem pokłusowałem do miasta.

Miałem czas zastanowić się nad oskarżeniem o miłosny zawrót głowy, które rzucił mi w twarz *senor* Bobo. Niepojęte! Oto błazen, od dawien dawna przywykły do ukrywania uczuć nie tylko przed innymi, ale i przed sobą samym, a wystarczył bystry kolega i wylazło szydło z worka! Takie są niebezpieczeństwa pałętania się bez makijażu. Przeklinałem własną gębę. Zdradziła mnie.

Śpiewałem o miłości, żartowałem z miłości, składałem długie poematy zakochanym, którym nie zbywało na pieniążkach, odgrywałem miłosne zaklęcia możnych i mizernych. Ale zakochawszy się sam... no cóż, tak naprawdę byłem bezbronny. Kot może spoglądać na króla i błazen może kochać księżnę, ale tylko kot będzie coś z tego miał. Przydzielono mi misję, gdy po raz pierwszy w chłopięcym przebraniu wjechała do Orsyno, i tak samo teraz miałem przed sobą zadanie.

- Co powiesz na tę słabość, stary Greku? - spytałem mojego ogiera. - Jeśli w legendach jest choć ziarno prawdy, masz w tym względzie o wiele większe doświadczenie niż

ja. Czy to warte zachodu?

Zeus parsknął, udzielając mi takiej samej odpowiedzi jak na wszystkie moje pytania. Niemniej jednak dobrej odpowiedzi.

- Niech będzie, jak ma być - powiedziałem jemu i wiatrowi, gdy jechaliśmy w milczeniu przerywanym jedynie głuchym stukotem kopyt na śniegu.

Przy rzece czekał na mnie samotny jeździec. To był Pe-run. Wspierał dłoń na rękojeści miecza, może nawet lekko ją muskał, chociaż mogło mi się tylko wydawać. Sam zadbałem o to, by trzymać ręce na widoku, nie chcąc mu stwarzać cienia wymówki.

- Myślałem o wysłaniu za tobą konnego, który by cię śledził - rzekł. - Ale przypomniałem sobie, jakiego masz konia, i zrezygnowałem z tego pomysłu. Znalazłeś, czego szukałeś?

- Masz na myśli mojego brata? Wzruszył ramionami.

- Znakomicie, twojego brata.

- Niestety nie. Ale że jestem sam, już to zgadłeś. Czy będziesz mi towarzyszył w drodze do miasta? Zaręczam, że na tej drodze nie znajdziesz niczego, a dzień jest zbyt srogi, aby wybierać się daleko. I noc się zbliża.

Westchnął.

- Wyślę rano żołnierza.

- Proszę, oszczędź go. Naprawdę niczego nie znajdzie. Jestem kimś skromniejszym, niż wydaje się na oko, wierz mi.

- Oko łatwo zwieść, *Herr* Oktawiuszu. Najmowałbym do służby samych ślepców, ale strzelcy z nich marni.

Jak pamiętam, pierwszy raz roześmiałem się w jego przytomności. Konie zaniósły nas do Orsyño. Podążaliśmy tam w niemal koleżeńskim milczeniu, a gdy się rozjeżdżaliśmy w różnych kierunkach, pozdrowił mnie uniesieniem dłoni.

Odstawiłem Zeusa do stajni w gospodzie i ku jego zaskoczeniu i przyjemności porządnie go wyszczotkowałem. Uparta, swarliwa bestia. Pasowaliśmy do siebie jak dwa ziarnka grochu. Po wejściu do pokoju dostrzegłem sporządzony wyjątkowo szlachetnym charakterem pisma liścik, w którym domagano się mej obecności przy stolicku szachowym księcia.

Zastałem chłopca w wielkiej sali, pamiętnej z uroczystych okazji. Tron księcia, misternie rzeźbiony w potężnym klocu hebanu, stał na podwyższeniu. Marek siedział przy nim, wpatrzony w wychodzące na dziedziniec wysokie, wąskie okno.

Wstał, odpowiedział na mój ukłon i zaprosił mnie do stolika, wymyślnego cacuszka z

alabastru i białego marmuru, z pionkami z kości słoniowej i hebanu. Wieże miały kształt słoni z obłęźniczymi wieżyczkami.

- Będziesz grał czarnymi czy białymi? - spytał.

- Zamiast wykorzystywać twoją gościnność, zdam się na los - odparłem, wziąłem po pionku z każdej strony i za plecami ukryłem je w zaciśniętych dłoniach. Wyciągnąłem przed siebie pięści. Klepnął lewą. Białe.

- Twój niemiecki jest naprawdę świetny, szlachetny panie - skomplementowałem go podczas gry. - Musiałeś osiąść talent językowy twojej matki.

- Znasz moją matkę? - spytał.

- Zostałem jej przedstawiony, to wszystko. Ale jej umiejętności językowe są szeroko znane. Ach, widzę, ku czemu zmierzasz.

- Ale czy potrafisz do tego nie dopuścić? - zakrzyknął triumfalnie.

Rozejrzałem się po szachownicy, po czym podałem mu dłoń.

- Zręczna robota, szlachetny panie. Ujął ją i przyciągnął mnie bliżej.

- Byłeś bardzo dobry - szepnął. - Pozwoliłeś mi wygrać znacznie subtelniejszymi metodami niż tamten błazen po południu. Teraz zagrajmy na serio. I nie bój się. Obiecuję, że nie każę cię ściąć, jeśli mnie pokonasz.

Wyszczrzyłem w uśmiechu zęby.

- W takim razie moja kolej grać białymi. Obróciliśmy szachownicę i zaczęliśmy na nowo. Jak na swój wiek był znakomitym graczem i w krótkim czasie zniwelował wszelką przewagę, którą stworzył mi debiut. Skończyliśmy remisem.

- To jest zabawa - oświadczył. - Chciałbym, żeby ludzie nie traktowali mnie z taką uniżonością.

- Nieuniknione, obawiam się. Dopóki nie osiągniesz pełnoletności i nie dasz o sobie znać, ludzie będą podchodzić do ciebie ostrożnie.

- Może już powinienem to zrobić - rzekł zamyślony, rozsiadając się wygodnie na krześle.

Wzruszyłem ramionami.

Smutno popatrzył na szachownicę.

- Ojciec mi to dał. W prezencie po powrocie z wyprawy krzyżowej.

- Długo go nie było, prawda?

- Tak. A teraz odszedł na zawsze. Zbyt krótko miałem ojca. Nie chciałem już być księciem.

- Wyrazy współczucia, szlachetny panie. Nie potrafię w żaden sposób cię pocieszyć

poza tym, że śmiało mogę stwierdzić, iż mąż jego zalet z pewnością poszedł do nieba. Bądź wdzięczny za czas, który spędziliście razem. Pomyśl o najprzyjemniejszych chwilach z tego okresu, gdy najbardziej za nim zatęsknisz.

- Raz zabrał mnie do Wenecji - powiedział rozjaśniony. - A potem do Rzymu. Wcześniej nigdy nie wyruszyłem za morze. Obejrzelśmy wszystko. Byłem nawet u Ojca Świętego.

- I pomyśl o wszystkich synach, którzy nigdy nie udali się w podróż ze swoimi ojcami. Mój ojciec wyprawiał się w świat, szukając korzeni, i nie było go całe lata. Pewnie w swoim krótkim życiu spędziłeś więcej czasu ze swoim ojcem niż ja w moim długim życiu ze swoim.

- To prawda - przyznał mi rację. Ziewnął i opadły z niego wszelkie pozory dorosłości.  
- Muszę iść spać. Staram się odzyskać siły, aby wziąć udział w widowisku.

Wstałem i ukloniłem się.

- Proszę pozwolić, że podziękuję za wspaniałą gościnę, szlachetny panie.

- Pewnie winienesz podziękować za to matce - stwierdził domyślnie. - Zgaduję, że ona o to zadbała. Ale w to mi graj. Błazen i szachista pod choinkę. Dobranoc, *Herr* Okta-wiuszu.

- Dobranoc, szlachetny panie - powiedziałem i kłaniając się po raz ostatni, wyszedłem z sali.

- Świetnie się spisałeś - szepnęła Wiola.

W trakcie gry zauważyłem, że mijała wejście do sali, i zgadłem, że obserwowała całą scenkę.

- Znakomity chłopiec - oceniłem go.

- A ty jesteś dobrym szachistą. Daleś mu zremisować drugą partię, prawda?

- Wyznaję.

- Tym razem jednak się nie połapał. Masz więcej twarzy niż brylant fasetek. Masz dzieci? - Pewnie wyraz mojej twarzy gwałtownie się zmienił, bo natychmiast się wycofała. - Przepraszam. Nie chciałam być wścibska. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak mało o tobie wiem.

- Tak powinno być, księżno - rzekłem lekkim tonem. Potrząsnęła głową.

- Nie, nie powinno. Kiedy się to skończy, usiądziemy i porozmawiamy. Długo i od serca. Może zagramy w szachy. I proszę, Feste, nie dawaj mi forów.

- Jak sobie życzysz, szlachetna pani - powiedziałem, składając ukłon.

Lekko pogładziła mnie po twarzy i odeszła.

Hmm, a co to znowu? Czyżby księżna raczyła dostrzec błazna? Czy też zakochała się w kocie?

Rankiem wybrałem się do jedyne go stworzenia, które naprawdę mnie rozumiało. Nakarmiłem je, osiodlałem i wyjechałem północno-zachodnią bramą. Kiedy się obejrzałem, ujrzałem stojącego na murach Peruna. Obserwował mnie. Pomachał mi. Odpowiedziałem mu tym samym. Uświadomiłem sobie, że mam tylko dwa dni oddechu przed jego wyzwaniem.

Zeus w zwykłym tempie pokonał stok, ale nietypowo jak na niego zwolnił tam, gdzie ścieżka odbijała ku urwisku. Skierowałem go w drugą stronę. Wydawał się zdenerwowany, wbiegając do lasu. Nie mogłem go winić. Też się denerwowałem.

Ściągnąłem wodze, narzucając mu stępa, i rozpocząłem poszukiwania. Droga była dość szeroka, aby pomieścić sporych rozmiarów wóz, chociaż jeśli dobrze czytałem ślady, to ostatnio żaden tamtędy nie przejeżdżał. Zdziwiło mnie, że patrole Peruna tu nie dotarły, ale może podczas zimy ograniczał swoje obowiązki do terenu miasta. O tej porze roku tylko głupiec wybierałby się w podróż i pozostawało mu zdać się na opiekę boską, gdy nie mógł liczyć na Perunową. Słońce stało nad wschodnim grzbietem i padające z wysoka światło prześwitywało między drzewami. Wiał lekki wiatr. Zarośla oraz rosnące bliżej urwiska zimozielone drzewa broniły od zasp. Droga była tak dobrze utrzymana, jak tylko amator leśnik i tropiciel mógłby sobie życzyć.

Przez większą część podróży pilnie oceniałem pobocza, szukając miejsca zdatnego do zasadzki. W trakcie tego zajęcia przypominałem sobie, że nie tak dawno w tym właśnie lesie przebywał ktoś, kto mnie zaatakował. W pustce brzęk miecza, który dobyte m z pochwy, wydał mi się zbyt głośny i jakiś głupio niepasujący do otoczenia. Wcale nie poczułem się pewniej.

Przebywszy w głąb lasu jakieś pięć mil, dostrzegłem zwisającą pod nienaturalnym kątem gałąź. Ściągnąłem wodze i ostrożnie zszedłem z siodła, z mieczem w dłoni i nadzieją w sercu, że nie będę go musiał użyć. Gałąź niedawno ułamano, a dodatkowo z innych gałązek strącono biały puch. Kucnąłem i uważniej przyjrzałem się śnieżnej pokrywie.

Była gładka. Prawdę mówiąc, zbyt gładka. Kilkoma krokami pokonałem pas zarośli i wszedłem w wysoki las. W śniegu pojawiła się świeżo wyżłobiona ścieżynka, ślady stóp i dwie płytkie koleiny między nimi, jakby wleczono tędy człowieka. Po obu jej stronach widniały dowodzące pewnej niedbałości w maskowaniu śladów niewysokie zwały śniegu.

- Szukasz trupa? - zaskrzeczał głos po mojej lewej ręce. Wykręciłem się jak fryga, przyjmując groźną postawę. Ten, który się odezwał, patrzył na mnie raczej z rozbawieniem niż groźbą. Rzekł łagodniej: - Jestem bezbronny. I pokojowo nastawiony. Nie zamierzałem cię wystraszyć. Dawno nie zamieniłem z nikim słowa.

- Nie słyszałem, jak nadchodzisz - rzekłem przepraszająco i schowałem miecz do

pochwy.

Był odziany głównie w szmaty, zarzucone na ramiona i przewiązane byle jak w pasie. Na nogach miał sandały, również wypchane szmatami. Pomyślałem, że to niezbyt skuteczny sposób ochrony przed zimnem, ale on zdawał się tym nie przejmować. Brodę i włosy miał długie i tak skudłone, że dodatkowo go ogrzewały. Oczy, jedyny widoczny fragment oblicza, miał niebieskie i łagodne. Co się zaś tyczy jego wieku... Mogłem jedynie ocenić długość jego brody i dodać szesnaście. A może trzydzieści. Albo pięćdziesiąt. Tylko nożyczki i kąpiel by go ujawniły.

- Tak, bardzo chętnie obejrzałbym tego twojego trupa.

- Och, nie jest mój - odparł. - Ale spoczywa nieopodal i jesteś pierwszą osobą, która tu przybyła, od kiedy się pojawił. Myślałem, że to może być twój nieboszczyk.

- Nie całkiem.

- Ale czegoś szukałeś. Czy zmarły człowiek cię zadowala?

- Całkiem możliwe. Pozwól mi rzucić na niego okiem, a będę mógł ci dokładniej odpowiedzieć.

- W takim razie tędy - powiedział i odwrócił się. Położyłem mu rękę na ramieniu i zatrzymałem go. Obejrzał się, spoglądając na mnie pytająco.

- Jeśli ci to nie przeszkadza, idź obok tych śladów - poprosiłem.

Skinął głową i ruszył dalej. Ja za nim, prowadząc Zeusa. Wkroczyliśmy w starą część lasu. Drzewa sięgały nieba, a poszycie było bardzo rzadkie. Między konarami padało dość światła, aby ukazać nam szlak, chociaż tamten szedł tak pewnie, że mógłby go pokonać i z zawiązanymi oczami.

- Jak go znalazłeś? - spytałem.

- Wrzaski - odparł krótko. Czekałem na dokładniejszy opis.

- Modliłem się w mojej pieczarze, spory kawałek stąd. Wtem je usłyszałem - dodał.

- Czyli jesteś pustelnikiem?

- Ani z wyboru, ani z usposobienia, ale pod naciskiem niedawno wynikłych okoliczności.

- Czy trafnie zgaduję, że jesteś jednym z doskonałych? Roześmiał się cicho.

- Nie, mój przyjacielu, jestem jedynym z niedoskonałych. Tak przy okazji mam na imię Józef.

- A ja jestem Oktawiusz z Augsburga. Wybacz mi, nie zamierzałem się silić na żartobliwość. Ale czy jesteś katarem?

- Tak ochrzcili nas inni. Nazywają nas katarami, patare-nami, bogomiłami,

przeklętymi manichejczykami i każdym mianem, które mogą nam nadać przed zażegnaniem stosu.

Pałają nas, gdyż myślą, że tym sposobem nie rozleją krwi. Widziałem płonące stosy. To nieprawda. - Jak wy siebie nazywacie?

- Dobrzy Ludzie. Chociaż jak się nad tym dobrze zastanowić, to bardzo aroganckie miano. Lecz ma chociażby tę zaletę, że wyznacza nam wartościowy cel w życiu. A tak przy okazji, może masz na zbyciu coś do jedzenia?

Pogrzebałem w sakwach.

- Jeśli chcesz, to trochę chleba i sera. Potrząsnął głową.

- Żadnego sera. Niczego, co powstało w wyniku parzenia się zwierząt. Ale kawałek chleba chętnie przyjmę.

Dałem mu wszystko, co miałem, i podziękował mi, skłaniając głowę, gdy się w niego wgryzał. - Ignoranci wierzą, że żyjemy powietrzem, wiatrem i wodą. Prawda jest taka, że zimą jesteśmy zależni od dobroczynności innych.

- Gdzie twoi towarzysze? Wzruszył ramionami.

- Chyba uciekli. Żyliśmy na łasce księcia, a kiedy on zmarł, przestano nam dostarczać żywność. Myślę, że nie chwalił się swoją szczodrobliwością, biorąc pod uwagę, jak obecnie układają się sprawy. Biskup nie darzy nas miłością, a Perun z rozkoszą zorganizowałby kolejną krucjatę, nas biorąc na cel. Tak więc nasza grupa rozpadła się, dostawszy się w bliźniacze szpony głodu i strachu. Nic nowego pod słońcem. Przecież jesteśmy schizmatykami wśród schizmatyków. Ciągłe się okazywało, że doskonali, którzy udzielali braciom *consolamentum*, spółkowali czy popełniali inny grzech śmiertelny, co wzbudzało spory, kto jest czysty, a kto nie. Tworzyliśmy kolejną społeczność i powtarzało się to samo.

Niewielka grupka osiadła tutaj i stopniała. Teraz jestem tylko ja i wilki.

- I nieboszczyk. Opowiedz mi o tych wrzaskach. Kiedy je usłyszałeś?

Policzył na palcach.

- Dziewięć dni temu, o brzasku. Szybko przeliczyłem.

- Poranek świętego Jana?

- Przykro mi, ale nie uznajemy waszych świętych, więc nie mogę ci powiedzieć. Kiedy każda wioska może wzbogacić swoją historię legendą, kupując od Kościoła świętość, cała ta idea traci rację bytu.

- Tak, znacie się na tym jak nikt inny, prawda? Ale ja chciałbym wiedzieć, kiedy go znalazłeś.

- Porankiem w dzień po spadnięciu śniegu.

- Powiedz mi, ile możesz.

- Jak mówiłem, byłem daleko. Ale on wrzeszczał jakiś czas. Potem umilkł. Kiedy tu dotarłem, już nie żył.

- Widziałeś sprawcę morderstwa?

- Muszę wyznać, że nie próbowałem się dowiedzieć. Jak rzekłem, jestem bezbronny i nieszczególnie sprawny, gdy chodzi o samoobronę. Nie mogłem w żaden sposób pomóc nieborakowi, więc postanowiłem nie czynić nic, gdyż pewnie podzieliłbym jego los.

- Rozsądnie. Co słyszałeś? Wyłowiłeś jakieś słowa?

- Nie był to język, który bym rozpoznał. Ale to trwało sporą chwilę. Oto, gdzie go znalazłem.

Śnieg we wskazanym miejscu był wydeptany i pokryty wielkimi plamami krwi. Nie ulegało wątpliwości, że po fackie pojawili się rdzenni mieszkańcy lasu i przystąpili do uczty, ale pozostało dość odcisków, abym mógł ustalić położenie ciała. Z kolei ślady stóp były tak gęste, że nie potrafiłem z nich nic odczytać. W pobliskiej zaspie wykopano kilka głębokich dziur. Obszedłem miejsce mordu, kucając od czasu do czasu i z bliska przyglądając się śladom.

- Jesteś tropicielem? - spytał, obserwując mnie z ciekawością.

- Ani z wyboru, ani z usposobienia, ale ostatnie wypadki zmusiły mnie do tego, abym nim został. Gdzie trup?

- Tam - powiedział i ruszyliśmy przez las. - Był już martwy, gdy go znalazłem. Zdarto z niego ubranie i chyba torturowano. Dokonałem *consolamentum*. Normalnie do przyłożenia rąk trzeba więcej niż jednego z nas, ale w sytuacji awaryjnej... - przerwał.

- Co to właściwie jest?

- Przyłożenie rąk, rytuał pobłogosławienia i pogodzenia z losem, wybaczenie za bunt przeciwko niebu, który jest w każdym z nas, co pozwala temu, kto otrzymał przebaczenie, tam powrócić. Jeśli się nie było wystarczająco czystym, przechodzi się metempsychozę.

- Jak za pierwszym razem się nie uda, próbuj do skutku.

- Można i tak na to spojrzeć. W każdym razie to było wszystko, co mogłem uczynić. Pewnie wolałbyś, żeby dostarczono go do miasta na ostatnie namaszczenie.

- Jestem przekonany, że dokonałeś należytej posługi. Zaprowadził mnie do nieregularnego kopczyka kamieni bezładnie okrywających ciało.

- Zmarłemu jest obojętne, co się stanie z jego ciałem - zauważył, gdy stanąłem przed tym leśnym miejscem pochówku. - Ale pomyślałem, że może być ktoś, dla kogo to ma znaczenie. Zimą grunt jest zbyt twardy, aby dało się wykopać grób. Normalnie nie



zbudowałbym niczego podobnego. Za bardzo przypomina tę kupę kamieni, którą zwie się kościołem. Ale pomyślałem, że dzięki temu drapieżniki się do niego nie dobiórą.

Odrzuciłem kilka kamieni ze szczytu. Człowiek pod nimi miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Oceniając po wyrazie twarzy, jego krótkie życie zakończyło się grozą i bólem. Pobito go dotkliwie, odcięto ucho. Kiedy usunąłem dalsze kamienie, znalazłem kolejne ślady tortur, rany cięte, okaleczone dłonie.

- Dziwne, jak mało na nim krwi - rzekłem, siląc się na beznamiętny ton.

- Jest bardzo czysty - przyznał mi rację Józef. - Taki był, kiedy go znalazłem. Nie mogłem uczynić nic więcej poza tym, aby go tu zaciągnąć.

- Czemu nie doniosłeś o tym do miasta?

- Jak powiedziałem, nie ufam Perunowi. Powiesiłby mnie za zdechłą wiewiórkę, gdyby mógł mi przypisać jej śmierć.

- Ale mnie ufasz. Dlaczego? Wzruszył ramionami.

- Szukałeś go. Założyłem, że ci na nim zależy. Znałeś go.

- Nigdy wcześniej go nie spotkałem. Przysięgam na Boga, że to prawda.

Spojrzał na mnie, szukając oznak fałszu.

- Wierzę. I teraz jestem zdumiony. Czy źle zrobiłem, ufając ci?

- Nie. Staram się zapobiec większemu złu. Czy pomożesz mi jeszcze?

- Jeśli będę mógł.

- Nie mów nikomu innemu o tej sprawie. Wrócę jutro, aby zabrać ciało. Zastanę cię tu?

- Tak. I spodziewam się, że jego też. Wyjaśnisz mi swoje postępowanie?

- Nie teraz. Bezpieczniej dla ciebie, żebyś nie wiedział.

- Wierzę w to bardziej niż w cokolwiek innego, co mi powiedziałeś. W takim razie do jutra.

Szybko odłożyłem kamienie na dawne miejsce i dosiadłem Zeusa.

Kiedy powróciłem do miasta, ostatnią rzeczą, na którą miałem ochotę, była kolejna partia szachów, ale zignorowanie wezwania księcia, choćby bardzo młodego, byłoby wielką nieostrożnością. Posłusznie stawiłem się na kolejne sprawne garbowanie skóry z jego rąk, ale dał mi znak, bym się nie odzywał, i przebiegł po sali, zaciągając zasłony i zamykając drzwi.

- Czy mogę cię prosić o przysługę? - szepnął.

- Oczywiście, szlachetny panie - odparłem z pewną obawą.

- Zechciałbyś wysłuchać mojej recytacji? - poprosił. Dobry Boże, jeszcze jedna porcja amatorskich występów.

Natychmiast się zgodziłem i zająłem miejsce na poduszce, gotów głośić bezwstydne peany. Stał przede mną w pozie pełnej powagi i złożył prawicę na piersi.

- Wiele ciężarów zniosłem - zadeklamował. - Wiele smutków wycierpiałem. Trzydzieści i trzy zimy tu przeżyłem...

Przestał klepać i wczuł się w rolę; udzielił mu się duch widowiska. Choć był zbyt młody na odgrywanie Zbawcy, Jego słowa wypowiedane chłopięcym głosikiem były tak prawdziwe, że mróz chodził po kościach.

Po kolei wygłosił wszystkie kwestie, po czym spojrzał na mnie wyczekująco.

- Dobrze było? Bardzo się napociłem, żeby spamiętać wszystkie słowa, ale ułożyłem je sobie w głowie za porządkiem.

- Jak najbardziej i musisz im pozwolić, aby mówiły same za siebie. Wsłuchaj się w słowa, szlachetny panie. Poezja cię uniesie, jeśli jej na to pozwolisz. I pozwól, że zaprezentuję ci użyteczny sposób. - Stałem za nim i położyłem mu ręce po bokach, powyżej pasa. - Powiedz jak najdłużej „a” - poleciłem.

- Aaa... aaa! - wrzasnął, kiedy go ścisnąłem.

- Widzisz, szlachetny panie, kiedy zaczerpniesz głęboko powietrza i przytrzymasz je w dole płuc, będziesz słyszany w każdym zakątku rynku,

- Naprawdę? Dziękuję ci! - wykrzyknął. - Skąd się na tym znasz?

- W młodości miałem wyjątkowo surowego nauczyciela śpiewu. - Tak się złożyło, że była to prawda. - Rozumiem, że zamierzasz odegrać rolę Pana?

- Spróbuję. Matka nie chce, bym wychodził na dwór, ale czuję się całkiem dobrze.

- Chłopiec powinien słuchać swojej matki, szlachetny panie.

- Ale ja jestem księciem - rzekł, prostując się. - I jest ważne, żeby miasto mnie tam zobaczyło.

Przyjrzałem mu się uważnie. Była w nim siła, żelazna wola, która w połączeniu z tym intelektem mogłaby wiele dokonać. Skłoniłem się.

- Jak sobie życzysz, szlachetny panie.

Nagle uszło z niego całe powietrze.

- Nie wiem, czy zdołam tego dokonać - szepnął.

- Odegrać rolę?

- Tak. Jedną i drugą. Zbawcy i księcia. Nie mogę się zdobyć nawet na to, by zasiąść na tym tronie. Był jego, nie mój.

Zerknąłem na zajmujące podwyższenie wielkie krzesło.

- Za pozwoleniem, szlachetny panie - powiedziałem. Patrzył na mnie wstrząśnięty,

kiedy spokojnie podszedłem do tronu i niedbale się na nim wyciągnąłem. - Przynieś mi jadła, Marku - rozkazałem.

Opanował go gniew.

- Zaraz stamtąd złaź! - wykrzyknął. Zeskoczyłem na dół i ukląknę przed nim.

- Oczywiście, szlachetny panie.

Gniew rozpląnął się równie szybko, jak się pojawił.

- Czemu to zrobiłeś? - spytał.

- Kiedy zasiadłem na tym tronie i kazałem ci przynieść jadło, zrobiłeś to?

- Pewnie że nie.

- A jednak kiedy rozkazałem mi zejść, czy nie usłuchałem natychmiast?

- Usłuchałem - rzekł powoli. Wyraz zrozumienia zaświtał na jego twarzy.

Poklepałem go po ramieniu.

- Władza nie leży w tronie, szlachetny panie. Ona jest w księciu. Tron to tylko dekoracja.

Popatrzył na mnie, na tron, następnie podszedł do niego i usiadł na nim.

- Jak wyglądam? - spytał.

- Jak księżę - odparłem. - Jak wcześniej twój ojciec.

Uśmiechnął się i pozwoliłem sobie wyjść.

Odnalazłem pokój Bobo. Kiedy wszedłem, usiadł na łóżku i miał coś powiedzieć, lecz usłyszeliśmy kroki. Obejrzałem się na korytarz i zobaczyłem nadchodzącą Wiołę.

- Słówko, Feste - powiedziała ostro. - Jutro pogadamy - rzuciłem Bobo.

Wzruszył ramionami i udałem się za księżną do pokoiku przed jej komnatą, gdzie się odwróciła i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Otrzymałam informację od syna, że zamierza wystąpić w widowisku - oznajmiła lodowatym tonem. - I dodał, że to ty go do tego zachęciłeś.

- Niezupełnie - sprostowałem. - Doradzałem mu, jak powinien zaznaczyć swoją obecność odpowiednio do pozycji, którą zajmuje.

- Kiedy będę potrzebowała twojej rady względem wychowania mojego dziecka, poproszę o nią. Przebywając tam niechroniony, będzie narażony na zbyt wielkie niebezpieczeństwo.

- Nie będzie niechroniony. Ja tam będę. Nic mu się nie stanie.

Tym sposobem jako prorok zrobiłem z siebie kompletnego błazna.

## Rozdział XV

*Nakazemy wam, bracia, pozbyć się z waszych kościołów tego zwyczaju, a raczej ubliżającego nieładu tych widowisk i haniebnych zabaw, tak aby ich grzeszność nie plamiła czci Kościoła.*

Papież Innocenty III, *Cum Decorum*

Weselcie się! O, weselcie, albowiem Pan powstał! - zakrzyknął biskup, na co wierni zawołali:

- Alleluja!

Uniósł ręce i dał znak osobom w głębi kościoła. Otworzyły się drzwi i wprowadzono okrytego czerwonym czapakiem osła, na którym jechał odziany w białą tunikę i **białe** rajtuzy chłopiec.

- *Oñentis partibus, Adventamt asinus, Pulcher et fortissimus, Sarcinis apñssimus, He% Sir Asne, he%\*!* - nie tyle **śpiewał**, co wrzeszczał chór. Wierni gładzili boki zwierzęcia, po **czym** dotykali sąsiadów, na szczęście.

Ośla zaprowadzono do ołtarza, jak się to trafia **wszystkim** osłom, po czym chłopiec zsiadł z niego i odwrócił **się** do wiernych. Wziął głęboki wdech i zaśpiewał czystym sopranem:

- *Kyrie eleison* - wytrzymując w nieskończoność **każdą** sy-

\* „Do wschodnich krain osioł przybył, piękny i mocny, do pracy zdatny, dalej, panie osle, dalej!” labę i ozdabiając ją tak przepięknymi melizmatami, że Ju-bal\*, ojciec muzyki, płakałby w zachwyceniu, słuchając go. Diakoni odpowiedzieli kolejnymi strofami wychwalającymi osiołka, a biskup stanął za chłopcem i wyciągnął ręce jakby błagalnym gestem.

- *Christe eleison* - zaśpiewał chłopiec, a chór odpowiedział mu tym samym, podczas gdy dwaj subdiakoni ustawili się po bokach biskupa i ostrożnie zdjęli zeń liturgiczną szatę. - *Ygrie eleison* - znów zaintonował, a oni przełożyli na niego szatę.

Mały biskup wprost tonął w zbyt dużym stroju. Prawdziwy biskup sam zdjął z głowy mitrę i uniósł ją nad głową chłopca.

- *Chñste eleison* - zaśpiewali unisono i na ostatni dźwięk włożył chłopcu mitrę, tak że zakryła mu całą twarz, opierając się na ramionach.

W tym momencie uderzyły cymbały, zahuczały rogi i chór wydał z siebie taki wrzask, że nic nie mogło się z tym równać. Rozpoczęło się święto głupców.

Do środka wpadła gromada satyrów, dmąc w wole rogi, bijąc w obciążone kozią skórą bębny, wygrywając na dudach i wszelkich możliwych instrumentach, które dało się zrobić z kozy lub owcy. Mężczyźni z maskami osłów, byków, wszelkimi możliwymi rogami.

Dostrzegłem Aleksandra z maską słonia, jak należało się spodziewać. Obrzucali wiernych łajnem, co budziło śmiechy i wrzaski obrzydzenia. Uwalane kobiety jęczały, lecz tego dnia bynajmniej nie miały

\* Wg Biblii potomek Kaina, przodek „wszystkich grających na cytrze i na flecie”, Rdz 4, 21. na sobie odświętnych sukien, właściwych na mszy w czas Bożego Narodzenia. Wtoczył się groteskowo sparodiowany ksiądz, osobnik z wielkim karbunkułowatym nochalem, popijający z dzbana. Zatoczył łuk kadzielnicą jak rybak zarzucający sieć, rozsyłając koszmarny smród czegoś, co w niej dymilo. Pewnie starego cholewiaka. Zobaczyłem samego biskupa. Wyglądał jak zwykły prostak. Uczerniwszy węglem gębę, grał przy ołtarzu w kości. Mężczyźni tańczyli w niewieścich sukniach, kobiety tańczyły w kole jak mężczyźni, skakały po ławkach, wyginając się wymownie a sprośnie. Skądś przywleczono piłkę i kopano ją od jednego końca kościoła do drugiego.

Świetnie się bawiłem, dopóki sobie nie przypomniałem, że muszę się trzymać swojej roli. Od tej pory patrzyłem na wszystko krzywo. Ale było cudownie, muszę przyznać, i z krytycznego punktu widzenia brakowało mi tylko jednego.

Mnie. Feste, pana wygłupu.

Z setek toreb wyjmowano kaszankę i częstowano się nawzajem. Z podziękowaniem przyjąłem kawalek. Mszę celebrował dziecięcy biskup, bełkocąc niewyraźnie spod mitry. Subdiakoni z krzykiem i śmiechem odgrywali diakonów, chłopcy z chóru - subdiakonów. Obrzucano się złośliwościami. Niektóre żarty miały tak długą brodę, że równie dobrze ja mogłem je wymyślić, i pewnie tak było. Mimo to tłum śmiał się z nich. Wszystko zgodnie ze zwyczajem.

Rozglądałem się za księciem, ale Marek zniknął. Podobnie Wiola lub jej zastępczyni. Postanowiłem wyjść na dwór i rozejrzeć się za nimi.

Dekorację ustawiono w sam czas. Raj wisiał na stopniach nowej katedry, wiatr głośno powiewał płótnami. Gęba piekła naprawdę robiła wrażenie, budziła lęk. Szeroki otwór zasłonięto adamaszkiem. Wszyscy mieszkańcy miasta, jak również okoliczni chłopcy, zebrali się na rynku, ci w głębi stojąc na wozach. Małe dzieci na ramionach dorosłych, starsze i odważniejsze wdrapały się na dachy domów i kramów. Ci, którzy nie zdołali się wcisnąć do kościoła, zebrali się najbliżej jak mogli, oczekując początku widowiska.

Przebrana banda wypadła z kościoła, roztrzając tłum. Chór szybko ustawił się na stopniach katedry, tuż koło rajy, a rozhukana i rozbrykana gawiedź stopniowo ucichła, gdy pojedynczy róg na środku placu buczał raz za razem.

Poszukałem wzrokiem Wioli i znalazłem ją stojącą z boku starego kościoła.

- Na pewno nie jest ci zimno? - spytała Marka, ubranego w przepięknie uszytą złotą dalmatykę.

- Mamo, proszę - zaprotestował na próżno, jak od niepamiętnych czasów protestują wszyscy chłopcy.

Owinęła mu szyję chustą, którą zrećźnie odrzucił, gdy tylko matka się odwróciła.

Znalazłem dobry punkt obserwacyjny w głębi placu, na niższych stopniach katedry. Czyjś głos odezwał się za moim ramieniem:

- Jak ci się podoba, pielgrzymie?

Odrzuciłem się i mało nie wyskoczyłem ze skóry. Uśmiechał się do mnie mężczyzna o czarnych wąsach i trójkątnej bródce.

Biskup roześmiał się.

- Przepraszam, że cię wystraszyłem, ale patrzyłeś z taką powagą. To radosny dzień. Weź udział w zabawie, a będziesz uczestniczył w świętości.

- Proszę o wybaczenie, Wasza Ekscelencjo. Wasze zwyczaje różnią się od naszych, a z tą brodą wyglądasz zupełnie jak szatan. Skąd ją wzięłeś?

- Anonimowy podarek, znaleziony pod drzwiami. W załączonym liście życzone mi wszystkiego najlepszego i proszono, bym nosił to podczas święta. Przystojnie się prezentuję, nie uważasz?

Złożyłem ukłon i wymówiłem się. To pozornie drobne zdarzenie mocno mnie wzburzyło. Niewidzialny wróg znów płatał figle. Zastanawiałem się, jak blisko się znajduje.

Zauważyłem Andrzeja. Stał nieopodal na stopniu i w napięciu obserwował widowisko. Podeszedłem do niego.

- Życzę powodzenia, panie Andrzeju - powiedziałem. Niemal podskoczył, słysząc, że ktoś się do niego zwraca, lecz szybko się uspokoił.

- To niezwykle uprzejme z twojej strony, *Herr* Oktawiu-szu - odparł. - Uznałem, że Lucjusz całkowicie wystarczy do wykonania zadania. Bardzo chciałem obejrzeć to na własne oczy, a nie ukrywać się za piekłem i dowiedzieć wszystkiego po fakcie.

- A kto opowie Lucjuszowi?

- Jest młody. Kiedy dość się wyuczy, będzie mógł sta-nać w tym miejscu i napaść oczy. Uwielbiam ten dzień toku. Ty nie?

- Tam, skąd pochodzę, nie obchodzimy takich świąt.

- A powinniście, powinniście. W tym roku to bardzo ważne święto, jak się weźmie pod uwagę, że przychodzi po śmierci Orsyna. Muszę powiedzieć, że Sebastian mnie zadziwił. Dotrzymał słowa, pozostał trzeźwy i pięknie wygłasza swoją partię. I pomógł przy

organizacji wszystkiego, po tym jak Fabian... Hmm, no... przykro mi, że Fabian tego nie obejrzy. Ale to będzie wielki dzień Sebastiana, zapamiętaj moje słowa.

- I, jak słyszę, księcia.

- Doprawdy? A to jakim sposobem?

- Jednak przejmie rolę Zbawcy. Tak więc Sebastian nie wystąpi w widowisku. Ale zgadzam się, że jak najbardziej zasługuje na pochwały za wszystko inne.

- Marek gra Jezusa?! - wykrzyknął pan Andrzej. - Nie miałem o tym pojęcia. Tak byłem pogrążony w przygotowaniach, że całe dni nie wychyliłem nosa poza laboratorium. To cudownie. Ale mam nadzieję, że nie wyszedł przedwcześnie z domu. Obawiam się o jego zdrowie na tym chłódzie.

- Kiedy się z nim widziałem, wydał mi się całkiem zdrów

- Hmm, szkoda że nikt mi o tym nie powiedział - rzekł, lekko marszcząc czoło. - Tak przycięliśmy lonty, żeby się zapaliły dokładnie wraz z ostatnimi słowami monologu Sebastiana. Jeśli melodia słów Marka będzie odmienna, sprawa nie wypali tak dobrze.

- Jestem pewien, że Marek się postara. To bystry chłopak.

- Oczywiście. Patrz, zaczynają.

Anioł z wolna zstąpił z wysokości, dwaj barczyści wieśniacy ostrożnie kręcili kołowrotem. Popiskujące chłopię z ostatnich kilku dni przemieniło się w pełną chwały istotę. Wiatr, który smagał rynek, zahaczył o anielskie skrzydła i zakręcił wiszącą postacią, ku rozbawieniu tłumu. Chłopi chwycili go za nogi i odwrócili ku widowni. Przełknął ślinę, nabrał oddechu i wrzasnął:

- A teraz natęźcie uszy na moje słowa! - Cisza, która zapadła, wprawiła go w zdumienie. Kiedy zdał sobie sprawę, że panuje nad zebranymi, nabrał odwagi i mówił pełnym, radosnym głosem: - Usłyszycie oto rozprawę Jezusa z szatanem. O tym, jak Jezus do piekieł zstąpił, by stamtąd sobie wiernych do niebios wyprowadzić. Diabeł, taką moc ujrzawszy...

Ludziom zaparło dech i rozstąpili się, gdy wtoczono krzyż, na którym z rozłożonymi ramionami, budząc litość, spoczywał Marek. Podczas krótkiej pantomimy został zdjęty z narzędzia męki i złożony do grobu. Leżał tam bez ruchu, aż żałobnicy odeszli, po czym wstał i odsunął na bok kamień. Chór zaśpiewał o Zmartwychwstaniu. Kiedy skończył, młodzieńki Jezus pewnym krokiem udał się ku paszczy piekieł. Odwrócił się do widowni, na koniec prologu błogosławiąc ją wyciągniętymi dłońmi.

- Wiele ciężarów zniosłem - ogłosił z mocą i wyraziście. - Wiele smutków wycierpiałem.

I widok chłopczyny, który nie tak dawno utracił ojca, wywołał łzy na policzkach wielu. Płakały matki, które straciły małżonków i synów, płakali synowie, którzy stracili ojców. Pan Andrzej łkał obok mnie.

- Słuchaj go - szepnął z dumą. - Widziałeś gdzieś takiego chłopca?

Kiedy Marek skończył monolog, na bramę piekieł wyskoczył szatan; jego czerwona peleryna zawirowała.

- Kogóż tutaj widzę? - zagadał. - Głosem się jego brzydę! Za czyny jego wszystkie jeszcze do nas trafi chyba! Raz-dwa pojmie nasze sztuczki, z ogniem pozna te nauczki!

- Kto to? - spytałem.

- Stefan, pierworodny syn bogatego kupca - odparł Andrzej. - Niektórzy mówią, że aż się prosiło, żeby grał diabła.

- Widać, że gra z uciechą.

Wmaszerowały demony. Jeszcze niedawno niezdarna banda amatorów przemieniła się w doświadczoną trupę komediantów. Zatrzaszczyli się o to, żeby lodowa breja przed diabłą gębą utrzymała się, i wykorzystali ją ile się dało. Szczególnie jeden chudy, drżący trefniś budził wiele radości i kilku ludzi wskazało domyślnie w kierunku Andrzeja. Ten wydawał się obojętny na te gesty, skupiony na dialogu.

Pojawił się strażnik piekielnej bramy, demon z niebywale wielkim kluczem. Chór zaśpiewał i pan Andrzej trącił mnie w bok.

- Proch jest w dwóch workach na bramie - wyjaśnił. - Będą dwa błyski. Pierwszy, kiedy Jezus zbliży się do bramy. To z tego po prawej.

- Chyba trzy - poprawiłem go. - Co?

- Na górze są trzy worki.

Spojrzał na miejsce, które wskazałem.

- To dziwne - mruknął. - Powinny być tylko dwa. Sam je tam położyłem. Dlaczego... - Wytrzeszczył oczy i nagle zbiegł po schodach, z zaskakującą siłą roztrzając ludzi stojących mu na drodze. - Przepuście mnie! - krzyczał.

Widzowie ryczeli ze śmiechu na widok zabawnego szlachcica. Wielu, widząc okazję do złośliwej psoty, zastawiało biedakowi drogę, tak że ogarnięty coraz większą paniką odbijał się od nich jak piłka. Ogarnięty nagłym przeczuciem pobiegłem za nim. Zaliczyłem zdrową porcję kuksańców, ale nie straciłem równowagi i przebiłem się aż do pana Andrzeja.

Razem stworzyliśmy żywy, dwuosobowy klin i przepchaliśmy się niemal na czoło tłumowi, jakieś trzydzieści stóp od miejsca widowiska.

- Marku! - krzyknął, podskakując i machając rękami, aby zwrócić jego uwagę, ale



chór zagłuszył te wrzaski, a ksiązę był skupiony na roli.

Kiedy skończyli, Marek stanął przed kurtynkami u wejścia do piekła i podniósł dłoń.

- Wrota piekielne obalę i trzódkę mą zabiorę w chwale - powiedział śpiewnie. - Szatanie, rozkazuję ci! Po sądny dzień zostaniesz w czeluści i twego zła nikt ci nie odpuści!

Rozsunął kurtyнки i wszedł do środka. W tym momencie nad bramą buchnęły czerwone dymy i poszedł wielki błysk. Publika wiwatowała i biła brawo. Ostatnim wysiłkiem pan Andrzej przebił się przez rozkrzyczany tłum, ślizgiem dotarł do piekieł i porwał Marka. Znów błysnęło i krzyki uciechy przeszły w okrzyki zgrozy, gdy płomień błyskawicznie ogarnęły całą konstrukcję. Przerażony Marek spojrzał na spadający na niego dach dekoracji. Andrzej pociągnął chłopca dalej od adamaszkowych kurtynek, w tej samej chwili, w której zajęły się ogniem. Porwałem ich obu i zaciągnąłem w bezpieczne miejsce.

Stojący najbliżej bramy widzowie uciekli, wrzeszcząc przeraźliwie, gdy ich ubrania zajęły się płomieniem. Bystrzejsi mieszczenie obalili ich na ziemię i toczyli po śniegu, dusząc ogień. Tłum wylewał się z placu i wielu w ferworze panicznej ucieczki stratowano.

Przybiegła Wiola, krzykiem wzywając Marka. Przyzwałem ją, dając znaki rękami, i rzuciła się ku niemu, mocno ściskając syna i płacząc. Uniosłem ich na nogi.

- Weź go stąd! - krzyknąłem. - Biegnijcie do pałacu i pilnujcie bram.

Spojrzała na mnie tępo, po czym skinęła głową i odciągnęła go z rynku. Był oszołomiony, ale cały i zdrowy.

Płomień iście czarcim sposobem biegły po dekoracji, jakby ożywione własną złośliwą wolą. Przygalopował Perun. Raz przynajmniej ucieszyłem się na jego widok.

- Cofnąć się! - rozkazał ciżbie. - Straż, tutaj! Obalić to! Przybiegli dwaj strażnicy z bosakami, zahaczyli je o szczyt dekoracji i pociągnęli ją. Intensywny żar zmusił ich do odwrotu. Wybuchł kolejny worek płomienistego proszku, wzbudzając tym większą panikę tłumu. Wiatr wzmógł pożar i rozrzucił po rynku płonące szczątki. Niebo zajęło się ogniem, po nim trony.

- Dajcie wiadra! - krzyknął Perun. - Wiadra z wodą.

- Nie! - ryknąłem i spojrzał na mnie ze zdumieniem i wściekłością. - Dajcie piasek z plaży. Nie widzisz? To grecki ogień. Woda go nie powstrzyma.

Kiedy zrozumiał, spał wierzchowca, pognął na obrzeże rynku i zarekwirował chłopski wóz z koniem.

- Wskakuj! - rozkazał mi.

Skoczyłem do wozu wraz z dwoma strażnikami i mieszczaninem. Perun porwał lejce i popędził konia. Zaskoczone zwierzę pogalopowało na złamanie karku przez tłum. Ludzie

uskakiwali nam z drogi. Kiedy mijaliśmy południowo-zachodnią bramę, jeden ze strażników wyskoczył z wozu. Porwał kilka łopat z wieży i pobiegł za nami, na plażę.

Odrzucaliśmy łopatomy śnieg, aż dobraliśmy się do piasku, gorączkowo napełniając nim wóz. Dołączyły do nas inne.

- Z powrotem! - krzyknął Perun. - Nie warto wypełniać całych. Wracajcie z tym, co macie.

Koń ciężko robił bokami, gdy Perun pędził go przez bramę. Zeskoczyliśmy z wozu i popchnęliśmy go, byle szybciej. Kiedy dotarliśmy z powrotem na rynek, diabli łeb gorzał. Grecki ogień pewnie przeniknął go całego. Porwaliśmy łopaty i zaczęliśmy tłumić piaskiem płomienie.

Perun pracował jak wściekły, ramię w ramię ze mną.

- Skąd się znasz na greckim ogniu, kupcze? - krzyknął, gdy machaliśmy łopatomy.

- Raz widziałem, jak użyto go w Aleppo - odparłem. - Do odparcia pirackiej floty. Rozrzucono go z portowych wież na statki. Płonął jak podpałka, chociaż był środek burzy. Wszystkie załogi zginęły. To był widok, którego się łatwo nie zapomina.

- Ani taki, który się często ogląda! - wrzasnął. - Mów, co chcesz, ale nie jesteś kupcem.

- Jestem przyjacielem tego miasta - odpowiedziałem twardo.

Podbiegł biskup, nadal z przyklejoną sztuczną brodą. Złapał Peruna za ramię. Kapitan odwrócił się i odepchnął go, nie zdając sobie sprawy, kto się kryje za przybraniem. Zaraz jednak go rozpoznał i zaczął przeproszać.

- Katedra! - krzyknął przeraźliwie biskup. - Ratuście katedrę!

Płachta niebios wyrwała się z więzów i łopocząc, uniosła w powietrze. Płonęła jak anioł zemsty. Spoczęła na rusztowaniu. Od świętego Szczepana nie spadł płatek śniegu i drewno oraz płótno wyschły na wiór. Zaczęły się dymić, po czym buchnęły ogniem.

Perun odwrócił się do mnie.

- Jeśli jesteś przyjacielem tego miasta, chodź za mną - powiedział niemal szyderczo. Dobył miecza i pobiegł do rusztowania. Zaczął się na nie wspinać, nie zwracając uwagi na płomienie.

I ja, jak to błazen, ruszyłem za nim.

- Mam nadzieję, że nie boisz się wysokości! - krzyknął. - Musimy się dostać na górę i odciąć płótna. Jak będziemy mieli szczęście, uratujemy Dom Boży.

Gnałem w górę za nim. Wysokość mi nie przeszkadzała. Łapiące za pięty płomienie - już tak.

Perun dotarł na szczyt i zaczął rozcinać liny łączące płótna z deskami rusztowania. Pobieglem na drugi koniec kładki i robiłem to samo. Górny rząd płócien opadł na ziemię, gdy spotkaliśmy się w połowie, i dwaj strażnicy odciągnęli go ku centrum rynku. Czekало nas jeszcze pięć poziomów, a środek gorzał już mocno.

- Zwijaj się - rozkazał Perun, ale nie potrzebowałem ponagleń.

Ześlizgnąłem się po belce poziom niżej. Nie bawiłem się w rozwiązywanie węzłów, ale ciąłem po rogach płócien, gdzie były liny. W końcu przydał się miecz, pomyślałem. Otaczały mnie kłęby dymu i szybko owinąłem usta i nos chustą, żeby móc dłużej wytrzymać. Druga kondygnacja rusztowań była wolna. Mimo zimna pocilem się jak piekarz.

Kiedy zeszliliśmy niżej, rusztowanie pod naszymi stopami już się zajęło. A do kamiennych schodów mieliśmy jeszcze trzydzieści stóp. Za murem widać było Słonia, a jeszcze dalej port.

- Jak zejdziemy, jeśli to runie? - wrzasnąłem do Peruna, gdy zbliżaliśmy się do siebie, siekąc sznury.

- Pewnie szybko - odparł. - Schodź, jak chcesz.

Nie wiem, co mnie opętało, ale atakowałem płótna z furją, jakiej nie czułem od lat. Żadnej litości dla wroga. Lizał mi buty i albo mogłem posłać go w diabły, albo czekał mnie koniec w postaci zwęglonego kawałka mięsa dla wron. Czułem nieprzyjemny żar pod podeszwami. Akurat w chwili, gdy opuściłem wzrok, płomienie buchnęły przez deski, które złożyły się pode mną. Ręka Peruna wyskoczyła między kłębami dymu jak atakujący wąż i złapała w żelazny uścisk moją. Podciągnął mnie w chwilowo bezpieczne miejsce.

- Nie ma czasu bawić się z płótnem - zdecydował. - Odetnijmy całe rusztowanie. Ty ten koniec, ja tamten. Kiedy skończysz, złaź.

Zaatakowałem liny, które łączyły szkielet rusztowania z katedrą, podczas gdy on przedzierał się przez płomienie na drugi koniec kładki, zręcznie przebiegając po najwyższych deskach. Skończyłem swoją część roboty, po czym ześlizgnąłem się po słupie na schody. Krzyknąłem na strażników z bosakami, by odciągnęli rusztowanie, i sam napałem na jego krawędź, gdy Perun znalazł się na stopniach. Powoli cała konstrukcja zaczęła się odchylać od ściany katedry. W końcu runęła, dymiąca góra drewna i płócien, przygniatając jednego ze strażników. Wył z bólu, podczas gdy jego koledzy przedzierali się do niego i w końcu odwlekli go w bezpieczne miejsce. Niezasłonięta hełmem twarz była straszliwie poparzona.

Dobry Boże, pomyślałem, dopiero co ryzykowaliśmy życie dla kupy kamieni.

Biskup stał w bezpiecznej odległości, patrząc na swój przyszły ośrodek władzy. Łzy spływały mu po twarzy. Odwróciłem się i oceniłem, jak się nam udało. Nie było tak źle.

Marmur był gdzieś osmalony, niektóre spoiny popękały od żaru.

- To straszne, po prostu straszne - zawodził biskup. Popatrzyłem na niego, potem na poparzonego strażnika, niesionego przez kolegów. Nic nie powiedziałem.

Tłum z wolna powrócił, w milczeniu oglądając zniszczenia. Adam i Ewa tulili się do siebie i płakali. Maski zrzucano, instrumenty leżały nieme. Kolejny koszmarny wrzask przeszył powietrze.

- Mordercy! - wył pan Andrzej. Roztrącając zebranych, niósł bezwładne ciało Lucjusza, chwiejąc się na nogach. Chłopiec był strasznie poparzony, twarz ledwo dało się rozpoznać, ale nie ogień go zabił. Krew splamiła tors, z którego sterczała rękojeść sztyletu. - Tchórze! - krzyczał Andrzej. - Który z was to uczynił? - Skulił się na ziemi koło wrót piekieł, wyglądając jak wiązka połamanych szczap. - Był tylko chłopcem - szeptał i kołysał w ramionach nieszczęsnego młodzieńca.

Perun ukląkł obok niego, wyciągnął sztylet z piersi trupa i dokładnie obejrzał ostrze oraz rękojeść. Podeszedł do miejsca, w którym stałem.

Byłem jak sparaliżowany. To wszystko było dla mnie jednym wielkim zaskoczeniem. Podbiegła krzyżąca kobieta i wtuliła twarz w pierś Lucjusza. Chyba jego matka. Znów spojrzałem na chłopca i ostatni fragment układanki zajął swoje miejsce.

- Podejrzewam, że ktoś zabił tego chłopaka i podłożył ogień - powiedział Perun. Wydał mi się starszy, zmęczony wysiłkiem. Sadza pokrywała mu twarz.

- Na to wygląda. Spojrzał na mnie zimno.

- Już mnie nie obchodzi, czy pracujesz dla jakiejś osoby - rzekł. - Dwanaście dni dobiegło końca, a z nimi twój czas ochronny. Spotkamy się jutro.

- Daj mi jeszcze jeden dzień, a będziesz usatysfakcjonowany - powiedziałem błagalnie. - Tyle mi jesteś winien za pomoc.

Ogarnął wzrokiem miejsce katastrofy. Dymy były pod niebo, poparzony strażnik wrzeszczał. Matka Lucjusza, biskup, Andrzej płakali, każdy z innego powodu. Nagle z ust Peruna usłyszałem coś nieoczekiwanego. Śmiech.

- Czemu nie? - powiedział. - To wszystko bez znaczenia. Jeden dzień życia, kupcze. Ciesz się nim, póki możesz.

## Rozdział XVI

*Mes meuz vaut apertfolie he trop coverte fehnie.* („Ale jawne szaleństwo dużo lepsze jest niż nieprawość skryta”.)

*Z Przysłów Marii Magdaleny*

JDostrzegłem jednego z bardziej pleczystych dworzan podpierającego ścianę przy izdebce Bobo. Niedbale czyścił długim nożem paznokcie. Skinąłem mu przyjaźnie, co zignorował, zajęty wycinaniem skórek. Wszedłem do środka i szepnąłem:

- Wybierz język.

- Jak twój hiszpański? - spytał, obejrzawszy się na drzwi.

- W sam raz - odparłem i od tej pory mówiliśmy tym językiem, przyciszonymi głosami.

- Jestem pod obserwacją - poinformowałem go.

- A ja pod strażą - rzekł. - Od wczoraj ich opieka nabrała niezwyklej troskliwości.

- Słyszałeś, co się stało.

- Tak, gwarzyliśmy z moim aniołem stróżem. Masz za sobą niezły dzień. I dowiaduję się, że pan Andrzej jest bohaterem. Akurat on.

- Uratował księciu życie. Ale jest kompletnie załamany z powodu Lucjusza.

- Nie możesz uratować wszystkich - rzekł, patrząc na mnie ostrym wzrokiem.

- Nie. Ale postaram się uratować ich tylu, ilu przetrwało, i zakończyć dziś tę zabawę.

Jak się czujesz?

- O wiele lepiej, dziękuję.

- Będziesz mógł szybko działać, gdyby sytuacja się pogorszyła?

Roześmiał się.

- Chcesz powiedzieć, że może być jeszcze gorzej? Jaki masz plan?

Pochyliłem się i szepnąłem:

- Znalazłem nieoczekiwanego sojusznika. Wygląda na to, że Marek mi ufa. Zgodził się zawezwać na popołudnie wszystkich liczących się ludzi w mieście.

- Mam nadzieję, że nie oczekują ode mnie występu - westchnął.

- Zabawianiem zgromadzenia ja się zajmę - obiecałem. - Naśladuj mnie. I na wszelki wypadek przeprowadziłem Zeusa i Feza do stajni Pod Słoniem. Stamtąd będziesz mógł się łatwo przeprowadzić przez rzekę i udać na południe, do Spalato.

Usłyszeliśmy bliski odgłos kroków. Uścisnęliśmy sobie ręce i nie zdążyłem jeszcze wyjść, jak zaczął się pakować.

Marek czekał w moim pokoju, usadowiony na parapecie i patrząc na przełęcz we wschodnim stoku.

- Zrobiłem, co chciałeś - powiedział. - Powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

- Wszystko w swoim czasie, szlachetny panie - obiecałem mu. - Dowiesz się wielu

rzeczy, które popsują ci humor. Strzeż się i bądź dzielny. - Bardzo źle o sobie myślałem, tak go wykorzystując, ale nie miałem wyboru.

- Jak się to dzieje, że tak ci ufam, tak krótko cię znając? - zastanawiał się na głos.

- Szlachetny panie, w gruncie rzeczy ludzi nie da się przeniknąć - odparłem. - Jako książę będziesz musiał zdecydować, komu ufać, dysponując tylko okruchami informacji, a od twojej decyzji będzie wiele zależało. Niektórym zaufasz po krótkim poznanie, innych będziesz znał całe życie, nadal niepewny ich motywów działania. Niektórzy mogą przejść całe życie, nie ufając nikomu, inni, ufając wszystkim. Żadna z tych postaw nie jest właściwa, a pomiędzy nimi jest ocean niepewności. I tylko tego możesz być pewien, szlachetny panie. Jestem tu, by ci pomóc, strzec ciebie, twojej rodziny i miasta. Pod koniec dnia poznasz mnie lepiej, to mogę ci obiecać.

Podszedł do drzwi, po czym się odwrócił.

- A jutro, *Herr Oktawiuszu*?

- Zobaczymy - powiedziałem. - Nie wybiegam tak daleko myślami.

Wyszedł, a ja jak prawdziwy zawodowiec uciałem sobie drzemkę. Nie było takiego, co wiedziałby, kiedy znów przyłożę głowę do poduszki.

Obudził mnie Malachiasz, nie wykazując się zbytnią delikatnością.

- Wykonałem twoje instrukcje - rzekł cicho. - Wszystko gotowe.

- Dziękuję.

- Ostrzegam cię, jeśli coś przydarzy się księciu lub księżnej, uznam cię za winnego.

- Zdaję się na twoją łaskę, zacny Malachiaszu. Lecz czy mogę błagać o jeszcze jedną drobną przysługę?

Uśmiechnął się ponuro.

- Żadna z dotychczasowych nie była drobna.

- To prawdziwy drobiazg. Chodzi o misę z ciepłą wodą i nieco mydła, gdybyś był tak uprzejmy.

Wydawał się nieco zdziwiony, ale uklonił się i wyszedł. Zacny człek. Muszę przyznać, że rozkoszowałem się dobrą obsługą. Dawno nie zaznałem tej przyjemności.

Wkrótce pojawiła się Wiola, trzymając paczkę.

- Potrzebujesz tego? - spytała, rozwijając z opakowania ołtarzyk.

- Dziękuję - powiedziałem, biorąc go i umieszczając na stole przy oknie, w najmocniejszym świetle. Otworzyłem drewniane skrzydła, potem deseczkę zakrywającą lusterko. Przez chwilę patrzyłem na swoje odbicie i odwróciłem się do księżnej. - Nie mogę ocenić własnej twarzy. Wygląda mi na starą i zużytą. Czy życie wyryło na niej jakieś cechy

charakteru?

- Raczej wyrzeźbiło, niż wyrzyło - poprawiła mnie, przyglądając się krytycznie. - Była wystawiona na bezlitosne działanie żywiołów. Ale jej fundamenty wydają się mocne. Wiele można na nich zbudować.

- W takim razie wpierw muszę usunąć drzewa i zarośla - oznajmiłem, gdy wrócił Malachiasz, przynosząc misę z wodą oraz mydło.

- Co zamierzasz uczynić? - spytała.

- Zgolić tę przeklętą brodę - rzekłem, sięgając po mydło.

Zerknąłem przez kotarę, patrząc, jak się roją w wielkiej sali. Pierwotni gracze, nowi podejrzani, przypadkowi widzowie, chciwi, potrzebujący i niezainteresowani. Izaak rozglądał się ciekawie, jakby nigdy wcześniej nie postawił stopy w tym pomieszczeniu. Może tak było. Bobo spoczywał wygodnie na krześle, rozmawiając uprzejmie z płaszczącymi się gośćmi. Konwersacje nawiązywały się, przerywały, odpływały ku tacom z jedzeniem. Oliwia siedziała pogodna w grupie mężczyzn, plotkując o ostatnich wydarzeniach. Zakryłem oblicze kapturem i czekałem w cieniach.

Weszli Marek i Wiola i wszyscy się uklonili. Wielu zerkało na księcia, starając się ocenić, jak się prezentuje po pożarze, podczas gdy Perun podpierał ścianę w głębi i obserwował wszystko. Uśmiechnąłem się do siebie, gdy Marek pewnym krokiem podszedł do tronu ojca i usiadł na nim, prowokując kilka westchnień zachwytu.

- Wezwaliśmy tu was w sprawie o wielkim znaczeniu dla naszego miasta - zaczął. - Zaatakowano nas od środka. Dwa morderstwa i zdradziecka próba pozbawienia życia nas samych. - Promieniował takim dostojeństwem, że zapominało się, iż głos, który je wspiera, to czysty sopran. - Dziękujemy naszemu przyjacielowi, panu Andrzejowi.

Cała sala klaskała i szlachcic spłonął rumieńcem.

- I udzielamy pochwały naszemu kapitanowi za heroiczne spełnienie jego obowiązków.

Kolejny aplauz, chociaż nieco lżejszy. Perun się skłonił.

- Jest człowiek, który pragnie rzucić światło na te mroczne wydarzenia - mówił dalej książę. - Ma nasze ucho, ale nie przystąpi do działania, dopóki nie przekona również was. Zażądał, byśmy udostępnili nasze kwatery, aby stały się forum waszego oświecenia. Nie wiemy więcej od was, co powie, ale zalecamy, byście obdarzyli go uwagą.

To zabrzmiało jak sygnał na wejście. Rozsunąłem kotary i powoli wszedłem do sali. Niektóre kobiety wrzasnęły przeraźliwie na widok mego zakrytego oblicza. Tobiasz zaśmiał się pod nosem.

- Kimkolwiek jesteś, spóźniłeś się na święto - zawołał. - Czas przebieranek minął.

- Lepiej późno niż wcale, panie Tobiaszu - odparłem, zsuwając kaptur z głowy.

- No, to ci dopiero! - wykrzyknął. - To kupiec, i to ogolony.

- Zgadza się. Jak teraz ci się podobam? Wzruszył ramionami.

- Człek pozostaje sobą, z brodą czy bez brody - oświadczył. - Dla mnie to wszystko jedno.

- A tobie, hrabino? - spytałem, odwracając się do Oliwii. - Co ty myślisz o tej ogolonej twarzy?

- Z brodą bardziej się mi podobała - odrzekła. - Twarz pod nią jest całkiem zwyczajna.

O co chodzi, *Herr Okta-wiuszu*?

- Mam zwyczajną twarz. To błogosławieństwo i przekleństwo całego mojego życia. Nie wpada w oko, czyż nie tak?

- Jak to zwykła twarz, zgadza się. Chociaż... - przerwała, ogarnięta niepewnością. - Czy myśmy się nie spotkali?

- Na tym polega magia brody - powiedziałem. - Na tym, jak zmienia nasz wygląd. Nadaje zdecydowanie chwiejnym, męskość chłopcom i zakrywa twarz równie dobrze jak maska. A ukaż się wpierw z brodą, potem ją zgól, a będziesz jeszcze trudniejszy do rozpoznania. Zauważyłem, że w tym mieście nie cieszy się popularnością. Oczywiście, Izaak się nią szczyci, ale to z powodu jego religii. Kapitan ma tęgą, ale nie pochodzi stąd. I Klaudiusz... A tak przy okazji, gdzie Klaudiusz?

- W świętym ustroniu, klasztorze cystersów - powiedział gładko Izaak.

Wzruszyłem ramionami.

- To nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Ale do rzeczy. Pragnę podziękować wam wszystkim za gościnę, którą okazaliście temu oto pokornemu podróżnemu. W zamian chciałbym przedłużyć zabawę o jeszcze jeden dzień. Przecież, jak powiadają, dwunasta noc jest do zabawy, trzynasta do objawień.

- A jakie to objawienia masz dla nas, kupcze? - spytał Sebastian. - Że twój plan z korzeniami to bujda?

- Między innymi i to, hrabio. Zanim skończę, objawię, kim jestem i kim są inni. Ale wpierw muszę was nieco nauczyć o przebraniach. Broda to jedna metoda. O wiele lepsza... Hmm, pozwólcie, że tak to uczynię. Szlachetny panie, lubisz zagadki?

- Pozwolę sobie powiedzieć, że jestem całkiem dobry w ich rozwiązywaniu - rzekł Marek.

- W takim razie rozwiąż tę. Zawsze niewidzialny, zawsze niedotykalny, zawsze



niesłyszalny, zawsze niewyczuwalny. Ci, którzy mnie mają, mogą się cieszyć życiem, ale jednak w końcu zniszczę życie. Com ja za jeden?

- Czas - odparł z miejsca.

- Bardzo dobrze, szlachetny panie. Twoja zręczność myślenia niewiele ma sobie równych. Czas, panowie i panie, jest wielkim przebraniem. Zmienia oblicza, cielesność, włosy, głosy. Przede wszystkim zaś zmienia zachowaną z przeszłości pamięć o ludziach. - Podszedłem do stołu i usiadłem przy nim, tyłem do widowni, umieszczając przed sobą ołtarzyk i moją torbę. - Jak możemy pokonać czas, hrabino? - spytałem, otwierając ołtarzyk i odsłaniając lusterko.

- Nie możemy - rzekła. - Ale możemy stworzyć iluzję, że się nam to udało.

- Znakomicie powiedziane - pochwaliłem ją. - A czego używasz, by stworzyć tę iluzję?

- Sekretów, *Herr* Oktawiuszu. Sekretów, znalezionych w maściach i pudrach.

- Hrabina jest szczerą co do sztuczności, po które sięga. Cóż za rzadkość! To barwiczki i inne mazidła zachowują młodość i piękność. Niewielu mężów je stosuje, chociaż każdy błazen zużywa ich za dziesięciu. - Rozwiązałem torbę. - Czym bielisz twarz, *senor Bobo*?

- Białą ołowianą - odparł.

- Otóż to. Ja nad nią przedkładam pszeniczną mąkę wymieszaną z odrobiną kredy. - Przy tych słowach roztarłem ją na twarzy. - Jej biel nie jest tak czysta, ale jest jej pod dostatkiem i niewiele kosztuje. - Spojrzałem w lustro. Zwykle potrafię sobie nałożyć białą twarz, nie patrząc, ale od chwili, w której czyniłem to po raz ostatni, minęło kilka tygodni. - Patrzcie, jak czas umyka przed atakiem. Zmarszczki są wygładzone, rysy twarzy zatarte, wszelkie cechy charakteru rozpuszczone. Ta twarz staje się białym płótnem, na którym może się pojawić wiele twarzy.

- Jego akcent zniknął - zauważył Sebastian.

- Ten głos - szepnęła Oliwia. - Znam ten głos. Podkreśliłem oczy zaostrzonym patyczkiem maczanym w antymonie.

- Unikam bieli ołowianej - powiedziałem. - Pewien Rzymianin, niejaki Galen, dostrzegł, że ołów jest umykającą uwadze trucizną, która może doprowadzić człowieka do utraty zmysłów. - Poróżowiłem policzki i wargi. - Tak przy okazji, *senorblaźrnie*, kiedy wiadomo, że błazen oszalał? - Na koniec mój znak firmowy, małe zielone karo pod każdym okiem, uczynione malachitem.

- Nie wiem, bracie błaźnie - odrzyknął Bobo. - Kiedy wiadomo, że błazen oszalał?

Odwróciłem się do sali.

- Kiedy zachowuje się jak wszyscy - rzekłem i skłoniłem się.

- Dobry Boże, to Feste! - wykrzyknął pan Tobiasz.

- Feste - szepnął w zdumieniu i zachwycie księżę.

- Mój pstrokaty strój ma własną tradycję - powiedziałem, odrzucając płaszcz i ukazując się w pełnej błazniej chwale. - Chociaż wielu woli oglądać błaznów podczas ich występów nagich, jest to nieco niepraktyczne, zwłaszcza o tej porze roku. Strój błazna ma wiele barw. Wynika to z konieczności, gdyż musimy zszywać go z takich kawałków materiału, jakie znajdziemy. Ale taki strój oddaje charakter samego człowieczeństwa, gdyż ten również składa się z wielu kawałków i łat, nieustannie dodawanych i cerowanych.

- Jeśli cnota coś przeszkobie - zacytowała Oliwia - przypinamy jej łatkę grzechu; jeśli grzech okaże skruczę - łatamy go cnotą\*.

Skłoniłem się jej.

\* *Wieczór Trzech Króli*, akt 1, sc. 5, kwestia Błazna (przeł. S. Barańczak).

- Jestem zdumiony i zaszczycony, że pamiętasz, pani - powiedziałem.

- Byłeś mi wielkim pocieszeniem, kiedy mój brat zginął - rzekła. - Nie zapomniałam. Ale, Feste, powiedz nam, dlaczego tu jesteś?

- Nie posłałaś po mnie, szlachetna pani? - Nie.

- Czy uczynił to ktoś z was? - spytałem. Odpowiedziały mi przeczące pomruki. - Jednak ktoś musiał to zrobić. Szlachetni panowie i szlachetne panie, aby zdać uczciwą relację, muszę wprowadzić was w pewne tajemnice mojego fachu. Zeznanie zawodowca, że tak powiem. Gdyż mimo iż przysłowie powiada, że tylko pozycja króla i błazna dane są od urodzenia, nie muszą się o nią dobijać, w wypadku błazna nie jest to do końca zgodne z rzeczywistością. Mam umiejętność, wyuczoną na łonie cechu, która za cel ma utrzymanie wysokiego poziomu kiepskiego życia. Podczas gdy wy uczycie się siedmiu sztuk wyzwolonych, my studiujemy siedem błazeńskich, a są to... *señor* Bobo?

- Żonglerka, koziołkowanie, języki obce, muzyka, magiczne sztuczki, cięte repliki i rymowanie na zawołanie.

- Brawo, *señor*. Podczas mojego ostatniego pobytu w cechu otrzymałem wiadomość. Orsyno nie żyje, spadł z urwiska. Przy okazji, szlachetny panie, pozwól mi teraz, gdy jestem w mojej prawdziwej postaci, złożyć ci kondolencje. Wiele lat temu znałem i kochałem twojego ojca.

- Dziękuję, Feste. Jestem szczęśliwy, że w końcu mogę cię poznać.

- Szlachetny panie, zgłosiłem ci, że tego dnia przyniosę ci smutne wieści. I nie ma

pięknych słów, sposobów ani magicznych sztuczek, które by je osłodziły. Ale częścią paradoksu mojej profesji jest to, że gdy nałożę makijaż oraz strój i przemienię się w chodzącą maskę, mam swobodę czynić to, czego inni nie mogą: mówić prawdę.

- Jaką smutną prawdę masz dla mnie, zacny Feste?

- Że twój rodzic został zamordowany.

Chłopiec pobladł, a wszyscy zebrani wydali okrzyk żalu i konsternacji.

- Jak to możliwe? - szepnął. - Spadł z urwiska.

- Nie żył, zanim spadł, szlachetny panie. Za pozwoleniem twojej matki zbadałem ciało. Tył czaszki okazał się zmiażdżony tępym narzędziem. Jednakże upadł na twarz u podstawy urwiska. Zamordowano go, Marku.

- To prawda, szlachetny panie - potwierdziła Wiola, kładąc mu ręce na ramionach.

Wyrwał się z uścisku, opanowując łzy.

- Kapitanie, oglądaliście ciało. Czy zgodzilibyście się z moim wnioskiem?

- Jeśli tył czaszki miał zmiażdżony - powiedział Perun, zastanawiając się - to w takim razie tak. Zgodziłbym się.

- Ale kto to uczynił? - zawołał pan Andrzej. - I jaki by to miało związek z... - Przerwał, ogarnięty nagłym lękiem. - Malwolio? - szepnął.

- Przyszedł mi na myśl - przyznałem. - W końcu spełniłby starą przysięgę zemsty. Tak więc przybyłem do Orsy-no. W cechu moi bracia błaznowie zdecydowali, że udam się w podróż przebrany za kupca i będzie mi towarzyszył kolega po fachu w stroju błazna. Tym sposobem mógłbym bezpiecznie przeprowadzić śledztwo, podczas gdy on odwróciłby uwagę naszego niewidzialnego wroga. Ale nasz plan nie wypalił. Podczas wizji lokalnej miejsca, z którego spadł Orsino, podjęto próbę ataku na moje życie. Za pomocą kuszy.

Kolejne pomruki i Perun ostro na mnie spojrzał.

- Czemu mi tego nie zgłosiłeś, błaznie? - spytał.

- Bo znalazłeś się na mojej liście podejrzanych - odparłem.

Ze spokojem rozważył to oskarżenie.

- Z twojej perspektywy to możliwe - przyznał. - Czy nadal na niej figuruję?

- Tak. Podobnie jak ty - powiedziałem, zwracając się do biskupa. - I ty. - Tym razem to było skierowane do Izaaka.

- Oburzające - wysapał biskup. Izaak parsknął śmiechem.

- Nie obrażam się. Podejrzewa się mnie o tyle rzeczy - powiedział. - Ale czy widziałeś napastnika?

- Nie, ale go słyszałem. Miał głos Malwolia. A Bobo, który mnie strzegł, widział

człowieka w mnisim kapturze i z brodą, która przypominała zarost Malwolia.

- I Malwolio go uderzył - dokończył Perun.

- Chciano, żebym w to uwierzył - powiedziałem. - Lecz jak zauważył Bobo, grając ze mną wczoraj wieczorem w szachy, w tym incydencie było coś dziwnego. To niepodobna, aby Malwolio po piętnastu latach nosił tę samą czarną trójkątną bródkę. Bobo zasugerował, że chodziło o to, byśmy go zobaczyli i przeżyli atak, po czym o tym rozpowiedzieli, tak by każdy był święcie przekonany, że to nie nikt inny, lecz właśnie Malwolio się na nas zasadził.

- Czy teraz chcesz powiedzieć, że było inaczej? - zaprotestowała Wiola. - Słyszałeś jego głos.

- Szlachetna pani, potrafię do złudzenia oddać głos każdej osoby będącej w tej sali. Głos Malwolia był szczególnie łatwy do naśladowania.

Patrzyła na mnie długo i ostro.

- Powiedziałaś mi, że Malwolio zabił mojego małżonka - rzekła.

- Kiedy to było? - spytał Sebastian. - Jak długo o tym wiesz, błaznie?

- Ten, kto zabił Orsyna, wiedział, że tamtej nocy będzie samotny na urwisku - powiedziałem. - Ale to było za mało. Orsyno chodził tam każdego wieczoru. Jego zabójca musiał wiedzieć, że wszyscy trzej ludzie, którzy normalnie mu towarzyszyli, nie będą mogli tego zrobić.

- To było tego wieczoru, którego zachorowałem - zauważył Marek.

- A ja byłem z synem - dodała Wiola.

- Tym sposobem pozostaje Klaudiusz - powiedział Pe-run. - Gdzie przebywał? Czy mam wysłać za nim moich ludzi?

Spojrzałem na Wiołę. Powoli skłoniła głowę.

- Nie zastaną Klaudiusza w klasztorze. Klaudiusz jest tu.

- Gdzie? - spytał Marek.

- Przy twym boku - powiedziała. - Wiola jest Klaudiuszem.

Przez chwilę panowała pełna zdumienia cisza, po czym Tobiasz zahuczał:

- Dobry Boże, znów wycięła ten sam numer! Sebastian spurpurowiał. Rzucił się na siostrę i trzeba go było powstrzymać.

- Dlaczego? - wrzeszczał. - Nie wystarczyło raz mnie upokorzyć, musiałaś to ciągnąć? Nawet na tyle nie potrafiłaś mi zaufać?

- Proszę, mężu - powiedziała Oliwia. - Uspokój się. To cię nie dotyczyło.

Wstrząśnięty odwrócił się do niej.

- Wiedziałaś? - spytał.

- Oczywiście.

- Rozumiem - rzekł zimno. - Babski spiszek. Z udziałem Żyda, jak przypuszczam.

Obserwowałem innych, by się przekonać, kto będzie najbardziej zaskoczony. Biskup, Maria i, jak dostrzegłem z zadowoleniem, kapitan byli w stanie wstrząsu i żalu. Biedny Marek miał taką minę, jakby nie wiedział, gdzie się schować.

- Więc to nie mógł być Klaudiusz - zakonkludował kapitan i gwar ucichł. - Byłbyś tak łaskaw i kontynuował, Feste? To intrygujące.

- Dziękuję, kapitanie. Zaslugę za następny kawałek analizy muszę oddać mojemu koledze po fachu, Bobo. To on uświadomił sobie, że nie napadnięto mnie, dopóki nie natrafiłem na tajemnicę podwójnej tożsamości księżnej pani.

- Matko? - powiedział niepewnie Marek. Z wolna wycofała się w głąb sali.

- Podczas tej samej partii szachów Bobo zauważył, że między wyjściem księżnej pani po medyka a powrotem minęła godzina, wystarczający czas, by zabić małżonka lub zorganizować zabójstwo. I wtedy powiedział coś, co wreszcie rzuciło pełne światło na zabójcę Orsyna. - Odwróciłem się ku niej. - Wiolo - rzekłem z niejakim wahaniem. - To, że muszę powiedzieć to, co muszę powiedzieć, napawa mnie smutkiem. - Urwałem.

Och, żebyście mogli ją zobaczyć, stojącą przed nami w jej pełnej królewskiej urodzie. Wypełniała ją lodowata furia i tak władcza siła, że przez jakiś czas nikt nie potrafił od niej oderwać wzroku. Uniosła prawą dłoń i strzeliła palcami. W jednej chwili Malachiasz i trzech inni zwaliści słudzy wyrosli u jej boku. Wskazała mnie.

- Pojmijcie błazna i mocno go skrępujcie - rozkazała. Zamarłem, gdy podbiegli ku mnie.

I dalej.

Muszę przyznać, że stawiał zawzięty opór. Dobyty, zdawałoby się znikąd, nóż zostawił ślad na jednym z dworzan, ale było ich czterech na jednego i pokonali go. Siedział, patrząc palącym spojrzeniem, przywiązany do krzesła. Kucnąłem i spojrzałem mu w oczy.

- Byłeś bardzo dobry, *señor* - powiedziałem. - Naprawdę świetny. Wyuczyłeś się naszych umiejętności na tyle dobrze, że nawet błazen by się zbłąźnił. Biel ołowiana to był błąd, ale nieznaczny. A teraz odpowiedz mi na kilka pytań. Co to? - uniosłem bierkę szachową.

- Co?

- Odpowiadaj - przygnalił go Malachiasz, przykładając mu nóż do gardła.

Bobo głośno przełknął ślinę. - Król.

- A to? - uniosłem inną.

- Królowa. Feste, co ty wyrabiasz? - A to?

- Biskup.

- A to?

- Skoczek, oczywiście. A to wieża. Rozwiąż mnie, Feste. Powstałem.

- Pozwól, że będę kontynuował mój dyskurs na temat sztuki błazeńskiej. Jak widzisz, mamy swoje tradycje. Chociaż niektórzy mogliby wywodzić naszą linię od króla Dawida, który udawał błazna, aby wymknąć się swoim prześladowcom, my, członkowie cechu za pierwszego błazna uważamy Zbawcę, Pana, Jezusa Chrystusa.

- To bluźnierstwo! - zahuczał biskup.

- Cierpliwości, Wasza Ekscelencjo. On również mówił prawdę, posługując się przypowieściami i paradoksami. I w chwili najwyższej próby, gdy mógł się uratować przed królem kilkoma prostymi sztuczkami, wybrał milczenie. Następnie przeprowadzono go w szyderyczym królewskim pochodzie ulicami Jerozolimy ku jego przeznaczeniu i zbawił nas wszystkich. - Wyjąłem z torby moją czapkę. - Przyjrzyjcie się błazeńskiemu nakryciu głowy, panie i panowie. Niektórzy przez wzgląd na ten tradycyjny element naszego stroju powiadają, że błazen parodiuje króla i że to z długimi jak ośle uszami nakrycie to nasza korona. Ale to nie tradycja cechu. - Włożyłem ją na głowę i potrząsnąłem tak, Że zadzwoniła. - Marku, nim przedstawię mój dowód, muszę cię przepytać. Ilu królów jest po jednej stronie szachownicy?

- Jeden oczywiście.

- Ile królowych?

- Również jedna.

- Ilu biskupów?

- Dwóch. Odwróciłem się do biskupa.

- Ilu jest biskupów w biskupstwie? - Jeden-odparł.

- Marku, czy to nie dziwne? Dwaj na szachownicy i jeden prawdziwy.

- Pewnie dziwne. Nigdy wcześniej o tym nie myślałem.

- Na ile części dzieli się moja czapka?

- Na trzy. I opada z każdej strony.

- A kto jeszcze w tej sali nosi nakrycie głowy, które dzieli się na trzy części?

- Hmm - zastanowił się, rozglądając. Wrócił do mnie spojrzeniem. - Biskup.

- Znakomicie, szlachetny panie. W tradycji cechu poczesne miejsce zajmują kpiny z Kościoła. Z tej przyczyny nosimy trójdzielną czapkę. Francuzi, którzy rozumieją szaleństwo lepiej niż ktokolwiek inny, wiedzą o tym i nazywają bierkę, która stoi przy boku króla i królowej, a która ani nie skacze z galanterią jak koń, ani nie bieży prosto przed siebie jak

wieża, natomiast niczym pijak sunie na ukos przez linie nieprzyjaciela, błaznem. I żaden trefniś, który przeszedł szkolenie w cechach, nigdy nie nazwie jej inaczej, biskupem zwłaszcza. To właśnie podczas tamtej partii szachów zdałem sobie sprawę, że wilk w owczej skórze po drugiej stronie szachownicy to Malwolio.

Zapadła długa cisza, przzerwana krzykiem Bobo.

- To ma być to?! To twój dowód?!

- W zasadzie - potwierdziłem.

- Szlachetni panowie, wysłuchajcie mnie - poprosił. - Ja naprawdę jestem błaznem Bobo. To szaleństwo, prawdziwe szaleństwo. Cech wysłał mnie, żebym miał oko na Feste. Baliśmy się, że pomieszało mu się w głowie, gdy usłyszał o śmierci Orsyna. Malwolio nie żyje. Nie żyje od lat i wiemy o tym od czasu, w którym się to stało, jednak ten biedny prostaczek w dalszym ciągu majaczył swoje. Kiedy wyruszył na tę wymyśloną krucjatę, na to poszukiwanie prawdy, przybyłem, aby go upilnować przed wyrządzeniem jakiegoś zła. Jest szanowanym błaznem i tyle jesteśmy mu winni. Ale nie potępiajcie mnie na podstawie tej bezsensownej przemowy.

- Ach, i jest jeszcze to - dodałem, dając znak Malachiaszowi.

Wyszedł wraz z innymi dworzanami i niebawem wrócił z osłoniętą całunem postacią na noszach. Zerwałem całun, odsłaniając trupa z lasu. Część tłumu cofnęła się, część rzuciła do przodu.

- Kapitanie, pańska opinia, jeśli łaska - poprosiłem. Perun podszedł do ciała i obejrzał je sumiennie.

- Był torturowany - natychmiast orzekł. - Ucho odcięte, również dwa palce. Jest... - Przerwał zdziwiony. - Biorąc wszystko pod uwagę, ma na sobie bardzo mało krwi.

- Tak - zgodziłem się z nim. - Po tym, jak zdałem sobie sprawę, że to Malwolio przybył zamiast błazna, którego oczekiwałem, rozpocząłem poszukiwania oryginału. Wierzę, że to był prawdziwy *senor* Bobo. Znalazłem go nieopodal północnej drogi. Na mój rozum Malwolio czekał tam na mnie w zasadzce, wysławszy wiadomość do cechu po zamordowaniu Orsyna. Zamiast mnie pokazał się Bobo. Nieszczęśnik został napadnięty, porwany i poddany torturom, by wyjawiał wszystko, co wiedział. Dowiedziawszy się, że nie znam błazna, którego oczekuję, Malwolio zaimprovizował sprytny plan; przybrał postać Bobo, zdobył moje zaufanie i kontynuował zemstę pod możliwie najlepszą przykrywką.

Brutalnie pozbawił nieszczęśnika kolczyka i pierścieni, po czym obmył ciało, tak że nie pozostał na nim ślad makijażu. Jeden Bobo wyjeżdża z cechu, inny przybywa do Orsyna.

- Sięgnąłem po miskę, szmatę i zacząłem mu zmywać makijaż z twarzy. - Następnie

zainscenizował atak na urwisku, żeby zbić mnie z pantałyku. Znakomita robota, szanowny panie. Usłyszałem głos Malwolia z twoich własnych ust i drobna rana, którą sobie sam zadałeś, przydała ci wiarygodności. Poza tym otwarłem przed tobą wrota pałacu księcia, samego serca twoich wrogów. - Skończyłem.

Łysy, gładko ogolony mężczyzna piorunował mnie z krzesła wzrokiem. Wokół zebrał się tłum.

- To może być on - stwierdziła z wahaniem Maria.

- To on - orzekła Oliwia. - Tak myślę.

- Naprawdę nie potrafisz powiedzieć - rzekł Sebastian.

- No cóż, są sposoby, aby zdobyć pewność - powiedziałem. - Możemy posłać do cechu po kogoś, kto znał prawdziwego Bobo. A może też należałoby wezwać na pomoc umiejętności zacnego kapitana. Mógłbyś skorzystać z izby, o której wspominałeś.

- Pomogę z najwyższą rozkoszą - zobowiązał się Perun.

- Proszę - jęknął Bobo. - Mogę wam dowieść, że nie mam z tym nic wspólnego. Bracie błaznie, może teraz ja cię odpytam?

- Ależ proszę.

- Po pierwsze, czy na urwisku nie znalazłeś mnie leżącego na wznak, z krwawiącą głową?

- Znalazłem.

- Czy znalazłeś kuszę, z której ponoć miałem do ciebie strzelać?

- Nie znalazłem.

- Znakomicie. Jak stamtąd zniknęła, skoro miałem z niej do ciebie strzelać? Po drugie, czyż od tamtej pory nie przebywałem w pałacu księcia?

- Przebywałeś.

- Malachiaszu, proszę, odejmij ostrze od mego gardła i odpowiedz mi na pytanie: czy od kiedy przyniesiono mnie do tamtej izdebki, kiedykolwiek ją opuściłem?

- Nie opuściłeś - odparł Malachiasz, pozostawiając ostrze, gdzie było.

- W takim razie oto moja konkluzja: nie mogłem zabić Fabiana ani podpalić sceny, bo w ogóle nie ruszyłem się z miejsca. Czy również oskarżycie mnie o czary?

- Nigdy nie powiedziałem, że zabiłeś Fabiana - rzekłem ze spokojem. - Ani nie twierdziłem, że działałeś sam. - Znów wiele spojrzeń rozbiegło się po sali i wróciło do mnie. - Jest oczywiste, że musiałeś mieć współnika. W miejscu, w którym porwano i torturowano Bobo, były ślady więcej niż jednego człowieka. Ktoś zdzielił cię w głowę, aby przydać wiarygodności oszustwu, uciekł z kuszą i użył jej do zamordowania Fabiana. Twój współnik



był kimś, kto musiał wiedzieć, że Wiola i Klaudiusz to jedna i ta sama osoba, ponieważ wiedział, że chcąc pozbawić księcia towarzystwa, wystarczy zatruć Marka.

- Za-zatruć? - zająknął się Marek.

- Tak, szlachetny panie. Bynajmniej nie śmiertelnie, ale na tyle, byś był przez jakiś czas chory. Ale to musiała być trucizna, gdyż nikt inny spożywający kolację przy tamtym stole nie cierpiał tak jak ty.

- Mów dalej, Feste - rozkazał.

- To ma związek z wydarzeniami sprzed piętnastu lat - kontynuowałem. - Inny skrzywdzony człowiek. Taki, który niewątpliwie posiadał nieco wiedzy o greckim ogniu, znał się na działaniu ziół, kto był w najbliższym kręgu Orsyna i ponadto siedział tuż przy Marku podczas fatalnej uczty...

- Proszę - powiedział Andrzej. - Nie chcę jej skrzywdzić. Stał za Wiolą, trzymając przy jej gardle nóż.

- Kiedy przeciągnął cię na swoją stronę, panie Andrzeju? - spytałem. - Gdy wpadłeś w ręce wroga podczas ostatniej krucjaty? Później, obiecując wyjawienie tajemnej wiedzy o eliksirze życia?

- Andrzeju! Co to, na Boga? - krzyknął pan Tobiasz. - Myślałem, że wszyscy jesteśmy przyjaciółmi.

- Przy-przy-przyjaciółmi? - zająknął się Andrzej. - Zostawiliście mnie tam na miesiąc! Oni mnie torturowali, macie pojęcie?! Chcieli się dowiedzieć, co wiem, ale nigdy nie miałem o niczym pojęcia, bo żaden z was nie zawracał sobie tym głowy, żeby mi coś powiedzieć. I to ciągnęło się miesiąc, bo Orsyno targował się o okup. Na litość boską, chciałem tam umrzeć. Przyjaciele...! Przez piętnaście lat wysysaliście ze mnie pieniądze i co dostałem w zamian...?! Nie mogliście znaleźć biednemu Andrzejowi narzeczonej, co? Straciłem Oliwię i nikt nigdy nie pomyślał, żeby mi rzucić jakiś ochłap dziewczęcego ciała, nigdy.

- Andrzeju! - krzyknął Marek. - Czemu próbowałeś mnie zabić?

- Nie próbowałem - wtrąciłem się. - Tamten pożar był przeznaczony dla Jezusa. Dla Sebastiana. Uratowałem Marka bezzwłocznie po tym, jak się dowiedziałeś, że przejął rolę, prawda?

- Tak - wykrzyknął. - Ja cię wyratowałem, Marku. Nigdy bym nie pozwolił, żeby ci się coś stało. Byłbym ci prawdziwym ojcem... - Przerwał i zawył przeraźliwie: - Nie zbliżaj się! Zabiję ją.

Perun, który niespiesznie przesuwiał się wzdłuż ściany, zatrzymał się. Kropla krwi powolutku ściekła po szyi Wioli. Po twarzy księżnej przebiegł spazm, ale starała się stać

nieruchomo.

- Zabiłeś tamtego chłopca, no nie? - spytała oskarżyciel-sko Oliwia. - Bo zorientowałby się, że to ty spowodowałeś pożar. Wbiłeś dziecku sztylet w serce, Andrzej?

- Musiałem - zakwilił. - Nie pójdę drugi raz do więzienia. Zabiję ją, jak będziecie próbowali mnie powstrzymać, żebym stąd nie wyszedł.

- Wybaczcie, ale jeszcze nie skończyłem mojego wykładu - powiedziałem.

- Doprawdy, Feste, to z gruntu zła pora - zaprotestował pan Tobiasz.

- Ależ jak najlepsza - odparłem. - Wyczucie chwili to jedna z moich największych umiejętności. Patrzajcie! - Wyszukanym gestem wydobyłem z torby mój kaduceusz. - Przyglądnijcie się, *mesdames et messieurs!* Oto berło błazna. - Potrząsnąłem nim i dzwoneczki na końcu wdzięcznie zadźwięczały. - W najwyższym stopniu użyteczne do odrzucania zgniłych warzyw, kiedy cię nimi obrzucają. Przyjrzyj się wyrzeźbionej na końcu główce, panie Andrzej.

Wlepił w nią wzrok.

- Widzisz, jak czaszka szczyrzy zęby do nas wszystkich? - zapytałem retorycznie. - Jest jeszcze jedna tradycja związana z błaznami. Śmierć, panie Andrzej, największy naigrawacz ze wszystkich, ten błazen, który sprowadza wszystkich ludzi do tego samego poziomu. - Zacząłem w szczególnym rytmie potrząsać kaduceuszem, unosząc go nad głowę. - Zgłębiłeś wiele starożytnej wiedzy, panie Andrzej. Są sekrety kowali, akuszerek i błaznów. Nasze rzadko oglądają światło dzienne, gdyż doprawdy żalorny to błazen, który ucieka się do tak drastycznych sposobów. Ale błazeństwo chodzi ręką w rękę ze śmiercią i w nagłych wypadkach może ją wezwać. To straszna rzecz umrzeć bez ostatniej spowiedzi, szlachetny panie. Ze względu na miłość do Marka, oszczędź jego matkę albo wieszczę ci ostatnią chwilę.

Ręka mu się trzęsła, ale pozostała, gdzie była.

- W takim razie świetnie. Tak jak zachodzące słońce obwieszcza koniec dnia, tak zniżająca się czaszka obwieści koniec twojego życia. Przyglądaj się jej uważnie, panie Andrzej. To będzie ostatnia rzecz, którą ujrzysz.

Zacząłem machać kaduceuszem w przód i w tył, powoli opuszczając ramię, tak że wskazywał w jego kierunku. Nie potrafił oderwać oczu od drobnej czaszki z malutkimi zielonymi karo pod każdym okiem. Zerkał nad ramieniem Wioli, rozdziawiając usta.

- Zabij ją, idioto! - wrzasnął Malwolio. - Zabij ją wreszcie!

Kaduceusz zatrzymał się, wisząc równoległe do podłogi. Nóż wypadł mu z ręki i pan Andrzej zatoczył się w tył. Ścisnął gardło, krztusząc się gwałtownie. Co miał na twarzy? Grozę? Raczej oskarżenie, ale czy było skierowane pod moim adresem, Malwolia czy

wszystkich zebranych, trudno powiedzieć. Potknął się o stołek i upadł na plecy. To było jego ostatnie potknięcie.

Perun rzucił się w przód, z mieczem w dłoni, ale bez potrzeby. Pochylił się nad martwym szlachcicem, po czym spojrzał na mnie.

- Zręczna robota - pochwalił mnie. - Jak to uczyniłeś? Wzruszyłem ramionami.

- Nie zobowiązałem się wyjawić każdego sekretu, który znam, kapitanie. Och, przy okazji. Wyzwałeś na jutro na pojedynek augsburskiego kupca. Kupca już tu nie ma. Czy pogodzisz się z odłożeniem na wieczność tego pojedynku?

Bębnił palcami po rękojeści miecza, patrząc na główkę śmierci na moim kaduceuszu.

- Perunie! - krzyknął książę. Zaskoczony kapitan odwrócił się. Chłopiec podszedł do niego długimi krokami. - Ten błazen jest pod naszą protekcją. Nie może go spotkać żadna krzywda z twojej strony ani z winy nikogo, komu rozkazujesz. Czy mam ci przypomnieć, wobec kogo masz być lojalny?

Perun milczał dłuższą chwilę. W końcu się skłonił.

- Bynajmniej, szlachetny panie. Wszelkie obawy są niepotrzebne. Żaden to honor pojedynkować się z błaznem.

- Absolutnie żaden - zgodziłem się z nim. - Dziękuję, szlachetny panie. A teraz, gdybym mógł prosić kapitana o odeskortowanie Malwolia do jego nowej kwatery, moglibyśmy zakończyć rzecz całą. Odwiedzę cię jutro, *señor*. Przyniosę szachy.

Uśmiechnął się wilczo.

- Znów przegrasz, Feste. Nie możesz mnie pobić.

- Wydaje mi się, że właśnie to zrobiłem. Wyprowadzili go.

- Co teraz, Feste? - zapytał Sebastian. - Czy zaśpiewasz nam coś na koniec?

- Skończyłem, panie hrabio - odparłem. - Jestem nieco znużony, więc za waszym pozwoleniem się oddalę. Ale macie pewną rzecz do zrobienia. Świat zbyt szybko się zmienia, aby można było odkładać wybór regenta. Ten chłopiec już niebawem będzie rządził jak jego ojciec. Radzę wam odłożyć na bok swary i dokonać wyboru teraz. - Zgarnąłem do torby moje rzeczy, pozostawiając ołtarzyk, odwróciłem się i skłoniłem. - Szlachetni panowie i szlachetne panie, *mes-dames et messieurs*, dobranoc.

## Rozdział XVII

*Wyszydzajcie, wyszydzajcie - na nic to wszystko!*

*Ciskacie piasek na wiatr,*

*A piasek powraca, odrzuca go wietrzyisko.*

William Blake, *Wyszyszajcie*

We śnie kolejny raz zonglowałem w lesie z niewidzialnym partnerem. Wtedy drzewa rozsunęły się niczym mgła pod wpływem niespodziewanej wichury i ruszyła ku mnie śmierć, z coraz większą mocą ciskając maczugi. Szczierzająca zęby czaszka lśniła spod zawoju czystą bielą, złamaną tylko zielonymi karo pod każdym oczodołem.

Obudziłem się z krzykiem, siadając tak nagle, że mało mi krzyż nie trzasnął. W drzwiach stała jakaś postać, trzymająca na podstawce świecę. Nadal tkwiąc jedną nogą w koszmarze, patrzyłem na nią, ogarnięty zgrozą.

- Nic ci nie jest? - spytała Wiola, wchodząc do pokoju.

- Która godzina? - spytałem. Wzruszyła ramionami.

- Późna. Chyba świt blisko. - Siadła na krawędzi łóżka. - Oliwia jest teraz regentem, dopóki Marek nie osiągnie odpowiedniego wieku i nie zostanie to zatwierdzone głosami najważniejszych familii. Nie ma już Klaudiusza.

- Co z Izaakiem?

- Będzie intendentem tak księcia, jak i hrabiny. Tyle musiałam zapłacić za spokojne odejście. Mogę? - wskazała ka-duceusz, leżący na stoliku przy łóżku. Jego główka była blisko mojej głowy, gdy spałem.

Skinąłem głową i Wiola ostrożnie wzięła do ręki błazeńskie berło.

- Nic sobie nie zrobię? - spytała.

- W tej chwili nic.

Obracała go w rękach, oglądając ze wszystkich stron.

- Poddaję się - rzekła w końcu. - Jak to działa?

- W ręczce ukryto cienką rurkę ze zwalnianą przyciskiem sprężynką. W rurze umieszczono metalową strzałę. Oczywiście zatrutą. Zasięg piętnaście kroków. Posłałem mu ją w szyję.

Otrząsnęła się.

- Jak blisko śmierci byłam?

- Z mojej ręki daleko. Z jego zbyt blisko, bym to puścił płazem.

- Wiedziałaś wcześniej, co się szykuje? Siadłem na krawędzi łóżka, masując skronie.

- Miałem nadzieję, że coś wymyśli. Ale tego się nie spodziewałem.

- Jak się domyśliłeś, że uczestniczy w intrydze Mal-wolia?

- Dzięki drobiazgom. Najbardziej rzucający się w oczy, i przeklinałem się, że wcześniej nie wziąłem go pod uwagę, był jego wjazd na rynek w dzień świętego Jana.

Wszyscy myśleli, że jak zwykle był na poszukiwaniu kamienia filozoficznego. Ale nie szukałby go pod śniegiem. Sam mi to powiedział. A było to w dzień, w którym zabił mojego kolegę po fachu, sądząc z tego, co oznajmił mi Józef, gdy zaprowadził mnie do trupa. Tak przy okazji, czy przywróciłaś mu dostawy żywności? - Tak.

- Dziękuję ci. Nawet święty człowiek nie żyje samymi modlitwami. Sądzę, że Andrzej wykorzystywał poszukiwania Kamienia jako wymówkę, żeby każdego dnia opuszczać miasto i czatować z Malwoliem na Feste. Tylko że przybyłem łodzią i zamiast mnie dopadli biednego Bobo.

- Kiedy to zrozumiałeś?

- Kiedy patrzyłem, jak ściska ciało Lucjusza. Dostrzegłem jego samotność, rozpacz. Pomyślałem, że tak samo jak Malwolio jest wyłączony z pospólnego szczęścia, z naszej wspólnej zabawy. Pożar, zatrucie Marka... to były sztuczki alchemika. Kiedy ujawniłem, że jesteś Klaudiuszem, obserwowałem jego twarz. Wielu było zaskoczonych. Ale nie on. Nie wiem, kiedy wpadł na twój sekret, ale kiedyś wpadł. Te sprawy nie wystarczyły, by go oskarżyć, ale poszedłem ich tropem i rozgryzłem go.

Ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Biedny Andrzej. Nie mogę znaleźć w sercu nienawiści względem niego, nawet wiedząc, co uczynił.

- Kim jest Alef? - spytałem. Gwałtownie podniosła głowę, zaskoczona.

- Skąd wiesz... - zaczęła i przerwała. - Czy w ogóle nie wolno mi mieć żadnych sekretów? - zaprotestowała.

- Na pewno jest ich dużo więcej - powiedziałem. - Ale kim jest Alef? Widzieliśmy wpis w księdze Izaaka. Czemu przekazano mu tak wielkie pieniądze i dlaczego zwrócił je po miesiącu?

- Alef to *colleganza* bezsilnych. Żydów, niewolników i katowanych żon. Pożyczaliśmy z kasy księcia, spekulowali na handlu morskim, zwracali kapitał i zatrzymywali procent. Czasem niewolnik kupował sobie wolność lub kobieta zyskiwała środki, żeby uciec od męża. A Żydzi mogli odłożyć na zimę.

- Szlachetna sprawa.

- Widzisz wiele tego, co uchodzi uwagi innych - zauważyła. - Usiłowałam zdecydować, czy ci przebaczyć czy nie.

- To, że wyjawilem, kim jest Klaudiusz?

- Nie, to musiałeś zrobić. Było nieuniknione. Oszukiwałam się myślami, że to może trwać, ale nie było godnego sposobu, by się z tego wyplątać. Ale myślałam o czymś innym. Ja

też zaczęłam dostrzegać rzeczy, które wcześniej mi umknęły.

- Na przykład?

- Statek zostaje wyrzucony na brzeg, ale nie ma śladu zniszczeń. Rozbitkowie, bliźniaki różnej płci nie tylko ucho-’ dzą z życiem, ale ich bagaże lądują nietknięte na brzegu. I za każdym razem pojawiaasz się ty, biegający jak szalony. Wiedząc to, co wiem teraz, już nie wierzę w bajkowe przygody. No? Co ty na to? Daj spokój, Feste, nigdy nie widziałam, żeby ci zabrakło języka w gębie. Powiedz, jak manipulowałeś moimi uczuciami.

- Kochałaś go? - spytałem. Własny głos zabrzmiał mi szorstko w uszach.

- Jaki miałam wybór? Znalazłam się wbrew swojej woli w sytuacji najdziwniejszej z dziwnych, nie wiedząc, czy mój brat żyje czy nie, czy sama długo przeżyję. Wtedy zakochałam się w moim dobroczyńcy. Która by nie uległa uczuciu?

- Ale czy go kochałaś?

- Wmanewrowano mnie w to uczucie.

- Kochałaś go czy nie? - powtórzyłem uparcie.

- Tak - potwierdziła ostrym tonem. - Kochałam. Ale wołałabym mieć w tym względzie wolną wolę.

- Miałaś. Co by się z tobą stało, gdybyś się tu nie znalazła? Czy w ogóle się nad tym zastanawiałaś? Twój rodzice nie żyli. Byłabyś zależna od Sebastiana. Naprawdę myślisz, że pozwoliłby ci wybrać małżonka wedle woli? Zakładając, że miałbym w tym jakiś udział, i tak ożeniłabyś się z bogatym, potężnym człowiekiem, którego kochałabyś dla niego samego, i mielibyście dobre, długie, wspólne życie. Ile kobiet mogłoby powiedzieć to samo?

- I wskutek twoich machinacji równocześnie zasiane zostało ziarno morderstwa.

Nie potrafiłem na to odpowiedzieć. Ukryła twarz w dłoniach.

- Wybacz, Feste. Mógł umrzeć wcześniej i na tysiąc innych sposobów. Ale umarł, jak umarł, i kolejny raz przybyłeś zdyszany, żeby na zawsze zmienić moje życie. Teraz nawet nie pozwolą mi wychowywać moich dzieci. Jestem uważana za zbytnią dziwaczkę, niegodną zaufania, chociaż wszystko, co uczyniłam, zrobiłam dla dobra Orsyna. Teraz nie mogę nic zrobić. Będę przesiadywała w wygodnej komnacie z wielkim oknem wychodzącym na morze, będę z pompą wyprowadzana na państwowe fety i szydelkowanie zajmie mi resztę życia. A ty nawet nie zostaniesz, by mnie zabawiać, prawda?

- Nie myślę, żeby w tych okolicznościach było to możliwe.

Zaczęła cicho płakać.

- Jest jeszcze jedna rzecz - powiedziałem z wahaniem.

Podniosła wzrok.

- Wiosną zaatakują Wenecjanie. Starają się opanować całe dalmatyńskie wybrzeże. Nie mogę ci doradzić, co powinnaś zrobić, walczyć czy paktować, ale powinnaś wiedzieć, na co się zanosi. Mogłabyś działać poprzez Izaaka. Ma kontakty w Wenecji. Nawet może być ich szpiegiem.

- Oczywiście, że jest szpiegiem - powiedział Malwolio, stojąc w drzwiach. Wydawał się wycieńczony, może skutkiem starań, których nie oszczędził mu Perun, i wciąż miał na sobie strój nieżyjącego błazna. W rękach trzymał kuszę i celował w Wiolę. - Patrz, co znalazłem. Odsuń się od tego łóżka, Feste, i zostaw swój miecz. Albo ją zabiję.

Odsunąłem się, stając plecami do okna.

Twoją słabą stroną jeśli mogę sobie pozwolić na odrobinę krytyki po twoim genialnym występie, jest to, że nie umiesz myśleć w szerszych kategoriach - rzekł drwiąco. - Naprawdę uważałeś, że zaatakuję to miasto, mając u boku tylko tamtego pojękującego prostaczka? Mam innych. Jednym z nich jest podkomendny Peruna, który był tak uprzejmy, że dopomógł mi w ucieczce. Mam niezłą umiejętność korumpowania ludzi.

- Puść ją - poprosiłem.

- Może, może nie. Skandal wywołany obecnością księżnej w łóżku błazna to istne cudo. Ale tak naprawdę chciałem przed wyjazdem złożyć wyrazy szacunku. Przecież to ty byłeś prawdziwym sprawcą mojego poniżenia.

- Zasłużyłeś na nie.

- Dlaczego, Feste? - zaprotestował. - Dlatego, że się zakochałem w hrabinie? Czy to taka zbrodnia? Czy też to po prostu nie pasowało do twojego wielkiego zamysłu? Jeśli to była zbrodnia, to ty jesteś większym zbrodniarzem, gdyż pożądałeś jeszcze większego trofeum.

- O czym ty mówisz? - szepnęła Wiola.

- Nie powiedziałaś jej, Feste? No nie, cała ta bomba-styczna gadanina o mówieniu prawdy i nawet nie potrafisz wyznać, że ją kochasz. Ale to nic zaskakującego, nieprawdaż? Takie są zwyczaje waszego tchórzliwego, pokracznego cechu, zarządzającego wasze śmieszne spiski nad całym Morzem Śródziemnym. Wierz mi, księżno, gdybym miał czas, opowiedziałbym ci wszystko o knowaniach tej organizacji. Zawstydziliby templariuszy. Ale odbiegam od tematu.

- Wciąż pracujemy dla Saracenów? - rzuciłem jadownicę w jego kierunku.

- To tylko polityka - rzucił lekceważąco. - W czym problem? Naprawdę, Feste, cała historia tego świata to podbijanie jednych przez drugich. Jakie to ma znaczenie, kto wygra? Wiesz, ironia losu polega na tym, że w pewnym momencie chciałem machnąć ręką na tę całą sprawę. Dobra, powiedziałem, niech będzie, to mnie czegoś nauczyło. Ale pewnego

słonecznego dnia przypadkiem napatoczył się trubadur śpiewający tę uroczą piosneczkę twojego autorstwa. I ja w niej byłem unieśmiertelniony jako jeden z największych durniów wszech czasów. Uwierz mi, to była ostatnia pieśń, którą zaśpiewał, a teraz przybyłem tu, żeby mieć ostatnie słowo, przesłać partyjską strzałę, że tak powiem. - I strzelił.

Wpatrywałem się osłupiały w pierzysko bełtu, sterczące mi z uda. Ach, pomyślałem. A więc tak się to czuje. Po czym ból uderzył z całą mocą.

Malwolio dobył miecza.

- Chyba nie myślałeś, że pozwolę ci szybko umrzeć? - rzekł.

Próbowałem się poruszyć, ale bełt przygwoździł mnie do ściany. Usłyszałem brzęk innego ostrza, dobywanego z pochwy.

Wiola ruszyła na Malwolia, trzymając przed sobą mój miecz. Malwolio spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Doprawdy, szlachetna pani, to przekracza granice śmieszności - powiedział ze znużeniem. - Widziałem cię... - Ledwo zdążył wziąć zasłonę.

Zaatakowała go z metodyczną furią, która go zaskoczyła, ale odparł atak. Zaczął przypierać ją do ściany. Jego szaleństwo równało się jej wściekłości. A Wiołę ogarniało zmęczenie. Moje ostrze było dla niej za ciężkie. Stawało się jasne, że Malwolio ją pokona.

Staralem się oderwać nogę od ściany, ale bezskutecznie. Traciłem krew w alarmującym tempie. Sięgnąłem wolną stopą po but z nożem, ale stał za daleko. Kontury tego, co widziałem, zaczęły się zacierać. Nagle przypomniałem sobie, że przecież mam w rękawie sztylet, i ująłem go w dłoń. Była między nim a mną i potrząsnąłem głową, usiłując przejrzeć na oczy i dobrze wycelować.

Idioto, nagle pomyślałem, przecież on jest od niej wyższy, i cisnąłem sztyletem w jego głowę. Dostrzegł ruch i odchylił się, tak że ostrze tylko rozcięło mu skroń.

Ale to na tyle odwróciło jego uwagę, że dobrała mu się do skóry. Zmieniła chwyt na dwuręczny, stanęła w rozkroku i z taką siłą wbiła mu miecz w grdykę, że ostrze wyszło karkiem i zagłębiło się na pół dłoni w ścianie.

Z rozkoszą patrzyłbym, jak cierpi, jak umiera w bólu, z całkowitą świadomością swych grzechów, ale po prawdzie umarł w jednej chwili. Puściła rękojeść i zatoczyła się w tył, rękami zasłaniając usta. Zawisł na mieczu. Patrzyła to na niego, to na mnie, aż w końcu piskliwie zachichotała.

- Co za zbiór błaznów przybitych do ściany - powiedziała. - Co za szyk! O ileż to ciekawsze niż motyle, nie sądzisz?

- Bardzo dobrze, szlachetna pani - wystękałem. - Ale ten motylek z przyjemnością



zrezygnuje z tego zaszczytu.

Frunęła do mego boku i obejrzała bełt.

- Chyba potrafię go wyjąć - orzekła i ostrożnie wyrwała grot ze ściany.

Wdzięczność nie powstrzymała mnie przed osunięciem się na podłogę.

- A teraz wyjdź - rozkazałem Wioli. - Co?

- Wyjdź. Nie chcę jeszcze bardziej zszargać ci reputacji. Zostaw mnie samego.

- Bzdura - zburczała mnie. - Potrzebujesz pomocy. A ja chcę pełnej chwały za Malwolia.

Wybiegła na korytarz.

- Hej! Malachiaszu! Seleno! Z oddali rozległy się kroki.

- Natychmiast wody i szarpi. I poślijcie po medyka. Nie obchodzi mnie, z kim śpi, znajdźcie go.

Wróciła i rozcięła mi rajtuzy.

- Chyba minął kość - powiedziała. Zerwała lotki. - Może nie umrzesz. Może nawet uratujemy ci nogę. - Dziwnie na mnie spojrzała i nagle mnie pocałowała. - Wygląda na to, że zostaniesz z nami troszkę dłużej.

- Tak czy inaczej - wymamrotałem. Świat kołował mi przed oczami.

- Podnieś się - rozkazała i pomogła mi stanąć na nogach.

Przybiegła pokojówka z miednicą oraz szarpami i mało nie zemdląła, widząc na ścianie makabrycznego stracha na wróble.

- Przeciągnę bełt na drugą stronę. - Podała mi chusteczkę. - Zagryź to między zębami. Policzę do trzech. To może boleć.

- Już boli - powiedziałem i odwróciłem się do okna. - Raz!

I nagle się modliłem, modliłem jak nigdy wcześniej, modliłem o przebaczenie za moje grzechy, modliłem, żebym żył, żeby ona była moja. Modliłem się, żebym zobaczył chociaż jeden wschód słońca.

- Dwa!

I oto się ukazało, wspinając ponad siodło wschodniego grzbietu, nasz cud codzienny, jedyne słońce Pana, kolejny raz wysłane, by zbawić świat.

- Trzy!

Noc się skończyła, a mnie ogarnęły ciemności.

### **Nota w sprawie tłumaczenia**

Tłumaczenia dokonano z piętnastowiecznej kopii oryginalnego manuskryptu, spisanej na papierze oznaczonym znakiem wodnym w kształcie błazeńskiej czapki (bo jakimże

innym). Ta kopia jest częścią zbioru zachowanego w obecnej postaci w bibliotece pewnego mało znanego klasztoru w zachodniej Irlandii, którego dokładną lokalizację zobowiązałem się zachować w tajemnicy w zamian za dalsze udostępnienie jego zasobów.

Wygląda na to, że oryginał zaginął, tak więc autentyczność powyższej relacji jest w gruncie rzeczy nieweryfikowalna. Wierzcie mi, bardziej niż ktokolwiek inny pragnąłbym tego dokonać, gdyż już się spodziewam obłączenia szekspirologów i baconologów, pytających: „Ale czy *Wieczoru Trzech Króli* nie skompilowano z kilku źródeł? Czy Szekspir (lub Bacon) nie pozszywał go z *Gl'Ingannati*, *Parismusa* Emanuela Forde'a, opowieści Barnabe'a Richa o Apoloniuszu i Silli?” I tak dalej.

Mogę na to powiedzieć dwie rzeczy, jedną będącą przypuszczeniem i drugą - jeszcze śmielszym przypuszczeniem, ale intrygującym.

Po pierwsze, wygląda na to, że było zwyczajem cechu błaznów ukrywać własne wysiłki, przeinaczając i zmieniając w piosenkach i innych utworach kształt wydarzeń. Jest całkowicie możliwe, że przez wieki oryginalna opowieść uległa rozczłonkowaniu i różne jej części pojawiły się pod postacią opowieści i adaptacji, na których oparł się Szekspir.

Jednakże w samym klasztorze spotkałem się z jeszcze ciekawszą historią. Nie ma żadnego zapisu wskazującego, że Szekspir (czy Bacon), czy jakkolwiek William ze Stratfordu, czy jeszcze ktoś inny o tym imieniu zjawił się w Irlandii z wizytą w klasztorze. Ale tamtejszy braciszek żyjący w XVI wieku wspomina w zachowanym liście, że pewien student, niejaki Wil (sic!) Kempe został wydalony z klasztoru, podobno za podkradanie manuskryptów z biblioteki. Później niejaki William Kempe pojawia się jako aktor w Londynie, w trupie Szekspira i Burbage'a. Specjalnością pana Kempe'a były role kobiet i błaznów.

Czy mógł to być ten sam Kempe? Czy jeden ze skradzionych manuskryptów mógł być oryginałem opowieści trefni-sia Teofila o wypadkach później sportretowanych w *Trzynastej nocy*? Nie ma sposobu, by na pewno się tego dowiedzieć, i być może nigdy go nie będzie. Ale jest to równie dobre wyjaśnienie jak każde inne.

Językiem oryginału był dialekt tokański, podobny do dzisiejszego, lecz wcześniejszy o kilka dziesiątek lat od tego, którym pisał Dante. Użyto prozy, chwała Bogu, gdyż mój włoski ledwo wystarczył do przetłumaczenia z tokańskiego z tego okresu. Co by dopiero było, gdybym musiał się siłować z tercyną Dantego. W tym miejscu składam podziękowania młodemu uczonemu jezuitcie, który pomagał mi przy tłumaczeniu. Jego tożsamość również musi pozostać w tajemnicy, ale niecierpliwie oczekuję jego nowej wersji *Purgato-rio* („Czyśca”), która ma się ukazać za jakieś pięć lat.

Wyjątki z *The Harrowing of Heli* są swobodną adaptacją trzynastowiecznego angielskiego widowiska pasyjnego. Chciałbym podziękować New York Public Library i Queens Public Library za udostępnienie znakomitych zbiorów, jak również kilku autorom piszącym o historii średniowiecznego błazna.

Niektórzy mogą mi zarzucić, że nie oddałem języka w pseudostaromodnej angielszczyźnie. To miało być tłumaczenie, przekaz języka w obecnie przez nas używanej postaci. Współczesnym odpowiednikiem byłaby trzynastowieczna, średniowieczna angielszczyzna, z którą Chaucer mógłby nie dać sobie rady. Teofil używał dosadnego, kolokwialnego stylu, który starałem się oddać.

#### Nota historyczna

Są śladowe historyczne dowody na istnienie cechu błaznów. Jest to jedno z nielicznych tajnych stowarzyszeń, któremu faktycznie udało się pozostać tajnym. W *Age of Faith* Will Durant pisze o „konfraterni minstrelów i żonglerów jak ta, o której wiemy, że była w normandzkim Fecamp około 1000 roku; że uczyli się jedni od drugich sztuczek i min, a także nowych opowieści i pieśni truwerów i trubadurów” (s. 1054). Co niezwykle frustrujące, jest to dosłownie jedyna pozbawiona przypisu wzmianka w całej książce i jeszcze nie udało mi się znaleźć stosownego źródła.

Niechęć Kościoła do trubadurów jest dobrze udokumentowana. Wielu zginęło w trzynastym wieku podczas krucjaty przeciwko albigensom, podejrzanych o sympatię wobec tak zwanych heretyków. Święto głupców pozostawało cierniem w boku Kościoła przez kolejne dwa wieki, zanim zostało oficjalnie zakazane, ale jego tradycja przetrwała dużo dłużej. Błazni kontynuowali swoje wygłupy w godnych szacunku miejscach, jak i nie zaniedbywali dobroczynności. Wielu przekazało zgromadzone bogactwa organizacjom charytatywnym.

Ta tradycja przetrwała do dzisiaj. Tworzyły się szlachetne bractwa, w których przez wzgląd na działalność dobroczynną odradzały się błazeńskie tradycje. Compagnie de l'Infanterie Dijonnaise była dobrze znana w siedemnastowiecznej Francji ze swoich błazeńskich widowisk i zbierania jałmużny. Ostatnio Shriners w Stanach Zjednoczonych dzięki Mum-mers' Parade i klaunadzie zebrali znaczące fundusze, które przekazano na opiekę zdrowotną dzieci. W końcu wystarczy tylko spojrzeć na Comic Relief, związek zawodowych komików wspierający bezdomnych, aby w ich działalności dostrzec kontynuację działań pierwszego cechu błaznów.

#### Źródła

William Szekspir, *Wieczór Trzech Króli*, przeł. Leon Ulrich, Warszawa 1980; przeł.

Stanisław Barańczak, Kraków 2008 *Biblia Tysiąclecia*, Poznań-Warszawa 1970 *Koran*, tłum.  
J. Bielawski, Warszawa